

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Mark Twain

Nieszczęsny narzeczony Aurelii

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

GROTESKOWA AUTOBIOGRAFIA

Ponieważ dwie czy trzy osoby oświadczyły niegdyś, że gdybym napisał autobiografię, przeczytałyby ją chętnie w wolnych chwilach, ulegam więc temu gorącemu żądaniu publiczności i oddaję jej do rąk moją historię.

Pochodzę z wielce szanownego, szlacheckiego i starego rodu, którego korzenie sięgają głęboko w starożytność. Pierwszym z moich przodków, o którym ród Twainów posiada jaką taką wiadomość, był pewien przyjaciel domu nazwiskiem Higgins. Działo się to w XI wieku, kiedy moja rodzina żyła w miejscowości Aberdeen, w hrabstwie Cork, w Anglii.

Dlaczego mój starożytny ród posługiwał się od tego czasu nazwiskiem matki, zamiast nazwiskiem Higgins – pozostaje tajemnicą, której nie bardzo chcieliśmy i chcemy dochodzić. Tkwi w tym jakiś bardzo zawiły i piękny romans, w który wolimy się raczej nie zagłębiać. Wszystkie stare rodziny postępują w ten sam sposób.

Artur Twain był człowiekiem niewątpliwie wybitnym: pełnił on zaszczytne funkcje poborcy rogatek w epoce Wilhelma Rufusa. Mając lat mniej więcej trzydzieści udał się do jednego z owych wspaniałych, staroangielskich miejsc wypoczynkowych, zwanego Newgate¹, skąd nie było mu już dane powrócić. Zmarł tam nagle śmiercią.

August Twain narobił sporo zamieszania około 1160 r. Był to jegomość pełen humoru. Miał zwyczaj ostrzyć swą starą szablę, zaczajając się nocą w różnych zaułkach i rzucać się na przechodniów. Istnieją podejrzenia, że przeszywał on ludzi szablą, wyłącznie zresztą po to, aby obserwować ich zabawne konwulsje.

Miał on wrodzone poczucie humoru. Ponieważ jednak posunął się w tej dziedzinie nieco za daleko, władze przychwyciwszy go na tego rodzaju igraszce, oddzieliły jedną część jego ziemskiej powłoki od drugiej. Część ta została umieszczona w pięknym i wyniosłym miejscu na Temple Bar², skąd przodek mój mógł się swobodnie przypatrywać ludziom i spędzać czas na godziwej rozrywce. Żadne miejsce nie przypadło mu nigdy tak bardzo do gustu i do żadnego miejsca nie przywiązał się nigdy na tak długo.

Nasze drzewo genealogiczne wykazuje przez następne dwa wieki szereg szlacheckich rycerzy, którzy szli zawsze do bitwy z pieśnią na ustach tuż za armią i cofali się z dzikim wrzaskiem na jej czele.

Nie przynosi zaszczytu pamięci nieboszczyka Froissarta³ jego bezpodstawowe i ignoranckie twierdzenie, iż nasze drzewo genealogiczne posiadało zawsze, i to po swej prawej stronie, jedno tylko odgałęzienie, które rodziło owoce zarówno zimą, jak i latem.

Na początku XV wieku żył Beau Twain z przydomkiem „Uczony”. Posiadał on wielkie zdolności kaligraficzne i tak doskonale naśladował pismo każdego ze swych bliźnich, że

¹ Znane więzienie londyńskie zniesione w r. 1881.

² Miejsce, gdzie wystawiano na widok publiczny głowy zbrodniarzy.

³ Froisart Jean (1331–1404) – kronikarz francuski.

można było wprost pęknąć ze śmiechu. Talent jego był niewyczerpanym źródłem humoru. Z czasem jednak przodek mój przyjąć musiał zobowiązanie tłuczenia kamieni na gościńcu i praca ta zepsuła mu rękę. Niemniej przeto prosperował on pomyślnie w tym przedsiębiorstwie kamieniarskim, w którym zatrudniony był z małymi przerwami przez czterdzieści dwa lata. Zmarł na stanowisku. Przez cały ten czas prowadził się tak wzorowo, że rząd widział się zmuszony odnawiać z nim kontrakt, ilekroć choćby na tydzień opuszczał przedsiębiorstwo. Był człowiekiem pełnym uroku. Cieszył się gorącą sympatią swych kolegów-artystów i był wybitnym członkiem ich dobroczynnego tajnego stowarzyszenia, zwanego potocznie „bandą kajdaniarzy”.

Strzygł się zawsze krótko i miał słabość do ubiorów w paski. Zmarł ku bezbrzeżnemu żalowi rządu. Była to ciężka strata dla kraju, już choćby ze względu na jego wzorową sumienność.

W kilka lat później wystąpił na widownię dziejową znakomity John Morgan Twain. W r. 1492 przybył on do Ameryki wraz z Krzysztofem Kolumbem jako pasażer. Wydaje się, iż był to osobnik o zgryźliwym i niemiłym usposobieniu. W czasie podróży uskarżał się nieustannie na jedzenie i stale groził, że wysiądzie na ląd, choć nie miał raczej po temu okazji. Żądał wciąż świeżej ryby rzecznej.

Nie było dnia, aby z dumnie podniesioną głową nie rozbijał się po pokładzie, nie drwił z dowódcy i nie wygłaszał głośno opinii, że Kolumb sam nie wie, jak płynie i dokąd dopłyne. Pamiętny okrzyk „Ziemia!” wzruszył głęboko każdego, tylko nie jego. Mój przodek wpatrywał się przez krótką chwilę w linię na horyzoncie, a potem powiedział: „Do diabła z ziemią, to tylko czółno!” Gdy przybył na pokład okrętu, przyniósł z sobą chustkę do nosa z monogramem B. G., bawełnianą skarpetkę z literami L. W. C., wełnianą skarpetkę, znaczoną D. F., i nocną koszulę z monogramem O. N. R.

Niemniej jednak w czasie podróży zadrezczał wszystkich owym „pakunkiem” i chełpił się bardziej swym bagażem niż pozostali pasażerowie razem wzięci.

Gdy okręt zanurzał się dziobem, prznosił swój „pakunek” na rufę i badał skutki tego. Gdy okręt zanurzał się rufą, nudził Kolumba o wydelegowanie kilku ludzi z załogi do przeniesienia „pakunku” na dawne miejsce.

W czasie burzy musiano kneblować mu usta, bo jego żale nad losem „pakunku” zagłuszały rozkazy dowódcy.

Człowiek ten nigdy bodaj nie był publicznie oskarżony o jakiekolwiek przestępstwo, ale zanotowane jest w dzienniku okrętowym jako curiosum, że chociaż przyniósł swój bagaż w gazecie, wyniósł go na brzeg w czterech skrzyniach, ogromnej pacy i kilku koszach od szampana. Kiedy jednak powrócił na pokład z grubiańską pretensją, że brakuje mu wielu przedmiotów, i kiedy zaczął przeszukiwać bagaże innych pasażerów, przepełniła się miara cierpliwości i zrzucano go w morze. Przez długi czas przyglądano się z ciekawością falom, lecz żaden pęcherzyk nie wskazywał miejsca, w którym zanurzył się mój przodek; po chwili zauważono z przerażeniem, iż okręt zdany jest na łaskę fal, lina kotwiczna zaś zwisa luźno z dzioba. I znów zanotowano w pożółkłej księdze okrętowej taką oto dziwną uwagę: „Odkryto, że niemiły ten pasażer porwał kotwicę i sprzedał ją dzikim krajowcom. Co za łotr!” A jednak człowiek ten kierował się zacnymi i szlachetnymi popędami. Nie bez dumy przypominam, iż był on pierwszym z białych, który poświęcił się pracy nad ucywilizowaniem i edukacją Indian. Zbudował wygodne więzienie, zmontował szubienicę i aż do śmierci zwykł był mawiać z zadowoleniem, że miał na Indian wpływ znacznie szlachetniejszy i bardziej podniosły niż jakikolwiek inny reformator. W tym miejscu kronika staje się nagle bardziej mglista i kończy się niespodziewanie wiadomością, iż stary podróżnik, ponosząc skutki powieszenia pierwszego białego człowieka w Ameryce, doznał przy tym tak wielkich obrażeń, że przyplącił to życie.

Prawnuk „reformatora” żył w roku tysiąc sześćset z kawałkiem. Występuje on w kronikach rodzinnych jako „stary admirał”, chociaż historia nadała mu inne tytuły. Przez długi czas dowodził flotą lekkich, dobrze uzbrojonych statków i położył wielkie zasługi w pracy nad ściganiem okrętów kupieckich. Okręty, za którymi płynął lub które dojrzał swym sokolim okiem, szybko zazwyczaj mknęły po oceanie. Jeżeli jednak jakiś okręt guzdrał się w idiotyczny sposób, oburzenie jego nie miało granic. Kiedy nie mógł dłużej już zapanować nad sobą, zabierał taki okręt do siebie i starannie go ukrywał w oczekiwaniu, iż zgłoszą się poń jego właściciele. Nie zdarzało się to jednak nigdy. Pragnąc oduczyć marynarzy zagarniętego okrętu lenistwa i gnuśności, zmuszał ich do wzmacniających ćwiczeń i kąpieli. Nazywał to „chodzeniem po desce”. Wszyscy jego podopieczni niezmiernie to sobie chwalili. Straciwszy nadzieję, że właściciele zgłoszą się po swoje okręty, admirał palił je zwykle, ponieważ nie mógł patrzeć na tego rodzaju marnowanie pieniędzy wydanych na ubezpieczenie od ognia. Wreszcie wspaniały ten wilk morski został ścięty w kwiecie wieku i u szczytu swej kariery życiowej, wdowa zaś po nim była przekonana aż do śmierci, iż gdyby operacji tej dokonano o kwadras wcześniej, byłby wskrzeszony.

Charles Henry Twain żył w drugiej połowie XVII wieku. Był to żarliwy i znakomity misjonarz. Nawrócił on szesnaście tysięcy mieszkańców wysp na morzach południowych i przekonał ich niemal, że naszyjnik z psich zębów i para binokli nie są dostatecznym przyodziewkiem do uczestniczenia w służbie bożej. Zaczyna jego trzódka kochała go bardzo, bardzo gorąco, gdy zaś pogrzeb jego się skończył, uczniowie powstałi gromadnie (i wyszli z jadłodajni) ze łzami w oczach, mówiąc, że był to dobry, pulchny misjonarz i pragnęliby bardzo zjeść jeszcze coś z niego.

Pa-Go-To-Wah-Wah-Pukketekiwis (Potężny Myśliwy o Świńskim Oku) Twain był ozdobą XVIII wieku. Pomagał całym sercem generałowi Braddockowi w zwalczaniu ciemżyciela – Waszyngtona. On to właśnie strzelał zza drzewa siedemnaście razy do Waszyngtona. Aż do tego miejsca to piękne i romantyczne podanie, które znaleźć możecie w umoralniających książeczkach, jest zgodne z historią; kiedy jednak zbliżamy się do opowieści o tym, jak to przejęty zgrozą dzikus oświadczył po siedemnastym strzale, iż nie śmie już podnieść bezbożnej broni przeciw człowiekowi, przeznaczonemu widać przez Wielkiego Ducha do spełnienia wielkiej misji dziejowej – to tu zaprzeczyć musimy z całą energią temu wyraźnemu fałszowaniu historii. W rzeczywistości bowiem przodek mój wypowiedział następujące słowa: „To całkiem bezcelowe. Ten człowiek jest tak pijany, że chwieje się na nogach i nie mogę w żaden sposób go trafić. Nie mam zamiaru marnować więcej nabożów.”

Oto jaka była prawdziwa przyczyna zaprzestania kanonady po siedemnastym strzale – przyczyna bardzo prawdopodobna i zdobywająca bez zastrzeżeń nasze zaufanie.

Ubóstwiałem zawsze opowiadania ze wspomnianej książeczki, żywiłem jednak podejrzenie, że każdy Indianin, strzelając w czasie bitwy dwukrotnie do któregoś z żołnierzy Waszyngtona (a dwa w ciągu stulecia z łatwością wzrosnąć może do siedemnastu), gdy chybił, nabierał przekonania, iż Wielki Duch przeznaczył tego żołnierza do wielkich celów. Mniemam, że jedyną przyczyną, dla której sprawa strzelania do Waszyngtona dostała się do podręczników historii, inne zaś analogiczne wypadki poszły w zapomnienie, jest fakt, że proroctwo Indianina spełniło się właśnie w odniesieniu do prezydenta. Niewątpliwie nie starczyłoby książek na całej kuli ziemskiej, aby pomieścić w nich wszystkie proroctwa, jakie wypowiedzieli Indianie i inne niepowołane indywidua – lecz listę proroctw spełnionych można by doskonale zmieścić w kieszonce od kamizelki.

Pragnę tu nadmienić, że niektórzy z moich przodków znani są w historii pod przydomkami, wobec czego nie widzę potrzeby streszczania ich dziejów ani nawet wyliczania ich wszystkich z nazwiska. Godzi się jednak wspomnieć, że Richard Brinsley Twain, *alias* Guy Fawkes, John Wentworth Twain, *alias* Jan z Szesnastoma Stryczkami, William Hogarth Twain, *alias* Jack Sheppard, Ananias Twain, *alias* baron Münchhausen, John George Twain,

alias kapitan Kydd, wreszcie George Francis Twain, Tom Pepper, Nabuchodonozor i oślica Balaama – wszyscy oni należą do naszej rodziny, ale do gałęzi nieco oddalonej od głównej linii rodowej. Członkowie tej bocznej gałęzi różnią się od swego starożytnego pnia przede wszystkim tym, że w rodzinnym dążeniu do zdobycia sławy wybrali nędzną metodę gnicia w więzieniu, zamiast korzystania z dobrodziejstw szubienicy.

Nie jest rzeczą pożądaną, aby doprowadzić tego rodzaju wspomnienia zbyt blisko do swojej epoki. Lepiej wspomnieć jedynie niewyraźnie o pradziadku, następnie zaś przeskoczyć do swojej osobistej historii, co niniejszym czynię.

Urodziłem się bez zębów i pod tym względem Ryszard III miał wyższość nade mną. Urodziłem się jednak bez garbu i pod tym względem miałem przewagę nad nim. Moi rodzice nie byli ani zbyt ubodzy, ani też przesadnie uczciwi.

Ale przychodzi mi coś do głowy. Moja własna historia wydaje mi się wobec losów mych przodków tak licha i skromna, że bezpieczniej będzie pozostawić ją nienapisaną, aż do czasu kiedy i ja zostanę powieszony. Gdyby inne biografie, które miałem okazję czytać, poprzestały na przodkach, zanim nie zdarzy się podobny wypadek z ich właściwym bohaterem, byłoby to błogosławieństwem dla czytelnika.

I cóż wy na to?

JAK REDAGOWAŁEM DZIENNIK W TENNESSEE

Lekarz zalecił mi w celach zdrowotnych wyjazd na Południe, wybrałem się więc do stanu Tennessee, gdzie wyrobiłem sobie posadę współpracownika w czasopiśmie „Wrzask Południowo-Amerykański”.

Kiedy wszedłem do lokalu redakcji, by rozpocząć pracę, zastałem naczelnego redaktora pisma, skurczonego we dwoje na stołku o trzech tylko nogach, podczas gdy jego własne nogi leżały przed nim na stole.

W pokoju znajdował się jeszcze, oprócz pana redaktora, stół i fotel mocno zużyty. Obydwa te sprzęty, a więc tak stół, jak i fotel, ugiwały się pod stosem gazet, wycinków i rękopisów. Oprócz tego mieściła się w lokalu paka z piaskiem, zasypana niedopałkami cygar i papierosów, oraz piec z drzwiczkami wiszącymi precyzyjnie na jednej tylko zawiasie.

Pan redaktor naczelny ubrany był w długi, czarny surdut oraz białe płócienne ineksprymable. Buty miał zgrabne i starannie oczyszczone. Ubioru dopełniała pomięta koszula, wielki pierścień z brylantem na palcu, stojący kołnierzyk archaicznego kroju i wzorzysty krawat o luźno zwisających końcach. Cały ten strój utrzymany był w stylu roku 1848. Redaktor palił hawańskie cygaro i widać szukał w myśli słowa do jakiegoś zdania, grasujące bowiem w czuprynie palce rozwichrzyły ją w niemożliwy sposób.

Wyraz jego twarzy zdradzał wściekłość i okrucieństwo, toteż nietrudno było mi odgadnąć, że pisze w tej chwili jakiś niezwykle cięty artykuł. Ujrzawszy mnie, kazał mi przejrzeć miejscowe dzienniki i napisać „Przegląd prasy” z uwzględnieniem wszystkiego, co by mi się mogło wydać godne uwagi.

Siadłem przy biurku i skreśliłem, co następuje:

PRZEGLĄD PRASY TENESSYJSKIEJ

Wydawcy tygodnika „Trzęsienie Ziemi” kierują się, jak się zdaje, jakimś nieuzasadnionym uprzedzeniem względem nowo powstającej kolei w Ballyhack. Jak nas informują, Towarzystwo Akcyjne wcale nie ma zamiaru ominąć osady Buzzardville. Przeciwnie, Towarzystwo uważa tę osadę za jeden z najważniejszych punktów linii kolejowej. Nie wątpimy przeto, że czcigodni panowie z „Trzęsienia Ziemi” zamieszczą niniejsze sprostowanie.

Mr. John W. Blossom, utalentowany wydawca „Pioruna” oraz „Echa Wolności” w Higginsville, przyjechał wczoraj do naszego miasta i zamieszkał w hotelu Van Burensa.

Zwracamy uwagę czytelników, że nasz kolega z „Wycia Porannego” myli się bardzo, zapewniając, że wybór Van Wartera nie jest jeszcze faktem dokonany; nie wątpimy, że sprostuje on swój błąd. Niewątpliwie kolega nasz padł ofiarą nieporozumienia, w które wprowadziły go niekompletne listy wyborcze.

Niech nam będzie wolno stwierdzić z całym zadowoleniem, że miasto Blatherville stara się o zawarcie kontraktu z kilkoma przedsiębiorcami z New Yorku w celu wybrukowania swych

ulic. Dziennik „Hura Codzienne” rozpatruje tę decyzję w sposób umiętny i przypuszcza, że raz wreszcie dzieło to osiągnie pomyślny skutek.

Artykuł ten dałem redaktorowi, aby go przejrzał, poprawił lub zniszczył. Ten rzucił okiem, na dzieło mego pióra – i chmura przebiegła po jego obliczu. Przejrzał powtórnie artykuł i jego twarz przybrała wyraz gniewu. Nietrudno było dostrzec, że coś mu nie dogadza.

Naraz redaktor podskoczył na krześle i zawołał:

– Do stu tysięcy diabłów! Czyż pan myśli, że w ten sposób można pisać? Czy może pan sądzi, że czytelnicy mego organu zadowolą się taką wodą? Ho! ho! Pozwól pan pióro!

Nie zdarzyło mi się widzieć nigdy w życiu, aby jakieś pióro tak szybko kreśliło, mazało, poprawiało i niweczyło czyjeś słowa w sposób aż tak bezwzględny.

Podczas gdy redaktor pracował, ktoś strzelił do niego przez otwarte okno i zepsuł całą symetrię mego ucha.

– Ach! – wykrzyknął mój zwierzchnik. – To ten łotr Smith z „Wulkanu Moralnego”; powinien był stawić się tu wczoraj.

To mówiąc wyciągnął zza pasa rewolwer i wystrzelił. Smith padł, trafiony w udo. Zmieniło to kierunek drugiego wystrzału Smitha, który trafił w nieznanego. Tym nieznanym, któremu kula urwała palec, byłem ja.

Naczelnny redaktor dalej prowadził swe dzieło zniszczenia na moim rękopisie. W chwili gdy kończył, wpadł przez komin granat ręczny i roztrzaskał piec na drobne kawałki. Poza tym nie wyrządził żadnej szkody, tylko jakiś drobny odłamek wybił mi parę zębów.

– Ten piec już na nic – zauważył naczelnny redaktor.

Powiedziałem, że i mnie się tak wydaje.

– No, ale mniejsza o to. Niepotrzebny mi przy takiej pogodzie. Wiem, kto to zrobił. Dostanę go w swoje ręce! Patrz pan, oto jak powinno być napisane!

Wziąłem rękopis. Tak był poskrobany i pomazany, że rodzona matka nie poznałaby go, gdyby ją kiedykolwiek posiadał. Teraz brzmiał, jak następuje:

PRZEGLĄD PRASY TENNESSYJSKIEJ

Nałogowi łgarze z tygodnika „Trzęsienie Ziemi” mów zamierzają obrzucić jadem swych plugawych oszczerstw grono uczciwych i dostojnych postaci; obecnie przedmiotem ich wstrętnych mistyfikacji stało się jedno z najświetniejszych przedsięwzięć w ostatnich czasach – a mianowicie kolej żelazna w Ballyhack. W ich zwyrodniałych mózgownicach zrodził się pomysł, że kolej ta ominie osadę Buzzardville. Doprawdy, lepiej by się utopili w kałuży własnego kłamstwa, zanim by się mieli od nas doczekać lania, które im się prawdziwie należy.

Kretyn z „Pioruna” i „Echa Wolności” znów się ukazał w naszym mieście. Stanął, osioł, u Van Burensa.

Prosimy o zwrócenie uwagi na to, że łotr z „Wycia Porannego” z właściwą sobie perfidią podał w swojej szmacie, że Warter nie został wybrany! Nie bacząc na to, że apostołstwem dziennikarza amerykańskiego jest krzewienie wśród bliźnich prawdy, tępienie fałszu, kształcenie społeczeństwa, podnoszenie poziomu etycznego oraz obyczajności ogółu, że pod wpływem dziennikarza wszyscy winni stawać się łagodniejsi, litościwsi oraz pod każdym względem lepsi i szczęśliwsi – ten łotr spod ciemnej gwiazdy hańbi święte apostołstwo dziennikarstwa amerykańskiego rozsiewając oszczercze fałsze, wymysły i grubiaństwa.

Obywatelom Blatherville’u zachciało się – bruków!!! Przydałoby się im raczej więzienie albo dom starców. Też pomysł! Brukować miasto, które ma ledwie jedną gorzelnię, jedną kuźnię i jedną szmatę w rodzaju dziennika „Hura Codzienne”! Nic więc dziwnego, że ten gad

Bucker, redaktor „Hura Codziennego” – drze się wniebogłosy w tej sprawie, we właściwy sobie kretyński sposób sądząc, że gada do rzeczy!

– Oto jak należy pisać z temperamentem. Styl cukierkowy w dziennikarstwie nie zda się na nic!

W tej chwili z wielkim hukiem wleciała przez okno cegła i uderzyła mię w plecy. Usunąłem się, bo wydało mi się, że stoję komuś na drodze.

– To zapewne pułkownik – rzekł redaktor. – Czekałem na niego dwa dni, w tej chwili powinien się tu pokazać.

Miał słuszność. W chwilę potem stanął na progu pułkownik z rewolwerem w rękę.

– Czy mam zaszczyt mówić z tchórzem, który wydaje to podłe pismo?

– Tak, panie. Siadaj pan, proszę. Ostrożnie z krzesłem, brak mu jednej nogi; sędzę, że mam zaszczyt rozmawiać z bezczelnym kłamcą, pułkownikiem.

– Właśnie. Mam mały rachunek do uregulowania z panem. Jeśli ma pan wolną chwilę, to moglibyśmy zacząć.

– Mam do skończenia artykuł o „Wyraźnym postępie moralnym i intelektualnym w Ameryce”, ale to nic pilnego. Zaczynaj pan.

Oba pistolety wystrzeliły jednocześnie. Naczelnny redaktor stracił jeden kędzior ze swej bujnej czupryny, a kula pułkownika obrała sobie stałe lokum w najbardziej mięsistej części mego uda. Pułkownik miał nieco nadwężone lewe ramię. Strzelił po raz drugi. Obaj chybili, ale ja dostałem swój udział; któryś bowiem przestrzelił mi rękę. Za trzecim razem przeciwnicy pogłaskali się za ledwie kulami, ja zaś miałem zranioną nogę w kostce. Wówczas powiedziałem, że chciałbym udać się na przechadzkę, zważywszy, że jest to sprawa prywatna, w której wrodzona delikatność nie pozwala mi brać dalszego udziału. Ale obaj panowie prosili mię, abym usiadł, zapewniając, iż bynajmniej im nie przeszkadzam.

Po czym przystąpili do nabijania broni rozmawiając przy tym o żniwach i wyborach, a ja zająłem się opatrywaniem mych ran. Strzelanina rozpoczęła się na nowo, z ogromną zawziętością; każdy strzał był celny, z tym jednak, że na sześć kul pięć trafiło we mnie. Za szóstym strzałem pułkownik otrzymał śmiertelną ranę, po czym z właściwym sobie humorem stwierdził, że zmuszony jest się pożegnać mając ważne sprawy do załatwienia na mieście. Potem, zapytawszy o drogę do przedsiębiorcy pogrzebowego, opuścił nas. Redaktor zwrócił się do mnie:

– Oczekuję dziś gości na obiad i muszę się przygotować na ich przyjęcie. Zrobi mi pan prawdziwą grzeczność zastępując mnie tutaj i przyjmując interesantów.

Troszkę się wzdrygnąłem wobec perspektywy przyjmowania interesantów, ale za nadto byłem oszołomiony strzelaniną, która jeszcze mi huczała w uszach, aby zdobyć się na jakąkolwiek opozycję. Redaktor ciągnął dalej:

– Jones będzie tu o trzeciej, musi go pan wypoliczkować. Gillespie przyjdzie może wcześniej, trzeba wyrzucić go przez okno. Ferguson ma być koło czwartej, uśmierci go pan. Wydaje mi się, że to na dzisiaj wszystko. Gdyby miał pan chwilę swobodną, proszę napisać cięty artykuł na policję, a zwłaszcza zjechać głównego inspektora. Broń jest w szufladzie, naboje leżą w kacie, a za piecem są bandaże. W razie wypadku znajdzie pan na dole chirurga, dr Lanceta. Ogłasza się u nas, a my inkasujemy zapłatę w jego usługach lekarskich.

Wyszedł. Dreszcz przebiegł mnie od stóp do głów. W przeciągu następnych paru godzin narażony byłem na tak straszliwe niebezpieczeństwa, że opuściła mnie wszelka pogoda umysłu i beztroska. Przyszedł Gillespie i on mnie wyrzucił przez okno. Jones zjawił się w porę i gdy zabierałem się do spoliczkowania go, wyręczył mnie w tym miłym zajęciu. Jakiś całkiem nadprogramowy przybysz pozbawił mnie części mych włosów. Inny nieznamy, nazwiskiem Thompson, pozostawił mnie już w stanie zupełnej ruiny, zamieniając mą odzież w garść łachmanów. Na ostatek zostałem napadnięty i obłożony w kacie pokoju przez

wściekłą tłuszczę jakichś redaktorów, policjantów i innych indywiduów, które kleły, wrzeszczały i wymachiwały mi nad głową bronią wszelkiego rodzaju, aż powietrze się rozjaśniło w pokoju od ciągłych błysków stali. Miałem właśnie wyrzec się stanowiska współredaktora, gdy powrócił mój zwierzchnik wiodąc za sobą gromadkę ożywionych i najwyraźniej zachwyconych nim przyjaciół. Wywiązała się bijatyka i mordownia, której żadne ludzkie pióro nie jest w stanie opisać. Ludzie nawzajem zabijali się, ćwiartowali, wysadzali w powietrze, wyrzucali oknami. Rozlegały się ponure bluźnierstwa i wściekłe okrzyki wojenne, po czym wszystko ucichło. W ciągu pięciu minut pokój się opróżnił i znalazłem się sam z redaktorem, skąpanym we krwi; spojrzeliśmy jednocześnie na obraz krwawego zniszczenia roztaczający się przed nami.

On rzekł:

– Polubi pan to miejsce, przywyknie pan do niego.

Odparłem:

– Mam nadzieję, że zechce mnie pan uznać za wytłumaczonego; być może, iż z czasem nauczyłbym się pisać w sposób, który panu dogadza; nie wątpię, iżby mi się to udało, skoro tylko nabrałbym wprawy i oswoił się z językiem. Ale, prawdę rzekłszy, ta dosadność wyrażenia ma swoje niedogodności, a przy tym trudno tu pracować bez przerwy. Sam pan musi zdawać sobie z tego sprawę. Oczywiście, ta jędrność stylu ma na celu podźwignięcie poziomu umysłowego publiczności, ale ja nie życzę sobie tak dalece zwracać na siebie uwagę. Nie umiem też pisać swobodnie, gdy przerywają mi tak często jak dzisiaj. Owszem, podoba mi się to zajęcie, ale nie chciałbym, aby mi poruczano przyjmowanie interesantów. Wrażenia te są oryginalne, przyznaję, i mogą sprawiać pewną przyjemność, gdyby były sprawiedliwie rozdzielane. Ktoś strzela do pana przez okno i rani mnie; granat wpada przez komin pod pana adresem i wsadza kawał pieca prosto w mój nos; przyjaciel jakiś wpada, aby z panem zamienić parę grzecznościowych uwag, i tak mnie na wylot przedziurawia kulami, że nie jestem nawet w stanie zachować równowagi umysłowej; idzie pan sobie na obiad, tymczasem zaś przychodzi Jones – aby mnie policzkować, Gillespie – aby mnie wyrzucać przez okno, Thompson – aby mnie obedrzeć z wszelkiego odzienia, a jakiś nieznajomy zgoła osobnik skalpuje mnie z całą nonszalancją; wreszcie wpadają wszystkie okoliczne opryski i swymi tomahawkami wypędzają ze mnie tę resztę ducha, która kołocze się jeszcze w moim ciele. Ogółem wzięwszy, w życiu moim nie zaznałem tylu wrażeń, co przez dzień dzisiejszy. Nie, panie. Lubię pana, lubię niewzruszony spokój, z jakim załatwia pan swoich interesantów, ale widzi pan, nie przywykłem do tego trybu życia. Serce południowca jest zbyt impulsywne, a gościnność południowca zbyt obcesowa dla nas, ludzi północy. Artykuliki, które dziś napisałem, a w których chłodne frazesy mistrzowską swą ręką wsączył pan gorącą esencję tennesyjskiego dziennikarstwa, poruszą nowe gniazdo szerszeni. Przyjdzie znów cała tłuszcza redaktorów; może będą głodni i będą musieli wyładować na kimś swe niezadowolenie. Chciałbym przedtem pożegnać pana. Uchylam się od wszelkiego udziału w tych uroczystościach. Przyjechałem na południe, aby podreperować moje zdrowie, i w tym samym celu chcę odbyć jak najprędzej podróż powrotną. Dziennikarstwo tennesyjskie stanowczo za dużo mnie podnieca.

Po czym pożegnaliśmy się z obustronnym żalem, a ja natychmiast wynająłem mieszkanie – w szpitalu.

NIESZCZĘSNY NARZECZONY AURELII

Fakty dotyczące poniżej opisanego wypadku przesłała mi w liście pewna młoda dama, zamieszkująca piękną stolicę San Jose. Nie znam jej wcale. Listy podpisuje po prostu „Aurelia Maria”. Być może, że jest to imię fikcyjne, ale mniejsza o to. Biedne dziewczę jest wprost zgnębione przez nieszczęścia, jakie na nią spadły, a przy tym sprzeczne rady podstępnych wrogów i podmówionych przyjaciół wywołały w jej głowie taki zamęt, że biedactwo nie wie, jaką drogę ma obrać, aby wyplątać się z sieci trudności, w które, jak się zdaje, wplątała się już na zawsze. W trosce swej zwraca się o pomoc i radę do mnie, z elokwencją, która poruszyłaby serce posagu.

Posłuchajcie jej smutnej opowieści:

Kiedy miała lat szesnaście, pokochała – jak powiada – z całym oddaniem, cechującym natury namiętne, pewnego młodego człowieka z New Jersey. Nazywał się Williamson Breckinridge Caruthers i był o jakieś sześć lat od niej starszy. Zaręczyli się za wspólną zgodą krewnych i przyjaciół. Przez pewien czas życie ich wydawało się zabezpieczone od wszelkich trosk, zmartwień i niepewności, na jakie los skazuje innych ludzi.

Lecz nagle koło fortuny odwróciło się. Młody Caruthers zaraził się ospą najzjadliwszego gatunku i kiedy wyzdrowiał, twarz jego wyglądała jak forma do wafli. Uroda jego przepadła raz na zawsze.

Aurelia chciała zerwać z nim zupełnie, ale litość dla nieszczęśliwego kochanka przemogła. Odłożyła tylko dzień ślubu do następnego sezonu. Myślała, że się może coś zmieni.

Akurat w przeddzień ślubu Williamson Breckinridge Caruthers, mając wzrok utkwiony w balon, wlaź w studnię i złamał nogę. Musiano uciąć mu ją nad kolaniem. I znów Aurelię namawiano do zerwania z nim, ale i tym razem miłość zatriumfowała. Dziewczyna powtórnie odłożyła dzień ślubu i dała narzeczonemu nową szansę poprawy.

I znowu zły los dotknął nieszczęśliwego młodziana. Utracił prawe ramię na skutek przedwczesnego wybuchu armaty w dzień uroczystości 4 lipca, a lewe oderwała mu maszyna do gremplowania. Serce Aurelii było prawie złamane. Czyż mogła nie wpaść w rozpacz, widząc, jak kochanek opuszcza ją po kawałku, i czując, tak jak ona to czuła, że nie starczy go już na długo, jeśli proces odejmowania będzie trwał nadal? Bezsilna, nie mogąca zmienić tego straszliwego przeznaczenia, zalana łzami i zrozpaczona, żałowała, jak pośrednik, który stracił na przetrzymanym towarze, że nie poślubiła go wcześniej, gdy nie uległ jeszcze tak znacznej dewaluacji.

Mimo to dzielna dusza Aurelii wzięła górę. Dziewczyna postanowiła przeczekać cierpliwie wyjątkowo nieszczęśliwe okoliczności, jakie ścięły jej przyjaciela.

Znów zbliżył się dzień ślubu i znów rozczarowanie okryło go swym cieniem. Caruthers rozchorował się tym razem na różę i oślepl na jedno oko. Krewni i przyjaciele narzeczonej wychodząc z założenia, że jej wyrzeczenie poszło już zbyt daleko, a w każdym razie o wiele dalej, niż pozwala rozsądek, wystąpili i stanowczo zażądali zerwania. Aurelia, wiedzona godną pochwałą szlachetnością, odrzekła jednak, że po chłodnym rozważeniu sprawy nie znajduje, aby Breckinridge był winien i zasługiwał na nagane.

Raz jeszcze odłożyła więc dzień ślubu i Caruthers złamał drugą nogę. Smutny to był dzień dla młodej dziewczyny, gdy ujrzała chirurgów niosących z uszanowaniem worek, o którego zawartości nauczyło ją już poprzednio nabyte doświadczenie. Serce powiedziało jej gorzką prawdę, że oto jeszcze jedna część jej kochanka przepadła na wieki. Poczuła, że teren jej miłości zmniejsza się z każdym dniem, a jednak na przekór rodzinie odnowiła swe zaręczyny.

Zbliżał się szybko dzień ślubu, gdy nowa klęska spadła na młode stadło.

Jednego tylko człowieka oskalpowali Indianie znad rzeki Owen, a człowiekiem tym był Williamson Breckinridge Caruthers. Jechał do domu z sercem pełnym radości, gdy nagle przyszło mu raz na zawsze rozstać się ze swą czupryną. W tej godzinie gorczy przeklinał zwodniczą litość, oszczędzającą jego głowę!

Aurelia znalazła się w końcu w prawdziwym kłopotcie. Co dalej robić? Kocha w dalszym ciągu swego Caruthersa – pisze mi o tym ze szczerym kobiecym uczuciem – a raczej kocha to, co z niego pozostało. Ale rodzice całą siłą przeciwstawiają się mezaliansowi, ponieważ niezdolny do pracy konkurent nie posiada nic, a ona nie ma środków, aby oboje mogli utrzymywać się dostatnio. „Cóż mam więc począć?” – tymi strapionymi słowy zwraca się do mnie z nieśmiałą prośbą o radę.

Sprawa jest delikatna. Szczęście całego życia kobiety i przyszłość prawie 2/3 mężczyzny zawisły od mojej decyzji. Uświadamiając sobie ogrom odpowiedzialności, jaką wziąłbym na siebie, nie wyjdę poza malutką propozycję, którą można zarówno przyjąć, jak odrzucić.

Mianowicie: jakże przedstawiałby się plan odbudowy? Jeżeli stać Aurelię na ten wydatek, niech zaopatrzy swego kochanka w drewniane ręce i nogi, niechaj mu kupi szklane oko i perukę, a wtedy niech go pokaże raz jeszcze. Potem niech mu zostawi po raz ostatni dziewięćdziesiąt dni – bez apelacji – na próbę, a jeżeli nie skręci karku przez ten czas, niechaj ryzykuje i wyjdzie za niego za mąż.

Nie zdaje mi się, Aurelio, aby twe ryzyko było wielkie. Jeżeli bowiem Williamson Breckinridge Caruthers trwać będzie nadal w swej skłonności do uszkodzania się przy każdej dobrej po temu okazji, to następny eksperyment wykończy go, a wtedy znajdziesz spokój czy jako panna, czy jako mężatka. W obu wypadkach drewniane nogi i inne ruchomości, jakie posiadał, zostaną przy tobie i nie stracisz nic... prócz ukochanych części szlachetnego, acz nieszczęśliwego małżonka, który chciał przecież jak najlepiej, ale intencjom jego przeciwstawiał się zły los.

Spróbuj, Mario Aurelio! Rzec całą zbadalem uważnie. Upatruję w tym jedyny dla ciebie ratunek.

Co prawda, Caruthers miałby szczęśliwy pomysł, gdyby zaczął od złamania karku. Ale skoro uznał za stosowne obrać inną politykę i przeciągnąć sprawę jak najdłużej, sędzę, że nie powinniśmy mu robić za to wymówek. Widocznie sprawiało mu to przyjemność. Powinniśmy więc zrobić, co leży w naszej mocy, nie oddając się rozpaczom i wierząc, że wszystko jeszcze będzie dobrze.

JAK KANDYDOWAŁEM NA GUBERNATORA

Przed kilkoma miesiącami wysunięto moją kandydaturę na gubernatora stanu New York z listy niezależnych. Moimi kontrkandydatami byli pp. John T. Smith oraz Blank J. Blank. Wiedziałem, że posiadam niewątpliwą przewagę nad tymi panami w postaci dobrej reputacji. Wystarczyło spojrzeć na gazety, aby dowiedzieć się, że jeśli panowie ci cieszyli się kiedyś dobrą opinią, to czasy te minęły już bezpowrotnie. Nie ulegało wątpliwości, że mieli oni w ostatnich latach do czynienia z najbardziej podejrzanymi i brudnymi sprawkami. Kiedy jednak cieszyłem się w cichości ducha z mojej przewagi moralnej, to z radością tą mieszało się uczucie zażenowania, że moje nazwisko wymieniane będzie jednym tchem z nazwiskami tego typu indywiduów. Długo zwlekałem z przyjęciem kandydatury, aż wreszcie postanowiłem napisać w tej sprawie do mojej babki. Odpowiedź jej była zarówno szybka, jak i dobitna:

„Nie popełniłeś w swym życiu niczego takiego, co mogłoby przynieść ci ujmę. Spójrz tylko na gazety, a zrozumiesz, jakimi osobnikami są panowie Smith i Blank. Zastanów się dobrze, czy chcesz poniżyć się do tego stopnia, aby rywalizować z ludźmi tego pokroju.”

Tak samo właśnie i ja myślałem! W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Mimo wszystko jednak nie widziałem sposobu wycofania swej kandydatury. Byłem już zaangażowany i musiałem stanąć do walki. Przeglądając przy śniadaniu dzienniki natrafiłem na taką oto wzmiankę, która wytrąciła mnie całkiem z równowagi:

KRZYWOPRZYSIĘSTWO

Może by pan Mark Twain wytłumaczył nam dzisiaj, gdy staje jako kandydat na gubernatora przed swym narodem, jak to się stało, że w r. 1863 w miejscowości Wakawak w Kochinchinie czterdziestu czterech świadków udowodniło mu krzywoprzysięstwo, które popełnił, aby wydrzeć szmat pola bananowego z rąk nieszczęśliwej wdowy malajskiej i jej bezbronnej rodziny, dla której pole to było jedynym środkiem utrzymania. Nie wąpimy, że p. Twain w interesie zarówno swoim, jak i ludu, o którego głos zabiega, zechce sprawę tę wyjaśnić jak najrychlej. Czy jednak to uczyni?

Myślałem, że pęknę ze zdumienia. Cóż za okrutne, straszliwe oskarżenie. Nie widziałem nigdy na oczy Kochinchiny!

Nie słyszałem o żadnym Wakawaku! Nie potrafiłbym odróżnić pola bananowego od kangura! Nie wiedziałem, co począć. Byłem oszołomiony i bezradny. Dzień minął, a ja nic nie zrobiłem w tej sprawie. Nazajutrz ta sama gazeta zamieściła króciutką notatkę:

CHARAKTERYSTYCZNE

Godzi się zauważyć, iż p. Twain zachowuje znamienne milczenie w sprawie krzywoprzysięstwa w Kochinchinie.

(N. B. Przez cały czas walki wyborczej dziennik ten nie nazywał mnie inaczej, jak „Twain, ohydny krzywoprzysięzca”.)

Następnie wpadła do mych rąk „Gazette”, w której przeczytałem, co następuje:

PROSIMY O ODPOWIEDŹ

Może by nowy kandydat na stanowisko gubernatora zechciał wyjaśnić nam pewną sprawę. Idzie o jego współlokatorów w Montanie, którym od czasu do czasu ginęły różne drobne, choć wartościowe drobiazgi. Dziwnym trafem znajdowano je zawsze u p. Twaina. Współlokatorzy byli zmuszeni udzielić mu dla jego własnego dobra przyjacielskiego napomnienia, po czym dali mu niezłą nauczkę i poradzili, aby pozostawił na stałe próżnię w miejscu, w którym zwykł był przebywać w obozie. Czekamy na wyjaśnienia p. Twaina w tej sprawie.

Czy można było zdobyć się na większą złośliwość? Nigdy w życiu nie byłem w Montanie.

(„Gazette” nie nazywała mnie odtąd inaczej, jak „Twain, złodziej z Montany”.)

Brałem teraz do rąk dzienniki tak ostrożnie, jak człowiek, który podnosi kołdrę spodziewając się znaleźć w łóżku żmiję. W parę dni później znalazłem znów taki oto artykuł:

KŁAMSTWO PRZYGWOŹDZONE

Złożone pod przysięgą zeznania pp. Michela O’Flanagana, esq. z Five Points oraz Snub Rafferty i Catty Mulligana z Water Street jednogłośnie dowodzą, iż fałszywe oświadczenie p. Marka Twaina na temat dziadka naszego kandydata pozbawione jest wszelkiego pokrycia w rzeczywistości. P. Twain ośmielił się mianowicie stwierdzić, iż zmarły dziadek powszechnie szanowanego p. Blanka J. Blanka powieszony został za rabunek uliczny, co jest ohydny i ordynarnym łgarstwem. Jest rzeczą odrażającą, iż dla doraźnych celów politycznych nie daje się spokoju ludziom nawet w grobach obrzucając błotem ich czcigodne nazwiska. Kiedy pomyślimy o tym, jak wielce boleć muszą podobne zniewagi rodzinę i przyjaciół nieodżałowanego nieboszczyka, nie możemy oprzeć się chęci zaapelowania do szanownych wyborców, aby udzielili nauczki zdziczałemu oszczercy. Ale nie! Pozostawmy go raczej na pastwę wyrzutów sumienia (choćby jeśliby szlachetniejsi spośród czytelników zadali kłamcy obrażenia cielesne, nie ulega wątpliwości, że nie znalazłby się sąd, który potępiłby ich za ten wzniosły uczynek).

Misterne ostatnie zdanie tego artykułu wywarło taki skutek, że „najszlachetniejsi spośród czytelników”, opanowani szlachetnym oburzeniem, wyrzucili mnie w nocy z mojego własnego mieszkania łamiąc meble i okna oraz unosząc ze sobą to wszystko, co byli w stanie unieść. A jednak gotów jestem przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie obraziłem pamięci dziadka p. Blanka. Więcej jeszcze, nie słyszałem o nim aż do chwili ukazania się wspomnianego artykułu.

(Nawiasem mówiąc, dziennik ten nazywał mnie odtąd „Twain, profanator zwłok”.)

Następna wzmianka, która przykuła moją uwagę, brzmiała następująco:

ŁADNY KANDYDAT

Mark Twain, który miał wczoraj wygłosić mowę na wiecu niezależnych, nie przybył wcale na wiec. Lekarz jego doniósł telegraficznie, że p. Twain ma nogę złamaną w dwóch miejscach. Pacjent cierpi okropnie – itd. itd. i całe mnóstwo podobnych bredni. Niezależni wzięli to za dobrą monetę, teraz zaś udają, że nie wiedzą nic o prawdziwej przyczynie nieobecności tego indywiduum, które w swym zaślepieniu wybrali na kandydata. A przecież widziano wczoraj wieczorem, jak jakiś pijany osobnik zmierzał do mieszkania p. Twaina w stanie zupełnego zamroczenia. Jest obowiązkiem niezależnych dostarczyć nam dowodów, iż osobnik ten nie był p. Markiem Twainem.

Nareszcie mamy ich w ręku! W tej sprawie nie ma miejsca na żadne kruczki i wybiegi! Lud zadaje im z całą mocą i naciskiem pytanie: „Kim był ten pijak?”

Było to fantastyczne, całkiem fantastyczne, że właśnie moje nazwisko zamieszane było w podobną sprawę. Przeszło trzy lata minęły już od chwili, kiedy miałem w ustach ostatnią kroplę alkoholu.

(Już od następnego numeru dziennik ów nazywał mnie stale: „Pan Delirium Tremens Twain”.)

W tym samym czasie zaczęły do mnie napływać w wielkiej ilości listy anonimowe. Treść ich była zawsze niemal jednakowa:

Jak to było z tą kobietą, którą pan pobił, kiedy prosiła o jałmużnę? Poi Pry.

Albo:

Popęlnił pan szereg łajdactw, o czym nie wie nikt prócz mnie. Radziłbym więc panu przesłać mi odwrotnie kilka dolarów, gdyż inaczej zrobię z tego użytek w gazetach. Handy Andy.

To chyba wystarczy. Mógłbym cytować więcej, gdybym chciał zmęczyć czytelnika.

Wkrótce potem centralny organ republikański zarzucił mi przekupstwo na wielką skalę, zaś centralny organ demokratyczny przytoczył „fakty” świadczące, iż usiłowałem zyskać bezkarność w pewnych sprawkach za pomocą szantażu.

Z tej racji zyskałem dwa nowe przydomki: „Twain, brudny łapownik” i „Twain, podły szantażysta”.

Odtąd domagano się ode mnie odpowiedzi ze wszystkich stron i z taką natarczywością, że nie tylko redaktorzy, ale również i przywódcy mego stronnictwa orzekli, iż dalsze milczenie z mej strony stanie się moją zgubą polityczną. Na domiar złego nazajutrz ukazał się w jednym z dzienników następujący artykuł:

PRZYJRZYJCIE MU SIĘ DOBBZE!

Kandydat niezależnych wciąż jeszcze milczy. Robi to dlatego, że nie ma dość odwagi, aby zabrać głos. Wszystkie oskarżenia przeciwko niemu są w pełni umotywowane, zaś swym milczeniem potwierdza on jeszcze stokrotnie ich słuszność. Niezależni, przyjrzyjcie się swojemu kandydatowi! Spójrzcie na ohydneho krzywoprzysięcę, złodzieja z Montany, profanatora zwłok! Podziwiajcie tego deliryka, brudnego łapownika, podłego szantażystę! Zastanówcie się i powiedzcie, czy możecie złożyć wasze głosy na człowieka obciążonego tak wstrętnymi zbrodniami, który nie posiada nawet dość odwagi, aby pisać słówko w swojej obronie!

Nie, dłużej nie mogłem milczeć. Zanim jednak przygotowałem „odповідź” na tę potworną ilość zarzutów, jeden z dzienników zarzucił mi, że spaliłem dom wariatów li tylko dlatego, że przesłaniał mi widok z mojego okna. To wprawiło mnie w jakiś niesamowity lęk. Zaraz potem przeczytałem zarzut, iż otrulem mego wujaszka pragnąc zawładnąć jego majątkiem – zarzut połączony z żądaniem ekshumacji zwłok. Omal że nie zwariowałem! Następnie oskarżono mnie, że będąc dyrektorem przytułku używałem do najcięższych robót zniedołężniałych i bezzębnych staruszków. Zacząłem poważnie się wahać, czy nie wycofać się z tej całej awantury. Na koniec jednak, jako ukoronowanie wszelkich oszczerstw rzucanych na mnie przez przeciwników politycznych, nastąpiło zwołanie całej chmary dzieciaków różnej wielkości i maści i nakazanie im, by wołały w czasie mego przemówienia na wiecu: „Tatusz, tatusz!”

Dałem za wygraną. Uległem. Nie dorosłem widać do wysokiego stanowiska gubernatora stanu New York. Wycofałem moją kandydaturę, przy czym tak podpisałem się na mym liście:

„Z szacunkiem

Mark Twain

niegdyś porządny człowiek, dziś ohydny krzywoprzysięzca, złodziej z Montany, profanator zwłok, deliryk, brudny łapownik, podły szantażysta itp.”

PODRÓŻ MIĘDZYPLANETARNA

Otrzymaliśmy następujące ogłoszenie, które ze względu na jego sensacyjną treść, wzbudzającą ogólne i głębokie zainteresowanie, zamieszczamy w części artykułowej naszego pisma. Ufamy, że nasza decyzja w tej sprawie wymaga jedynie wyjaśnienia, nie zaś usprawiedliwienia.

Redakcja „New York Herald”

OGŁOSZENIE

Niniejszym mam zaszczyt zawiadomić szanowną publiczność, że wraz z panem Barnumem wydzierżawiłem na pewien przeciąg czasu komety; zarazem ośmielam się prosić publiczność, aby raczyła łaskawie poprzeć to nasze dobroczynne przedsięwzięcie.

Mamy zamiar urządzić na komecie wygodne, a nawet luksusowe pomieszczenia stosownie do ilości osób, pragnących zaszczyścić nas swymi względami i przedsięwziąć wielką wycieczkę dla zwiedzenia ciał niebieskich. W ogonie komety urządzimy milion prawdziwie wytwornych pokojów (zaopatrzonych w zimną i gorącą wodę, gaz, lunety, spadochrony, parasole itp.), a ilość tę możemy jeszcze powiększyć, jeśli tylko spotkamy się ze wspaniałomyślną zachętą ze strony publiczności. Otworzymy osobne sale bilardowe i koncertowe, kluby karciane, olbrzymie teatry i czytelnie. Na wierzchnim pokładzie zainstalujemy wspaniały park do jazdy konnej, z drogą żwirową długości 100 tysięcy mil. Postaramy się o wydawanie pism codziennych.

Odjazd komety

Kometa opuści New York dnia 20 bm. o godzinie 10 wieczorem. Byłoby pożądanym, aby łaskawi pasażerowie zgłosili się najpóźniej o godzinie 8 wieczorem, a to celem uniknięcia wszelkich nieporozumień i zamieszania. Nie jest pewne, czy potrzebne będą paszporty. Pasażerowie jednak zrobiliby roztropnie przygotowując się na tę ewentualność. Zabieranie psów niedozwolone. Nad bezpieczeństwem pasażerów czuwać będziemy nieustannie ze szczególną troskliwością. Dokoła całej komety zainstalowana jest silna poręcz żelazna; przekraczanie poręczy i wychylanie się surowo wzbronione, chyba w towarzystwie moim lub mego współnika.

Służba pocztowa

Zorganizujemy ją w sposób niezawodny. Rzecz prosta, funkcjonować będzie jedynie telegraf. Tak więc przyjaciele oddaleni od siebie o 20, a nawet 30 milionów mil, tj. zakwaterowani w krańcowych pokojach naszej komety, otrzymywać będą od siebie

wiadomości najdalej w ciągu jedenastu dni. Nocne depesze za pół taryfy. Cały ten system telegraficzny pozostaje pod osobistym nadzorem p. Hale'a z Maine. Posiłki o każdej porze dnia i nocy. Za podawanie do pokoiw specjalna dopłata.

Nie obawiamy się bynajmniej jakichkolwiek nieprzyjaznych kroków ze strony innych planet. Na wszelki jednak wypadek zaopatrzyliśmy się w odpowiednią ilość moździerzy, ciężkich armat i włóczy. Historia uczy, że małe, odosobnione zbiorowiska ludzkie, tak jak np. mieszkańcy dalekich wysp, okazują wrogość względem przybyszów, co może zajść również i w tym wypadku

z mieszkańcami gwiazd

dziesiątej i dwudziestej wielkości. W żadnym razie nie zamierzamy ubliżyć mieszkańcom jakiegokolwiek gwiazdy; przeciwnie, mamy zamiar traktować wszystkich z równą grzecnością i przyjaźnią. Nie pozwolimy sobie na to, aby ustosunkować się do małych gwiazdek inaczej niż do Jowisza lub Saturna. Powtarzam, iż nie uchybimy żadnemu ciału niebieskiemu; jeżeli jednak spotka nas jakaś niesprawiedliwość lub zniewaga ze strony bądź osób prywatnych, bądź też rządów jakiegokolwiek gwiazdy na firmamencie, wyciągniemy z tego bezzwłocznie konsekwencje. Nie będąc zwolennikami przelewu krwi, stać będziemy na straży naszych praw, nie tylko wobec poszczególnych gwiazd, ale nawet wobec całych konstelacji. Tuszymy, że na wszystkich planetach, od Wenus aż do Uranu, Ameryka, godnie przez nas reprezentowana, uczyni jak najlepsze wrażenie. Jeżeli zaś nie potrafilibyśmy wzbudzić miłości do naszego kraju, to w każdym razie potrafimy zmusić mieszkańców ciał niebieskich do respektu. Zabierzemy ze sobą bezpłatnie

wielką ilość misjonarzy,

którzy szerzyć będą prawdziwe światło wśród ciał niebieskich, które acz oślepiające fizycznie, pograżone są jeszcze – niestety! – w moralnych ciemnościach. Zaprowadzi się również przymusową naukę.

Kometa odwiedzi najpierw Marsa, następnie Merkurego, Jowisza, Wenus i Saturna. Pasażerom, którzy pragnęliby obejrzeć pierścienie, udostępniemy wszelkie środki lokomocji. Zwiedzimy każdą gwiazdę znaczniejszych rozmiarów i wyznaczymy dostateczny okres czasu na zwiedzanie ciekawszych okolic w głębi poszczególnych ciał niebieskich.

Zwiedzanie Syriusza

zostało wykreślone z programu wycieczki. Na zwiedzanie Wielkiej Niedźwiedzicy, Słońca, Księżyca i Drogi Mlecznej, zwanej Golfstromem Niebios, przeznaczają się szczególnie wiele czasu. Prosimy o zaopatrzenie się w ubiory odpowiednie do noszenia na Słońcu. Nasz program jest tak ułożony, że rzadko kiedy przejedziemy ponad 100 milionów mil bez odpoczynku. Pociągnie to za sobą konieczność częstych przystanków. Kwity bagażowe wydawane będą do każdego punktu na naszej trasie. Osoby, które przez oszczędność życzyłyby sobie odbyć tylko część naszej wycieczki, mogą zatrzymać się na dowolnej gwiazdzie i zaczekać na nasz powrót.

Zwiedzimy w ten sposób najślawniejsze gwiazdy i konstelacje naszego systemu, dotarłszy do najmniejszych iskerek, ledwo widocznych przez najlepsze teleskopy, przedsięwzięmy dopiero

Zdumiewającą podróż

celem odkrycia niezliczonych światów, uwijających się po olbrzymich przestrzeniach, które rozciągają się w niezmiernych obszarach bilionów i bilionów mil poza zasięgiem wszelkich teleskopów, tak że to, co my patrząc z Ziemi nazywamy naiwnie firmamentem, okaże się maleńkim, błyszczącym punkcikiem gdzieś pod nami, punkcikiem, który może mógłby zainteresować jakiegoś astronoma, ale który dla nas, obracających się w bezkresach nafosforyzowanych oceanów, wyda się nudnym i trywialnym drobiazgiem. Dzieci, zasiadające do stołu razem z dorosłymi, płacą pełną takse.

Cena biletu I klasy

z Ziemi do Uranu, łącznie z odwiedzinami Słońca, Księżycy i przydrożnych ciał niebieskich, wynosi zaledwie 2 dolary za 50 milionów mil. Podróżnym reflektującym na odbycie całej wycieczki przyznaje się znaczne ulgi. Moja kometa jest całkiem nowa, doskonale skonstruowana i nieużywana. Jej szybkość jest zadziwiająca, przebywa bowiem dziennie 20 milionów mil; mamy nadzieję, iż z wyborową załogą amerykańską i przy sprzyjającej pogodzie osiągniemy do 40 milionów mil. Zabrania się jak najsurowiej ścigania się z innymi planetami. Podróżni, którzy pragnęliby zmienić trasę lub też wrócić na Ziemię, mogą przesiąść się na inne komety, jesteśmy bowiem w kontakcie ze wszystkimi głównymi liniami komunikacyjnymi. Pełne bezpieczeństwo podróży zagwarantowane. Niepodobna bowiem zaprzeczyć, że niebo roi się od

starych zmurszałych komet,

które od dziesiątków tysięcy lat nie były dokładnie badane, a które, jak podejrzewamy, od dawna już powinny być zmienione w mgły lub zupełnie zlikwidowane; podkreślamy, iż z tym typem komet nie utrzymujemy żadnych stosunków. Pasażerom III klasy nie wolno przechadzać się po pokładzie.

Powodowani grzesznością rozesłaliśmy bezpłatne bilety generałowi Butlerowi oraz panom Shephardowi i Richardsonowi, oraz innym wielkim mężom, których zasługi położone dla dobra ludzkości nakazywały ułatwienie im odbycia tej miłej i luksusowej podróży. Osoby, które zamierzają odbyć całą podróż, będą szczególnie uprzywilejowane. Podróż zakończy się 14 grudnia 1991 r., kiedy to pasażerowie wysiądą w New Yorku. Czas podróży jest przynajmniej o 40 lat krótszy niż u konkurencyjnych komet. Wszyscy niemal deputowani, którzy nie uiścili swych długów, mogą wziąć udział w wycieczce, jeśli wyborcy pozwolą im na takie ferie. Każda niewinna rozrywka dozwolona jest na naszym pokładzie z wyjątkiem gier hazardowych i zakładów o bieg komety. Wszystkie stałe gwiazdy będą uszanowane, zaś takie gwiazdy, które nie ustaliły się jeszcze, zostaną ustalone; jeśli spowodowałyby to zamieszanie – trudno! Od naszego zamiaru nie odstępimy.

Ponieważ pan Coggia wydzierżawił nam swą kometa, nie będzie ona nosiła jego imienia, lecz imię mego współnika. Pasażerowie mogą uzyskać prawo współudziału w eksploatacji nowych gwiazd, słońc, księżyców, komet, meteorów oraz magazynów grzmotów i błyskawic, które zostaną przez nas odkryte. Dotyczy to jednak tylko pasażerów płacących podwójną taryfę za przejazd. Właścicielom fabryk i wytwórni zwracamy uwagę, że

zabieramy ze sobą afisze reklamowe

wraz z pędzlem i klajstrem, z których to przedmiotów można na bardzo przystępnych warunkach zrobić odpowiedni użytek w poszczególnych miejscach postoju. Zwolennikom

palenia zwłok zwracamy uwagę, że jedziemy do bardzo gorących okolic, zaś warunki nasze są bardzo przystępne. Dla naszych pasażerów jest nasze przedsiębiorstwo rozrywką – dla nas przede wszystkim interesem.

Bliższych informacji

na temat frachtu, zakwaterowania, trasy i tym podobnych spraw udziela mój wspólnik; moja osobista odpowiedzialność rozpoczyna się z chwilą załadowania komety.

Jest rzeczą niezbędną, aby w chwili takiej jak obecna duch mój nie był zaprzątany drobnymi, kupieckimi szczegółami.

Mark Twain

SYTUACJA BEZ WYJŚCIA

Raz albo dwa razy do roku otrzymuję list pewnego określonego rodzaju. Mimo iż rodzaj ten nie podlega żadnym istotnych zmianom ani co do formy, ani co do treści, nie potrafię przyzwyczaić się do tych listów – każdy z nich na nowo mnie zdumiewa. W taki sam sposób działa na mnie lokomotywa. Mówię do siebie: Widziałem cię tysiąc razy, ale zawsze jesteś cudem, zawsze niemożliwością; wynalezienie ciebie stoi wyraźnie poza zasięgiem geniuszu ludzkiego, nie możesz istnieć, nie istniejesz, lecz mam cię oto przed sobą!

Leży przede mną list tego właśnie rodzaju, list bardzo stary. Chciałbym go opublikować – bo i cóż w tym złego? Autorka jego nie żyje już od dawna, a jeśli zataję jej nazwisko i adres – adres na tym świecie – przekonany jestem, że jej cienie nie będą miały mi tego za złe. Jednocześnie chciałbym opublikować odpowiedź, którą wówczas napisałem, ale która zapewne nie została wysłana. Jeżeli zaś ją wysłałem, co nie jest prawdopodobne, to chyba tylko w formie kopii, ponieważ mam przed sobą spięty z listem oryginał. Na ten rodzaj listów piszemy bowiem wszyscy odpowiedzi, których później nie wysyłamy bojąc się zranić kogoś, komu bynajmniej nie chcemy sprawić przykrości. Ja postępowałem tak wielokrotnie, a oto okaz korespondencji tego pokroju:

LIST

Pan S. L. Clemens
(Mark Twain)
Hartford, Connecticut

Drogi Panie!

Niewątpliwie będzie pan zaskoczony dowiadując się, kto zwraca się doń z prośbą o przysługę. Niech pan łaskawie powróci myślą do swego pobytu w kopalniach Humboldta w latach 1862–1863. Przypomina pan sobie, że pan, Clagett, Oliver i stary kowal Tillou mieszkaliście w szałasie położonym w głębi parowu, zaś w obozie było sześć chat z pali, wybudowanych już w pobliżu grzbietu górskiego, tam gdzie kończyły się działki. Szałas, w którym pan mieszkał, miał płócienny dach, przez który pewnej nocy wpadła krowa, co opisał pan w książce *Roughing It* – mój wujek Simmons przypomina sobie ten fakt doskonale. Mieszkał on w największej chacie w połowie drogi od grzbietu górskiego razem z Dicksonem, Parkerem i Smithem. Była to jedyna chata mieszcząca dwie izby: jedną na palenisko, drugą na prycze. Pan i pańscy przyjaciele byliście tam owej sławnej nocy, kiedy lokatorzy tej chaty mieli suszone placki jabłeczne – mój wuj lubi o tym opowiadać. Wydaje się dziwne, że suszone placki jabłeczne uchodziły wtedy za rzecz tak rzadką; ale były one istotnie rzadkością, co dowodzi, jak oddalone od świata i mało dostępne były wówczas kopalnie Humboldta i jak szczupły był miejscowy jadłospis. Szesnaście lat temu – to kawał czasu. Byłam wtedy małą czternastoletnią dziewczynką. Nigdy pana nie widziałam.

Mieszkałam w Washoe. Tyle tylko, że wujek Simmons jeździł do was od czasu do czasu w okresie, kiedy pracował pan wraz ze swymi przyjaciółmi na jednej z działek. Pole było już bardzo dawno wyeksploatowane; nie zostało tam srebra nawet na zrobienie guzika. Nie widział pan nigdy mojego męża, ale on był tam po pańskim wyjeździe i mieszkał w tym samym szałasie, wówczas kawaler, obecnie zaś żonaty ze mną. Mój mąż często żałuje, że nie było tam fotografa, który zrobiłby zdjęcie tego szałasu. Mój mąż został kontuzjowany w szybie starego Hala Clayтона, opuszczonym tak samo jak i inne, bo założywszy ładunek nie zdążył wygramolić się dość szybko, chociaż wspinał się z wszystkich sił. Odrzuciło go aż na tor, przy czym spadając na ziemię, przewrócił krajowca. Przez parę tygodni myślano, że tego nie przeżyje, ale wytrzymał i obecnie czuje się dobrze. Od tego czasu nic mu nie dolega.

Wiem, że to długi wstęp, ale nie mam innego sposobu przypomnienia się panu. Nie wątpię, że w swej wielkoduszności nie odmówi mi pan wyświadczenia przysługi, o którą proszę: idzie mi o radę w związku z książką, której jestem autorką. Nie wyobrażam sobie niczego nadzwyczajnego na jej temat, prócz tego, że jest jak najbardziej prawdziwa i równie interesująca jak większość współczesnych książek. Jestem zupełnie nieznaną w kręgach literackich, a pan wie, co to oznacza, chyba że ma się kogoś wpływowego (tak jak pan), który może dopomóc i szepnąć komuś dobre słowo. Chciałabym omówić sprawę, szczególnie jeśli idzie o honorarium, z kimś poleconym mi przez pana.

Trzymam to w tajemnicy przed mężem i rodziną. Chciałabym sprawić im niespodziankę, w razie gdyby książka została wydana. Wierzę, że zainteresuje się pan tą sprawą i napisze list do jakiegoś wydawcy albo jeszcze lepiej odwiedzi go w moim imieniu i da mi znać o wyniku rozmowy. Proszę pana o wyświadczenie mi tej przysługi. Z najszczerzą wdzięcznością dziękuję za uwagę...”

Wiadomo bez specjalnych badań, że bliźniaki tego oto kłopotliwego listu przebiegają ciągle i wiecznie wraz z pocztą we wszystkich kierunkach wzdłuż i wszerz kontynentu co dzień, co noc, co godzina, nieprzerwanie i niez mordowanie. Adresowane są do każdego znanego kupca, fabrykanta, finansisty, mera, posła, gubernatora, wydawcy, redaktora, pisarza, maklera – słowem, do każdej osoby podejrzanej o posiadanie „wpływów”. Napisane są zawsze według jednego wzoru: „Pan mnie nie zna, ale znał pan kiedyś jednego z moich krewnych itp., itp.” Pragnęlibyśmy wszyscy pójść na rękę tym petentom, bylibyśmy szczęśliwi mogąc to uczynić, chcielibyśmy im udzielić żądanej odpowiedzi, ale – mój Boże – jesteśmy bezsilni, gdyż list taki nie pochodzi nigdy od kogoś, komu można dopomóc w jakiś sposób. Ten, któremu potrafilibyśmy dopomóc, daje sobie sam radę; nie przyszło by mu na myśl zwrócić się do ciebie, obcego, bądź co bądź, człowieka, z prośbą o poparcie. Posiada on zdolności i wie o tym, że je posiada. Idzie przez życie z zapałem, energią, zdecydowaniem – i samotnie, najczęściej samotnie. A ów patetyczny list otrzymujesz od niezdolnego i bezradnego – jakiej, znając ten rodzaj pisania, udzielisz nań odpowiedzi? Co odpiszesz na te prośby i zakłęcia? Czy będziesz usiłował tłumaczyć, wyjaśniać? Poniższa stara odpowiedź na jeden z takich właśnie listów dowodzi, że próbowałem tego raz w życiu.

ODPOWIEDŹ

„Droga pani! Znam pana H. i udam się do niego, jeśli po namyśle będzie pani uważała to za stosowne. Wywiąże się rozmowa; wiem z góry, jak się potoczy. Najprawdopodobniej tak:

Pan H. – Jak pan ocenia jej książki?

Pan C. – Nie znam ich.

H. – Kto był jej wydawcą?

C. – Nie wiem.

H. – Miała wydawców, jak sędzę?

C. – Ja... ja nie przypuszczam.

H. – Aha, więc pan myśli, że to jej pierwsza książka?
 C. – Tak sądzę. Tak przynajmniej mi się wydaje.
 H. – Co to za książka? Jakiego rodzaju?
 C. – Nie umiem powiedzieć.
 H. – Czy pan ją widział?
 C. – Tak... tego... Nie, nie widziałem.
 H. – Aha. A od jak dawna zna pan autorkę?
 C. – Nie znam jej.
 H. – Pan jej nie zna?
 C. – Nie.
 H. – Aha. Ale skąd pana zainteresowanie tą książką?
 C. – Hm... Hm... Autorka napisała do mnie z prośbą o znalezienie jej wydawcy i wspomniała o panu.
 H. – Dlaczego więc zwróciła się do pana, a nie do mnie?
 C. – Chciała, abym wykorzystał moje wpływy...
 H. – Mój drogi panie, cóż u licha mają za znaczenie wpływy w tej sprawie?
 C. – Hm... Wydawało jej się, jak sądzę, że prędzej zgodzi się pan przeczytać jej rękopis, jeśli na pana wpłynę...
 H. – Mój Boże! Przecież jesteśmy tutaj tylko od tego, aby czytać rękopisy, każdy rękopis, jaki do nas wpływa. Na tym polega nasz zawód. Dlaczegoż mielibyśmy zwrócić książkę bez czytania, jeśli jej autor nie jest nam znany? Byłoby to czystym wariactwem. Żaden wydawca nie robi takich głupstw. A na jakiej podstawie autorka tej książki zwróciła się do pana o poparcie, jeżeli nie jest pana znajomą? Musiała przypuszczać, że zna pan jej twórczość i zechce wypowiedzieć się na ten temat.
 C. – Nie. Ona wiedziała, że nie znam jej twórczości.
 H. – Więc cóż, u licha? Musiała mieć jednak jakieś dane po temu, że poprze pan jej książkę?
 C. – Tak. Ja... ja znałem jej wujka.
 H. – Pan znał jej wujka?
 C. – Tak.
 H. – Wielkie nieba! Więc pan znał jej wujka, jej wujek zaś – tę książkę. On poleca ją panu i w ten sposób łańcuch się zamyka. Dlatego też...
 C. – Nie. To nie wszystko. Istnieją jeszcze inne więzy. Znałem chatę, w której wujek jej mieszkał w kopalni. Znałem również jego współlokatorów i niewiele brakowało, a poznałbym jej męża jeszcze jako kawalera. Poza tym znałem szyb, gdzie wybuchł przedwcześnie ładunek i skąd przyszedł mąż autorki wzbil się w powietrze, lądując opodal na torze i przewracając Indianina z jak najgorszymi konsekwencjami.
 H. – Dla niego czy dla Indianina?
 C. – Nie pisała mi dla kogo.
 H. (z westchnieniem) – To naprawdę już za wiele! Nie zna pan autorki ani jej twórczości, nie wie pan, kto został zraniony w czasie wybuchu ładunku. Nie posiada pan ani jednego elementu, aby wyrobić sobie opinię o tej książce, więc chyba...
 C. – Znałem jej wujka. Zapomina pan o jej wujku.
 H. – Ale cóż z niego za pożytek? Czy znał go pan długo? Jak długo właściwie?
 C. – Hm... Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że go znałem, ale w każdym razie musiałem z nim się zetknąć. Trudno, wie pan, powiedzieć coś o tych sprawach, które działy się, bądź co bądź, już dość dawno...
 H. – Dawno? A kiedy właściwie miała miejsce ta cała historia?
 C. – Szesnaście lat temu.

H. – Cóż za podstawa do oceny książki! Z początku powiedział pan, że to pana znajomy, a teraz nie jest pan już pewien?

C. – O, z pewnością znałem go. W każdym razie sędzę, że musiałem tak przypuszczać. Jestem całkiem pewien...

H. – A skąd ta pewność, że musiał pan tak przypuszczać?

C. – No, bo ona przecież tak twierdzi w swoim liście.

H. – Ona tak twierdzi?

C. – Tak. Właśnie. I znałem go na pewno, chociaż sobie tego nie przypominam.

H. – Jak może pan być pewien tej znajomości, skoro jej pan sobie nie przypomina?

C. – Nie wiem, tylko, widzi pan, ja wiem mnóstwo rzeczy, których nie pamiętam, i pamiętam wiele rzeczy, o których nic nie wiem. Tak ma się sprawa z wieloma wykształconymi ludźmi.

H. (po przerwie) – Czy pana czas jest cenny?

C. – Tak. To jest... nie bardzo.

H. – Ale mój czas jest cenny.

Wyszedłem więc, ponieważ robił na mnie wrażenie zmęczonego. Sędzę, że musi być przepracowany. Ja nigdy nie narażam się na to, gdyż znam fatalne skutki przepracowania. Moja matka drżała zawsze ze strachu, że się przepracuję, ale ja nigdy tego nie czyniłem.

Droga pani! Widzi pani, jak potoczyłyby się sprawy, gdybym poszedł do wydawcy. Oni nie interesują się wcale wujkami i tymi podobnymi historiami, ale interesują się książkami i naprawdę gorąco pragną czytać ich jak najwięcej, niezależnie od tego, kto je przysyła i kto pisze. Jeżeli pošle pani swoją książkę do wydawcy, jakiegokolwiek wydawcy, to zostanie ona z całą pewnością przeczytana i oceniona. Zapewniam panią, że tak się stanie.”

DZIEJE GRZECZNEGO CHŁOPCZYKA

Żył sobie pewnego razu grzeczny chłopczyk, który nazywał się Jacob Blivens. Chłopiec ten zawsze słuchał rodziców, bez względu na to, jak dalece bezsensowne i głupie były ich rozkazy; poza tym odrabiał zawsze lekcje i nigdy nie spóźniał się do szkoły niedzielnej. Nie grywał nigdy w palanta, nawet wtedy gdy prosty rozum mówił mu, że jest to najpożyteczniejsza *rzecz*, jaką może zrobić w danej chwili. Nikt spośród innych chłopców nie mógł go zrozumieć, tak dziwnie sobie poczynił. Nie chciał na przykład kłamać, choćby to nie wiem jak było dogodne i rozsądne. Mówił, że kłamstwo jest rzeczą brzydką – i basta. Słowem, był on uczciwy aż do śmieszności. Dziwactwa Jacoba przechodziły wszystko na świecie. Nie chciał na przykład grywać w kamyki w niedzielę, nie chciał niszczyć gniazd ptasich, nie chciał podawać rozpalonych monet małym katarzyniarzy; jak widzimy więc, nie interesowały go żadne godziwe rozrywki. Inni chłopcy próbowali wytłumaczyć sobie jego postępowanie, ale nie mogli dojść do żadnego zadowalającego rezultatu... Jak już wspominałem, utworzyli sobie oni jakiś mglisty pogląd, że jest on „nienormalny”. Dlatego też wzięli go pod opiekę i nie pozwalali nikomu krzywdzić.

Ten grzeczny chłopczyk czytywał wszystkie książki, jakie zalecano do lektury w szkółce niedzielnej, i sprawiały mu one niezmierną przyjemność. W tym właśnie tkwiła cała tajemnica. Wierzył on w dobrych chłopczyków, o których mówią czytanki szkółek niedzielnych; żywił ku nim całkowite zaufanie.

Ogromnie pragnął spotkać choć raz w życiu takiego wzorowego chłopczyka z krwi i kości, ale nigdy mu się to nie udało. Prawdopodobnie wszyscy oni wymarli przed nim. Kiedy czytał o jakimś szczególnie grzecznym chłopcu, to czym prędzej zerkał na koniec książki, by dowiedzieć się, co się z nim stało; gotów był bowiem przejść choćby tysiące mil, byle tylko móc ujrzeć go na własne oczy. Było to jednak bezcelowe: grzeczny chłopiec zawsze umierał w ostatnim rozdziale, przy czym rozdział ten zawierał rycinę przedstawiającą pogrzeb; dokoła grobu stali wszyscy jego krewni i dzieci ze szkoły niedzielnej w przykrótkich spodenkach i ogromnych kapeluszach i wszyscy płakali w chusteczki do nosa, na które zużyto co najmniej półtora jarda materiału. I zawsze tak się kończyło. Jacob nie mógł nigdy poznać ani jednego z tych grzecznych chłopczyków, już choćby z tego powodu, że umierali oni zawsze w ostatnim rozdziale.

Jacob żywił szlachetną ambicję dostania się na karty podręcznika szkoły niedzielnej. Pragnął figurować w takiej książeczce z rycinami, które wyobrażałyby, jak dumnie odmawia oszukiwania swej matki, ta zaś z radości przyciska go do serca, jak stoi na ganku i daje centa biednej żebracze z sześciorgiem dzieci i oświadcza jej, że może swobodnie wydać te pieniądze, lecz nie powinna być rozrzutna, ponieważ rozrzutność jest grzechem; i wreszcie, jak wspaniałomyślnie nie zgadza się poskarżyć na niegrzecznego chłopca, który stale czyhał na niego na rogu ulicy, gdy Jacob wracał ze szkoły, i bił go prętem po głowie, po czym gonił za nim do domu krzycząc: hi! hi! Takie miał ambicje młody Jacob Blivens. Pragnął dostać się do czytanki szkoły niedzielnej. Co prawda, było mu niekiedy jakoś nieswojo, gdy przypomniał sobie, że grzeczni chłopcy zawsze umierają. Podobało mu się życie, toteż

zawsze była to najbardziej przykra karta w dziejach chłopczyka z czytanki szkółki niedzielnej. Wiedział, że być grzecznym chłopcem to rzecz niezbyt zdrowa. Wiedział, że być takim nienaturalnie grzecznym chłopcem jak chłopcy w czytankach jest rzeczą gorszą od suchot, wiedział, że ani jeden z nich nie był w stanie wytrzymać tego długo, toteż smutek ogarniał go na myśl, że jeśli zostanie uwieczniony w książeczce, to nigdy jej nie ujrzy; jeśli zaś książka będzie wydana przed jego śmiercią, to nie będzie miała powodzenia bez niezbędnej ryciny na ostatniej stronie, wyobrażającej jego pogrzeb. Jakiż bowiem sens miałaby umoralniająca książka, skoro nie mogłaby przekazać ludziom rady i przestrogi, jakiej udzielił umierając swym współobywatelom? Tak więc w końcu postanowił zrobić najlepsze, co mógł uczynić w danych okolicznościach: żyć cnotliwie i wlec swą taczkę, póki sił starczy, mając w pogotowiu mowę przedśmiertną, przygotowaną na wszelki wypadek.

Cóż, kiedy jakoś nic nie udawało się temu chłopcu! Nic nie działało się tak jak trzeba, tak jak pisano o grucznych chłopczykach w czytankach. Bohaterom książeczek na przykład wiodło się wszystko znakomicie, a tylko tutaj wszystko działało się na opak. Gdy Jacob ujrzał, że Jim Blake kradnie jabłko, i stanął pod drzewem, aby odczytać mu kazanie o złym chłopcu, który spadł z jabłoni sąsiada i złamał sobie rękę, to Jim istotnie runął z drzewa łamiąc rękę jemu, podczas gdy sam nawet się nie zadrasnął. Jacob nie mógł tego zrozumieć. W książkach nigdy nie wyczytał nic podobnego.

Innym razem, gdy kilku niegrucznych chłopców wtrąciło ślepego starca do błota, a Jacob nadbiegł, aby go podnieść i otrzymać odeń błogosławieństwo, to ślepcowi ani na myśl przyszło udzielić mu błogosławieństwa, przeciwnie, uderzył go kijem po głowie, twierdząc, że właśnie Jacob wpełznął go do kałuży.

Nie zgadzało się to z żadną moralną opowieścią w czytankach, Jacob przejrzał je wszystkie starannie, ale nie znalazł precedensu.

Niezmiernie pragnął znaleźć kulawego psa, bezdomnego i wygłodzonego przybłądę, chciał go sprowadzić do domu, odżywić i w zamian posiadać jego dozwonną zyczliwość.

I oto wreszcie znalazł takiego psa i poczuł się szczęśliwy. Sprowadził go do domu, nakarmił, lecz gdy chciał go pogłaskać, pies rzucił się nań i poszarpał mu całe ubranie, pozostawiając tylko nieduże strzępki z przodu, wskutek czego Jacob miał wygląd iście niezwykły! Zainterpelował w tej sprawie liczne autorytety, gdyż nie mógł wytłumaczyć sobie tego wypadku. Pies był tego samego gatunku co w książkach, lecz poczynił sobie zupełnie inaczej. I tak działało się we wszystkich sprawach. Cokolwiek przedsięwziął ten chłopiec – zawsze kończyło się dlań niepomyślnie. Te same czyny, za które chłopcy w czytankach otrzymywali nagrody, stawały się dlań najbardziej fatalnymi imprezami, w jakie mógł się być wplątać.

Pewnego razu idąc do szkółki niedzielnej ujrzał, jak kilku niegrucznych chłopców zamierza wybrać się na przejażdżkę żaglówką. Widząc to przeraził się. Wiedział bowiem z czytanek, że chłopcy, którzy jeżdżą żaglówkami w niedzielę, zawsze toną.

I oto pobiegł, by ich o tym uprzedzić, ale właśnie wtedy potknął się o patyk i sam wpadł do rzeki. Jakiś przechodzień wyciągnął go stamtąd, po czym doktor wypompował zeń wodę i tchnął weń życie swymi zabiegami; cóż kiedy Jacob zaziębił się i przez dziewięć tygodni leżał w łóżku. Najbardziej wszakże w tym wszystkim niepojęte było to, że owi niegruczni chłopcy najspokojniej w świecie jeździli sobie łódką przez cały dzień, po czym w całkiem niezrozumiały sposób wrócili do domu rozbawieni i cali. Wówczas Jacob oświadczył, że na nic podobnego nie natknął się w żadnych czytankach. Oszłomiło go to najzupełniej.

Przyszedszy do siebie poczuł się nieco zbity z tropu, mimo to jednak postanowił kontynuować swe cnotliwe eksperymenty. Wiedział, że jego dotychczasowe czyny nie nadają się jeszcze do umieszczenia w czytance, ale ufał, że dostanie się tam kiedyś, jeżeli wytrzyma do końca na swej drodze. A gdyby nawet nie udało mu się to przedsięwzięcie, to i tak pozostaje mu jeszcze na pociechę wygłoszenie mowy przedśmiertnej.

Przestudiował ponownie swe książki i uznał, że nadszedł już czas, kiedy powinien zgłosić się do pracy jako posługacz okrętowy. Udał się tedy do kapitana statku ofiarowując mu swoje usługi, a gdy kapitan zapytał, czy ma jakieś rekomendacje, Jacob wyjął dumnie książeczkę z dedykacją i wskazał na słowa: „Jacobowi Blivensowi od kochającego nauczyciela.” Ale kapitan statku był to snadź człowiek źle wychowany, oświadczył bowiem: „Po kiego diabła mi ten śmieć! Nie jest to żaden dowód, że umiesz zmywać naczynia i wylewać pomyje z kubłów.” Po czym dodał, że nie potrzebuje go wcale. Było to niewątpliwie najniezwyklejsze zdarzenie w życiu naszego bohatera. W czytankach szkolnych dedykacja nauczyciela budziła zawsze jak najczulsze uczucia u kapitanów okrętów i otwierała posiadaczom tejże drogę do wszystkich honorowych i intratnych urzędów, jakimi dysponowali kapitanowie. Zawsze działało się tak we wszystkich książeczkach przeczytanych przez Jacoba. Teraz dopiero nie wiedział, co począć.

Chłopcu temu nigdy się nic nie wiodło i nic nie działo w jego życiu tak, jak pouczyły autorytety moralne z czytanek. Wreszcie pewnego razu poszukując niegrzecznych chłopców, którym chciał przeczytać jakieś kazanie, zastał ich całą zgrają na dziedzińcu starej huty; chłopcy ci bawili się czternastoma czy piętnastoma psami, które powiązali razem w długi łańcuch, po czym zamierzali ozdobić im ogony pustymi blaszankami po nitroglicerynie. Jacobowi serce zabiło mocniej. Usiadł na jednej z tych blaszanek, leżącej w błocie (Jacob nigdy nie zwracał uwagi na błoto, gdy chodziło o spełnienie obowiązku), ujął najbliższego psa za obrożę, po czym utkwiał wzrok pełen wyrzutu w złym Tomie Jonesie.

Ale w tym momencie wszedł na dziedziniec huty zarządca, pan McWolter, trzęsąc się z wściekłości.

Wszyscy niegrzeczni chłopcy w lot się rozbiegli, tylko Jacob Blivens powstał w poczuciu swej niewinności i rozpoczął jedno z owych pięknych przemówień z czytanek szkółek niedzielnych, które zawsze zaczynają się od słów: „O, sir!”, wbrew temu, że żaden chłopiec ani grzeczny, ani niegrzeczny nie zaczyna nigdy żadnego zdania zwrotem: „O, sir!”

Niestety, zarządca nie czekał na koniec przemówienia. Chwycił Jacoba Blivensa za ucho, zakręcił nim, po czym grzmotnął go swą olbrzymią łapą w tylną część ciała z taką siłą, że nasz grzeczny chłopiec wyleciał przez dach i pomknął ku słońcu wraz z piętnastoma psami, które snuły się za nim w górze niby ogon latawca. Co się zaś tyczy przedśmiertnej mowy, to Jacob Blivens nie mógł już jej wygłosić, choć na ułożenie jej zmarnował tyle czasu. Prawdopodobnie wygłosił ją ptakom, albowiem większa część jego ciała spadła na szczyt drzewa w jednym powiecie, reszta zaś podzielona została skrupulatnie na cztery inne powiaty, skutkiem czego trzeba było aż pięciu badań sądowych, by wyjaśnić, czy Jacob żyje, czy też umarł i jak się to stało...

Tak oto zginął grzeczny chłopiec, który począł sobie niezmiennie w sposób szlachetny, ale osiągał zawsze rezultaty niezgodne z czytankami. Wszyscy chłopcy poczynający sobie w sposób podobny wychodzili na tym w czytankach jak najlepiej. Tylko z nim działo się inaczej. Los jego był, zaiste, niezwykły.

DZIEJE NIEGRZECZNEGO CHŁOPCZYKA

Był sobie na świecie niedobry chłopiec, którego nazywano Jim – mimo iż, jeśli państwo zechcecie wejrzeć w te sprawy, przekonacie się, że źli chłopcy w książkach przeznaczonych dla szkółek niedzielnych prawie zawsze noszą imię James. Dziwne, że ten właśnie nazywał się Jim, ale nie ma na to rady.

Jim nie miał chorej matki – pobożnej matki – która była chora na suchoty i chętnie zeszlaby do grobu, by odpocząć wreszcie, gdyby nie kochała tak bardzo swego syna i nie lękała się, że ludzie będą dlań zbyt surowi i zimni, skoro jej zabraknie. Większość złych chłopców w książkach szkolnych zwie się Jamesami i posiada chore matki, które uczą ich modlitwy wieczornej, nucą im żalosnym a czułym głosem kołysankę do snu, a potem całują ich na dobranoc, klęczą koło ich łóżka i płaczą.

Z tym jednak chłopcem sprawa miała się zupełnie inaczej. Nazywał się Jim, a matka jego była jak najzdrowsza, nie miała ani suchot, ani w ogóle niczego w tym rodzaju. Była zdrowa jak ryba, nie odznaczała się pobożnością, a przy tym wcale nie niepokoiła się o Jima. Zwykła ona mawiać, że jeżeli nawet Jim skręci kark, to będzie to mała strata. Usypiała go zawsze klapsami i nigdy nie całowała na pożegnanie: przeciwnie, wychodząc z pokoju targała go za uszy.

Razu pewnego ów zły chłopak ukradł klucz od spiżarnki, wlaźł tam, najadł się konfitur, a do słoika dołał smoły, aby matka nie zauważyła braku. I podczas tej operacji nie ogarnął go wcale nagły lęk ani głos tajemniczy nie szepnął mu wcale: „Czy to dobrze nie słuchać mamy? Czy to nie grzech tak postępować? Dokąd idą niegrzeczni chłopcy zjadający konfitury swych dobrych, miłych matek?” Zły Jim nie ukląkł bynajmniej i nie przyrzekł solennie, że nigdy więcej nie będzie niegrzeczny, i nie wstał z lekkim sercem, i nie poszedł powiedzieć tego swojej mamusi prosząc ją o przebaczenie, a ona nie pobłogosławiła go ze łzami dumy i wdzięczności w oczach. Nie. Tak dzieje się z wszystkimi niegrzecznymi chłopcami w książkach szkolnych, lecz – chociaż jest to bardzo dziwne – z Jimem wszystko działo się inaczej. Jim pożarł konfitury, rzekł „klawo!” (według swojej wulgarnej manieri) – po czym zalał słoik smołą i znowu rzekł „klawo!”, wreszcie zaśmiał się dodając, że „stara wścieknie się chyba, gdy to zobaczy”. Gdy zaś ujrzała, Jim począł zaklinać się, że o niczym nie wie, po czym matka zbiła go różgą i płakał on, nie zaś ona. Wszystko w tym chłopcu było niezwykle – wszystko działo się z nim inaczej, niż dzieje się z niegrzecznymi Jamesami w książkach szkolnych.

Razu pewnego Jim wlaźł na jabłoń farmera Acrone’a po to, by kraść jabłka; gałąź załamała się, to prawda, ale Jim nie spadł i nie złamał sobie ręki, przy czym nie pogryzł go zły brytan farmera i Jim nie przeleżał kilku tygodni w łóżku; nie wpadł w skruczę i nie stał się grzecznym chłopczykiem. O, nie! Nakradł jabłek ile wlaźło, po czym najspokojniej w świecie zlaźł z drzewa; z psem, który nadbiegł, aby go rozszarpać, dał sobie doskonale radę cisnąwszy weń z całej siły cegłą. Jest to rzeczywiście dziwne, gdyż nic podobnego nigdy nie zdarzyło się w tych miłych książeczkach w kolorowych okładkach, przedstawiających mężczyzn w przedziwnych frakowych marynarkach, grzybiastych kapeluszach i przykrótkich spodniach,

kobiety zaś w sukniach, jakich nie spotyka się w życiu. Nie – nic podobnego nie trafia się w żadnej książce przeznaczonej dla naszych szkółek niedzielnych.

Innym razem Jim skradł scyzoryk swemu nauczycielowi, a lękając się, że zostanie zdemaskowany i obity, wsunął scyzoryk w czapkę George'a Wilsona, syna biednej wdowy pani Wilson, chłopca moralnego, najbardziej przykładowego chłopca ze wsi, który zawsze słuchał matki i nigdy nie mówił nieprawdy, kochał swe lekcje i ubóstwiał szkołę niedzielną. I kiedy scyzoryk wypadł mu z czapki i biedny George zwiesił głowę i poczerwieniał jak gdyby w poczuciu winy, a zasmucony nauczyciel musiał zarzucić mu kradzież i już, już zamierzał opuścić różgę na jego drżące plecy – siwowłosy, nieprawdopodobny sędzia z sądu pokoju nie ukazał się nagle między nimi, nie wyciągnął uroczyście ręki i nie oświadczył: „Wara od tego szlachetnego chłopca, tam oto stoi przestępca! Przechodziłem właśnie podczas pauzy koło szkoły i – niezauważony przez nikogo – widziałem, jak dokonane zostało przestępstwo!” I po tym wszystkim Jima nie obito różgami, a czcigodny sędzia, z pełnymi łez oczyma, nie wygłosił kazania i nie wziął George'a Wilsona za rękę i nie oświadczył, że taki chłopiec godzien jest lepszego losu, i nie kazał mu przyjść później do siebie, by mieszkał z nim pod jednym dachem, zamiatał mu biuro, palił w piecu, biegał na posyłki, rąbał drzewo, studiował prawo, był pomocnym żonie sędziego w gospodarstwie, zaś z całego pozostałego czasu korzystał dla swej zabawy, a za to wszystko otrzymywał po czterdzieści centów na miesiąc i rozkoszował się swym szczęściem. Nie. Tak byłoby się działo w książkach, ale tak nie stało się z George'em. Żaden stary krętacz sądowy nie wmieszał się do tej sprawy, toteż przykładowy chłopiec George Wilson dostał lanie, Jim zaś cieszył się z tego, dlatego że Jim, proszę państwa, nienawidził przykładowych chłopców. Jim mówił, że „wstrętne mu są te zmokłe kury”. Oto jak się wyrażał ten zły, niegrzeczny chłopiec.

Ale najdziwniejsze ze wszystkiego, co działo się z Jimem, było to, że pojechał on łódką na przejażdżkę w niedzielę i nie utonął; innym zaś razem spotkała go burza, gdy łapał ryby w niedzielę, i bynajmniej nie zginął od pioruna!

Możecie państwo przeglądać wszystkie książki szkółek niedzielnych od dnia dzisiejszego aż po najbliższe święta Bożego Narodzenia i nie spotkacie nigdzie podobnych fenomenów. Przeciwnie, przeczytacie tam, że wszyscy niegrzeczni chłopcy, którzy jeździli w niedzielę łódką, musieli niechybnie utonąć i że wszystkich niegrzecznych chłopców, których spotkała burza podczas łowienia ryb w niedzielę, musiał koniecznie zabić piorun. Łódki z niegrzeczными chłopcami zawsze wywracają się i zawsze bywa burza, gdy niegrzeczni chłopcy łapią ryby w niedzielę. W jaki więc sposób ocalał Jim – pozostaje naprawdę tajemnicą.

Jim, jak się wydaje, był jakiś zaczarowany, tak, na pewno tak być musiało. Wszystko mu uchodziło płazem. Jim podsunął nawet słoniowi w menażerii paczkę tytoniu i słoń nie zmiażdżył mu czaszki trąbą. Innym razem zakradł się do kredensu po wodę miętową i wcale nie napił się przez omyłkę wotriolu. Ukradł także ojcu fuzję, z której strzelał co niedzielę, i mimo to ani razu nie ustrzelił sobie trzech czy czterech palców. Raz w gniewie walnął swą najmłodszą siostrzyczkę w czoło, ale ona nie wiła się w bólach w ciągu długich dni letnich i nie umarła ze słowami przebaczenia na wargach, słowami, które zdwoiły cierpienia jego udręczonego serca. Nie, ona to przeżyła. A wreszcie Jim uciekł z domu i wstąpił do marynarki, ale wróciwszy do ojczyzny nie poczuł się osamotniony na świecie, dowiedziawszy się, że jego bliscy śpią na cichym cmentarzystku, zaś porośnięty winem dom jego dzieciństwa już niemal zapadł się ze starości. O, nie! Jim wrócił do domu pijany jak szewc i na samym progu ojczyzny – dostał się do komisariatu.

Wreszcie wyrósł i ożenił się, spłodził chmarę dzieci i raz w nocy zmiażdżył im wszystkim głowy siekierą; następnie z bogacił się na swoich łajdactwach i oszustwach; dziś jest najohydniejszym łotrem w swojej wsi rodzinnej, cieszy się ogólnym poważaniem i został wybrany do Kongresu.

Sami więc państwo widzicie, że żadnemu niegrzecznemu Jamesowi z książeczek dla szkółek niedzielnych nie wiodło się nigdy tak dobrze jak grzesznemu i najwidoczniej zaczarowanemu Jimowi.

LITERATURA O WSPANIAŁOMYŚLNYCH UCZYNKACH

Przez całe moje życie, począwszy od dzieciństwa, nie opuszczał mnie nałóg czytania znanego zbioru umoralniających opowiadań, skreślonych piórem znakomitego wszechświatowej sławy bajkopisarza. Czytałem je bądź gwoli nauce, bądź przyjemności, którą mi sprawiały. Zbiór tych opowiadań zawsze leżał u mnie pod ręką i zawsze, ilekroć poczynałem źle myśleć o rodzaju ludzkim, zwracałem się do niego, a on wnet rozpraszał moje mizantropijne skłonności. Za każdym razem, gdy przyłapywałem się na uczuciach egoizmu, zazdrości, złośliwości, brałem je do ręki, a one podpowiadały mi, co trzeba czynić, by odegnąć od siebie jak najdalej te brzydkie przywary. I wielokroć żałowałem, że te wspaniałe opowiadania urywały się z reguły na jakimś szczęśliwym zdarzeniu, nie kontynuując historii poszczególnych bohaterów, poprzestając jedynie na wyliczaniu coraz to nowych czynów dobrych i szlachetnych. Pragnienie to rozrastało się w duszy mojej z takim uporem, że wreszcie postanowiłem zaspokoić je wymyślając dalszy ciąg tych opowiadań. Zabrałem się tedy do rzeczy i po wielu trudach i nader męczących studiach spełniłem swoje zadanie. Oto rezultaty mych wysiłków: dwie anegdoty uzupełnione dalszym ciągiem, który zdołałem dorobić dzięki mozolnej pracy.

SZLACHETNY PUDEL

Zdarzyło się raz, że miłosierny lekarz (lubiący czytywać książki) znalazł chorego, bezdomnego pudła ze złamaną łapą. Przyprowadził tedy biedne stworzenie do siebie, po czym, zestawiwszy kość i nałożywszy bandaż na uszkodzoną kończynę, przywrócił małemu włóczędze wolność i przestał myśleć o tym wypadku. Ale jakież było jego zdumienie, kiedy w kilka dni później otwierając drzwi ujrzał szlachetnego pudła, cierpliwie czekającego nań w towarzystwie innego psa-włóczęgi, który wskutek nieszczęśliwego wypadku miał też złamaną łapę. Dobry lekarz niezwłocznie przyniósł ulgę cierpieniom biednego stworzenia, chyląc przy tym głowę przed niewypowiedzianą łaską i miłosierdziem Boga, który obrał sobie tak niepozorne narzędzie jak biednego, bezdomnego pudła po to, aby obudzić etc., etc., etc...

Ciąg dalszy

Nazajutrz miłosierny lekarz zastał oba psy około swych drzwi. Pełne wdzięczności oczekiwały jego wyjścia, a obok nich zauważył dwóch dalszych psich inwalidów. I te kaleki zostały wnet wyleczone, po czym wszystkie cztery psy wyniosły się w świat pozostawiając miłosiernego lekarza bardziej niż kiedykolwiek wzruszonego i przepelnionego dziękczynnym zdumieniem. Minał dzień, nastał poranek. Koło drzwi siedziały już cztery opatrzone psy, a obok nich jeszcze cztery, spragnione opatrunku. Minał i ten dzień i nastał nowy, a oto już szesnaście psów, a pośród nich osiem nowych kalek, zajmowało trotuar przed jego domem, zaś przechodnie musieli je omijać. W południe wszystkie złamane łapy zostały

obandażowane, ale dziękczynne zdumienie w duszy miłosiernego lekarza poczęło mieszać się z uczuciami o charakterze zupełnie innym, znacznie mniej cnotliwym.

Raz jeszcze wzeszło słońce i rzuciło swe blaski na trzydzieści dwa psy – wśród nich szesnaście z połamanymi łapami – zajmujące cały trotuar i połowę jezdni; dwunodzy widzowie zajmowali resztę przestrzeni. Jęki rannych, radosne szczekanie uleczonych zwierząt oraz komentarze obecnych obywateli zlewały się w chór głośny i podniosły. Ruch na tej ulicy ustał. Dobry lekarz wziął sobie do pomocy kilku chirurgów i jeszcze przed świtem zdołał ukończyć swą filantropijną pracę, wszelako gwoli ostrożności wystąpił poprzednio z grona członków towarzystwa kościelnego, aby mieć możliwość wyrażania się z całą swobodą wymaganą przez okoliczności. Ale wszystko na świecie ma kres. Kiedy znowu zaświtał ranek i dobry lekarz, wyrzawszy oknem, ujrzał zwarty, ogromny, ciągnący się hen w dal tłum psów wyjących błagalnie, wówczas rzekł:

– Muszę wyznać, że ogłupiły mnie książki; opowiadają one tylko o pierwszej przyjemnej części historii, o reszcie zaś milczą. Podaj po mi fuzję, sprawa zaszła zbyt daleko.

Wyszedł z fuzją, lecz podczas tego niechcący nastąpił na ogon pudlowi z prawdziwej opowieści i pudel czym prędzej ukąsił go w nogę, ponieważ był wściekły. Bowiem wielka i podniosła sprawa, której oddawał się ten pudel, przyprawiła go o tak silny, niezwykle entuzjazm, że w słabym łbie psim zawirowało wszystko i stąd wścieklizna. W miesiąc potem litościwy lekarz konał w mękach wodowstrętu, a przywoławszy swych płaczących przyjaciół, tymi słowy odezwał się do nich:

– Strzeżcie się książek. Ukazują one tylko połowę historii. Jeśli kiedykolwiek jaki biedny kaleka poprosi was o pomoc, a wy będziecie mieli wątpliwości co do rezultatów, jakie może mieć wasz dobry uczynek, to zachowajcie swe wątpliwości dla siebie, a proszącego o pomoc – raczej zabijcie.

Z tymi słowy obrócił się twarzą ku ścianie i wydał ostatnie tchnienie.

ŻYCZLIWY PISARZ

Pewien biedny, młody, początkujący literat daremnie dobijał się o przyjęcie do druku swych rękopisów. Wreszcie, kiedy widmo śmierci głodowej zajrzało mu w oczy, opowiedział o swym smętnym położeniu pewnemu znakomitemu pisarzowi błagając go o radę i poparcie. Ten wspaniałomyślny człowiek bezzwłocznie odłożył swe własne sprawy na bok i zabrał się do czytania odrzuconych rękopisów. Skończywszy ucisnął serdecznie dłoń młodzieńcowi i rzekł:

– Znalazłem tu pewne wartościowe rzeczy, niech pan zajdzie do mnie jeszcze raz w poniedziałek.

O oznaczonej godzinie znakomity pisarz ze słodkim uśmiechem, nie mówiąc ani słowa, rozłożył przed młodzianem jeszcze wilgotny od drukarskiej farby tygodnik. Jakież było zdumienie biednego młodzieńca, gdy ujrzał na zadrukowanej stronie swój własny utwór!

– Czy zdołam kiedykolwiek – zawołał padając na kolana i zalewając się łzami – podziękować panu za ten wspaniałomyślny uczynek!

Znakomitym pisarzem był sławny Snodgrass, a owym biednym początkującym literatem, ocalonym w ten sposób od śmierci głodowej i całkowitego zapoznania, równie znakomity w przyszłości Snegsbay.

Niechajże ten podniosły wypadek skłoni was do wysłuchania każdego początkującego literata, który potrzebuje pomocy.

Ciąg dalszy

Na przyszły tydzień Snegsbay ukazał się z pięcioma odrzuconymi rękopisami. Znakomity pisarz był tym nieco zdumiony, ponieważ ubiegający się o sławę literacką młodzieńcy proszą o pomoc, jak się wydaje, tylko raz. Pomimo to przerobił starannie te utwory, Usunąwszy zbędne kwiatki i wypełszy kilka zagonów niestosownych przymiotników, po czym udało mu się uzyskać to, że dwa utwory zostały przyjęte do druku.

Minął dalszy tydzień i wdzięczny Snegsbay przybył z nowym towarem. Znakomity pisarz doznał był za pierwszym razem, gdy pomógł biednemu debiutantowi, uczucia najwyższej satysfakcji moralnej i z dumą przyrównywał się do wielkodusznych bohaterów, o których czytał w książkach. Teraz atoli począł podejrzewać, że w dziedzinie szlacheckich epizodów natknął się na coś całkiem nowego. Tu entuzjazm jego ostygł nieco. Ale pomimo wszystko nie był w stanie odepchnąć pracowitego młodego pisarza, który uczeplił się go z tak wzruszającą prostotą i zaufaniem.

I oto wreszcie pokazało się, że znakomity autor począł zupełnie tracić siły pod ciężarem biednego początkującego pisarza. Wszystkie jego łagodne wysiłki, zmierzające do zrzucenia z siebie tego ciężaru, nie doprowadziły do niczego. Musiał co dzień udzielać rad, co dzień musiał zachęcać; zmuszony był bezustannie przerabiać utwory swego młodego przyjaciela, by je można było zaproponować redaktorom. Kiedy zaś młody poszukiwacz sławy wypłynął wreszcie na powierzchnię, zdobył od razu niezwykłą popularność opisując prywatne życie znakomitego pisarza z tak niepowszednim humorem, z tak dokładnymi i zjadliwymi szczegółami, że książka rozeszła się w zdumiewającej ilości egzemplarzy, a serce znakomitego pisarza pękło z urazy. Wydając ostatnie tchnienie wyszeptał:

– Niestety, książki mnie oszukały; nie doprowadzają one całej historii do końca. O, przyjaciele moi! Strzeżcie się pracowitych, młodych literatów. Jeśli Bóg przeznaczył komuś śmierć głodową, nie ratujcie go, narażacie się bowiem na własną zgubę!

O FRYZJERACH

Wszystko na świecie podlega zmianom z wyjątkiem fryzjerów; ci nigdy się nie zmieniają. Twoje przeżycia w razurze, gdy wejdiesz tam po raz pierwszy, nie różnią się niczym od twych przeżyć aż do końca życia.

Tego poranka chciałem jak zwykle ogolić się. Kiedy zbliżałem się do drzwi fryzjerni z jednej strony, ktoś wchodził już z drugiej strony; rzecz, która zdarza się zawsze. Przyspieszyłem kroku, trud mój był jednak daremny; człowiek ten wyprzedził mnie i zajął jedyne wolne krzesło – obsługiwane przez najlepszego fryzjera. Zdarza mi się to niemal codziennie. Usiadłem, w nadziei, że dostanę się w ręce lepszego z dwu pozostałych fryzjerów, ponieważ zaczął on już czesać swego klienta, podczas gdy jego kolega przygotowywał się zaledwie do strzyżenia. Z żywym zainteresowaniem czekałem na wynik tych wyścigów, Kiedy zobaczyłem, że numer dwa dogania numer jeden, ciekawość moja przemieniła się w trwogę. Gdy numer jeden wstrzymał się, aby sprzedać komuś brylantynę i pozostał w ten sposób zdecydowanie w tyle, obawa moja przemieniła się w paniczny lęk. Gdy numer jeden przystąpił dzielnie do roboty i kiedy obaj jednocześnie zdjęli swym klientom ręczniki, ścierali im puder z twarzy i szansę ich wyrównały się, nie mogłem złapać tchu z emocji, ale w momencie kulminacyjnym numer jeden zatrzymał się jeszcze na chwilę, by przejechać grzebieniem przez brwi swego klienta; zrozumiałem wówczas, że numer jeden przegrał, i z wściekłością opuściłem fryzjernię, aby tylko nie wpaść w ręce numerowi dwa, gdyż nie posiadam na nieszczęście dość odwagi cywilnej potrzebnej do powiedzenia fryzjerowi, że wolę zaczekać na jego kolegę. Przez piętnaście minut kręciłem się po ulicy, a następnie wróciłem pełen jak najlepszych nadziei. Wszystkie fotele zostały tymczasem zajęte, a oprócz tego cztery osoby czekały na swą kolejkę w milczeniu, z ponurymi i nietowarzyskimi minami, jak wszyscy ludzie czekający u fryzjera. Usiadłem na starej kanapie i na wstępie zacząłem odczytywać tytuły kosmetyków reklamujących się we wszystkich możliwych językach; następnie odcyfrowałem nazwiska osób prywatnych umieszczone na różnego rodzaju flaszeczkach, liczyłem półki w szafie, przyglądałem się brudnym, postrzępionym i tanim obrazom ulicznych batalistów, portretom byłych prezydentów i półnagich Turczynek, jak również tej nudnej i sakramentalnej rycinie, przedstawiającej młode dziewczę, nakładające dziadkowi okulary; przeklinałem niesamowity hałas, sprawiany przez kanarka i drozda, bez których nie może się obyć żaden porządny zakład fryzjerski, aż wreszcie sięgnąłem po najlepiej zakonserwowany tygodnik ilustrowany z zeszłego roku i przeglądałem w nim obrazy przebrzmiałych faktów.

Wreszcie przyszła na mnie kolej. Jakiś głos zawołał: „następny!” i – rzecz prosta – wpadłem w ręce fryzjera numer dwa. Tak bywa zawsze. Powiedziałem uprzejmie, że się śpieszę, a słowa te wzruszyły go tak głęboko, jak gdyby słyszał je po raz pierwszy. Podniósł mi głowę, podłożył ręcznik pod brodę, przy czym manipulował w przykry sposób koło kołnierzyka. Zanurzył swe pazury w mych włosach i postawił diagnozę, iż należy je obciąć. Odrzekłem, że wcale sobie tego nie życzę. Wtedy po raz wtóry przejechał niby grabiami po mych włosach i zauważył, że należałoby je ze względu na panującą modę podciąć z tyłu.

Odpowiedziałem, że zrobiłem to już przed ośmioma dniami. Przyjrzał się uważnie mojej czuprynie, po czym spytał z lekceważeniem, kto mnie strzygł. Odpowiedziałem bez ceregieli: „Pan sam.” Wówczas zabrał się do rozrabiania mydła, przeglądając się ciągle w lustrze, badając krytycznie swój zarost i niszcząc co większe pryszczyki. Nareszcie zaczął nacierać mydłem jedną stronę mej twarzy i miał właśnie przejść do drugiej, kiedy walka psów na ulicy skłoniła go do wyjrzenia przez okno. Walce tej przyglądał się do końca, przy czym przegrał zakład o 2 szylingi ze swym kolegą, co napełniło mnie radością. Namydlił mi twarz, pociągając przy sposobności dwukrotnie pędzlem przez moje usta, i zaczął właśnie masować mi twarz brudnymi rękami, kiedy dyskutując jednocześnie ze swym kolegą na temat walki psów wpakował mi w usta dużą porcję mydła.

Następnie zaczął ostrzyć brzytwę na starym rzemyku od spodni; przerywał tę czynność dość często, aby opowiedzieć o wczorajszym balu maskowym, w którym brał udział przebrany za króla, w czerwonej pelerynce i fałszywych sobolach. Był tak dumny z faktu, że miał jako partnerkę pewną damulkę, którą oczarował swymi wdziękami, że imał się wszystkich sposobów, aby przedłużyć to opowiadanie udając znudzenie z powodu docinków swych kolegów. Następnie przejrzał się w lustrze, odłożył brzytwę i uczesał się z wielką dokładnością, rozdzielając swe włosy z tyłu równiutkim przedziałkiem i szczotkując zawzięcie loczki nad uszami. W tym czasie mydło na mej twarzy wysychało i zaczęło wżerać się w skórę. Wtedy rozpoczął w końcu golenie naciągając mi skórę palcami i od czasu do czasu posługując się moim nosem jako trzonkiem do odwracania głowy, to w tę, to w ową stronę, przy czym w wielce sympatyczny sposób kaszlał i spluwał.

Póki golił me policzki, nie odczuwałem bólu, ale kiedy przeszedł do podbródka, łyzy zakreśliły mi się w oczach. Nie przejmowałem się już faktem, że spoufala się zanadto z moją twarzą. Nie zwracałem już uwagi na ohydny odór czosnku, który wszyscy fryzjerzy konsumują w olbrzymich ilościach; obawiałem się bowiem, że mój oprawca zechce zapoznać się lada chwila z wewnętrzną budową mego ciała. W tej chwili wsadził mi w usta paluch chcąc dopomóc sobie w wygoleniu kącików ust, co umocniło mnie w przekonaniu, że fryzjer ten zajmuje się w razurze czyszczeniem lamp naftowych. Interesowało mnie zawsze, kto właściwie pełni te funkcje: fryzjerzy czy też sam właściciel; dziś dopiero przekonałem się o tym na własnej skórze. Dla wypełnienia sobie czasu bawiłem się odgadywaniem, w którym miejscu skaleczy mnie mój oprawca. Lecz zanim doszedłem do jakichkolwiek przypuszczeń, fryzjer zrobił mi pokaźną ranę na podbródku.

Teraz zaczął na nowo ostrzyć swą brzytwę, co powinien był uczynić raczej przedtem. Nie jestem zwolennikiem zbytniego wygalania i dlatego nie życzyłem sobie, aby golił mnie po raz drugi; usiłowałem tedy skłonić go do odłożenia brzytwy; obawiałem się bowiem, by nie brał się powtórnie do mego podbródka reagującego natychmiast zaczerwienieniem i pryszczami. Golarz zapewnił mnie, że pragnie jedynie zlikwidować niektóre nierówności; w tej samej chwili przejechał się brzytwą no wrażliwym miejscu, a bolesne następstwa nie dały na siebie długo czekać. Wtedy umoczył ręcznik w jakimś cuchnącym czerwonym płynie i w obrzydliwy sposób przykładał mi go do całej twarzy, tak jakby jakakolwiek ludzka istota kiedykolwiek tak się myła. Następnie wysuszył mą twarz jakimś gałganem, tak jakby jakakolwiek ludzka istota kiedykolwiek tak się wycierała. Później umoczył ręcznik w czerwonym płynie i przyłożył do rany, zalepił ranę białym proszkiem i na nowo stał wszystko ręcznikiem i bez wątpienia nie przerwałby tej czynności nigdy, gdybym go nie poprosił, aby zostawił sprawę naturalnemu biegowi rzeczy. Wówczas napudrował mi całą głowę i zaczął krytycznie przypatrywać się moim włosom; po chwili zaproponował mi nabycie *shampooonu*, gdyż włosy moje bardzo tego potrzebują. Ośmieliłem się wtrącić, że myłem sobie głowę poprzedniego dnia w kąpieli. Wówczas polecił mi pomadę pod nazwą „Przyjaciel Włosów Smitha”. Kiedy odmówiłem, zaczął zachwalać nowe perfumy Jonesa,

pod nazwą „Rozkosze Toaletowe”. Gdy znów ustosunkowałem się negatywnie, chciał wtrynić mi pastę do zębów własnego wynalazku oraz starą brzytwę.

Gdy odrzuciłem i tę propozycję, powrócił do swej czynności, obsypał pudrem całe moje ciało nie wyłączając nóg, pomadował mimo mych protestów włosy, tarł je, cesał i na nowo targał, wyrwawszy mi zaś znaczną ich ilość, resztę zawzięcie szczotkował i w chwili gdy wyczesawał i brylantynował moje brwi zabawiając mnie opowieścią o zdolnościach swego czarno nakrapianego jamnika, usłyszałem gwizd południowego pociągu, na który spóźniłem się o 5 minut. Wtedy zerwał mi ręcznik spod brody, raz jeszcze przejechał się łapą po mej twarzy, pociągnął grzebieniem po brwiach i wesoło zanucił: „Następny!”

W dwie godziny później fryzjer ten został tknięty apopleksją. Nie, nie wyjadę z miasta, zaczekam przynajmniej dzień. Nie mogę odmówić sobie przyjemności wzięcia udziału w jego pogrzebie!

CHŁOPCZYK, POLICJANT I CHIŃCZYCY

Parę dni temu, w San Francisco, „dobrze ubrany chłopiec, zdążający do szkoły niedzielnej, został zaarrestowany i osadzony w więzieniu za rzucanie kamieniami w Chińczyków”.

Oto jak wygląda sprawiedliwość ludzka! Oto jak objawia się skłonność do znęcania się nad słabymi! San Francisco nie ma się naprawdę czym chlubić! W jakim duchu wychowywano bowiem to biedne dziecko! Skąd mogło przyjść mu do głowy, że rzucanie kamieniami w Chińczyków jest postępkami karygodnym? Zanim opowiemy się przeciwko biednemu malcowi, zanim staniemy po stronie ciężko znieważonego miasta San Francisco, wysłuchajmy tego oto głosu obrony:

Czytamy, że był to chłopiec „dobrze ubrany” i uczeń szkoły niedzielnej. Wygląda więc na to, że idzie o syna zamożnych i być może nawet inteligentnych rodziców; ludzie tacy mają na pewno dość niktowości w naturze, aby karmić się prasą codzienną i jej informacjami. Możemy więc przypuścić, że nasz „przestępca” uczył się etyki przez cały tydzień, nie tylko w niedzielę.

W ten sposób niewątpliwie dowiedział się, że Kalifornia nakłada bezprawnie na robotników cudzoziemskich nadmiernie wysokie podatki, że każe im kopać złoto za darmo – wychodząc pewnie z założenia, że ludzie obcych ras nie wydają tyle na wódkę co przedstawiciele czystej rasy celtyckiej.

Niewątpliwie dowiedział się, jak wielka liczba nadużyć popełniana jest przy pobieraniu od nich podatków; ponieważ zaś ma to na celu zahamowanie dopływu Chińczyków do kopalni, uważane jest nie tylko za słuszne, ale nawet za wielce dowcipne.

Niewątpliwie dowiedział się, że gdy biały człowiek ukradnie miseczkę do płukania złota (biały, tzn. Hiszpan, Meksykanin, Portugalczyk, Irlandczyk, Peruwiańczyk itp.), to zostanie wyrzucony z kopalni, jeśli zaś dokona tego Chińczyk – zostanie powieszony.

Niewątpliwie dowiedział się, że w wielu stanach położonych nad Pacyfikiem tak mocny jest głód sprawiedliwości w sercach ludzkich, że gdy kiedykolwiek zdarzy się jakaś tajemnicza zbrodnia, natychmiast wołają: „Niech sprawiedliwości stanie się zadość!”, i wieszają Chińczyka.

Niewątpliwie dowiedział się studiując codziennie połowę kroniki miejscowej w gazecie, że policja w San Francisco bądź nie istnieje, bądź śpi snem kamiennym; z drugiej zaś połowy musiał wywnioskować, że dowodzi ona istnych cudów, że odznacza się diabelską energią i skutecznością działania, bo „przodownik z właściwą sobie bystrością i szybkością orientacji” przychwycił chińskiego zbrodniarza na kradzieży kurczęcia; bo „dzielny sierżant po dłuższej obserwacji przychwycił wreszcie wielce podejrzanego Chińczyka, gdy ten kładł rękę na cudzej gazecie”; bo policjant taki a taki dokonał tego, a policjant inny tamtego, a wszyscy oni wyróżnili się po prostu tropieniem szylingowych przestępstw Chińczyków. Te sukcesy, osiągnięte kosztem największych nieszczęśników, służą do tego, aby odwrócić uwagę publiczności od prawdziwych i niebezpiecznych łotrów, hulających sobie swobodnie na wolności i kpiących z naszej znakomitej policji.

Niewątpliwie dowiedział się, że prawodawstwo amerykańskie, w myśl konstytucji, dopuszczać powinno wszystkich nieszczęśliwych i szukających azylu do naszego kraju, bez żadnych opłat wjazdowych; że prawodawstwo to jednak orzekło, iż każdy Chińczyk musi być szczepiony przed wyjściem na ląd amerykański, za co płaci skarbowi państwa 10 dolarów, podczas gdy każdy doktor w San Francisco dokonałby tego zabiegu za 50 centów.

Niewątpliwie dowiedział się, że Chińczyk nie posiada praw, które muszą być przez kogokolwiek respektowane; że nie posiada trosk, które mogą wzbudzać w kimkolwiek współczucie, że jego życie i wolność nie są warte centa, gdy białym ludziom potrzebny jest kozioł ofiarny; że nikt nie lubi Chińczyków, nikt ich nie toleruje, nikt nie oszczędza ich, gdy tylko może zadać im cierpienie; wszyscy – obywatele, gminy, a nawet samo państwo – prześcigają się w gnębieniu, nadużywaniu i prześladowaniu tych nieszczęsnych cudzoziemców.

I – wobec tego – czyż można wyobrazić sobie coś bardziej naturalnego niż reakcję tego przemilego chłopca, który idąc do szkoły i powtarzając sobie świeżo nabyte nauki moralne, pomyślał w duchu:

O, właśnie zbliża się jakiś Chińczyk! Bóg wynagrodzi mnie, jeśli rzucę w niego kamieniem!

I za to zaaresztowano tego malca i wtrącono do więzienia!

Wszyscy dokoła uczyli go, że rzucanie kamieniami w Chińczyków jest rzeczą wzniosłą, ba – niemal świętą; ledwie jednak chciał przyczynić się do tej zbożnej akcji, został surowo ukarany, on – prostaczek, który wiedział od niemowlęctwa, że ulubioną rozrywką policji jest przypatrywanie się, jak rzeźnicy w San Francisco szczują psami bezbronnych chińskich przechodniów...

Jeśli wziąć pod uwagę specyficzny humanitaryzm, w jakim wychowuje się młodzież na wybrzeżu Pacyfiku, to tym zabawniej brzmi rozporządzenie czcigodnych ojców miasta San Francisco, iż „nakazuje się policji, aby aresztowała chłopców, którzy w taki czy inny sposób dokonują napaści na Chińczyków”.

Mimo całego zakłamania i niekonsekwencji tego rozporządzenia jesteśmy zadowoleni i z niego; z całą pewnością zadowolona jest również policja. Aresztowanie chłopców nie łączy się bowiem z żadnym niebezpieczeństwem, pod warunkiem, że będą oni dostatecznie mali i że reporterzy z miejscowych gazet pozostaną równie lojalnie zachwyceni wyczynami policjantów, jak dotychczas.

Oto jak wyglądać będzie odtąd wzmianka tego typu w prasie San Francisco: „Dzielny i jak zawsze bojowy przodownik taki i taki dokonał wczoraj po południu po dłuższej walce aresztowania p. Tommy Jonesa” itp., itp.; tu nastąpią normalne wyliczenia wyczynów strażników bezpieczeństwa i końcowe hura: „Szczęśliwi jesteśmy mogąc donieść, że jest to już czterdziesty siódmy chłopiec, zaaresztowany przez walecznego policjanta od chwili wydania odnośnego rozkazu. Policja okazuje ostatnio aktywność zgoła wyjątkową i zdumiewającą. Nic równie wspianalego nie miało dotąd jeszcze miejsca za naszej pamięci...”

OKAZOWY STARUSZEK

John Wagner jest najstarszym człowiekiem w Buffalo. Ma lat sto cztery i ostatnio przeszedł półtorej mili w przeciągu dwóch tygodni. Jest równie serdeczny i pogodny jak każdy z tych starszych panów, którzy tak uporczywie i męcząco afiszują się po gazetach, i na pewno nie ustępuje im pod żadnym względem.

Ostatniego października przeszedł podczas ulewy wzdłuż pięciu kamienic nie używając żadnej innej osłony prócz parasola i oddał swój głos na Granta, zaznaczając, że głosował już na czterdziestu siedmiu prezydentów, co zresztą było kłamstwem.

Wczoraj przybyło dla niego z New Yorku drugie wydanie „Gęstych Włosów” i oczekuje nowego garnituru zębów z Filadelfii.

W przeszłym tygodniu ożenił się z dziewczyną, która ma sto dwa lata i jeszcze przyjmuje bieliznę do prania. Byli oni zaręczeni przez osiemdziesiąt lat, lecz rodzice uporczywie odmawiali im swego pozwolenia. Trzy lata temu jednak zgodzili się.

John Wagner jest o dwa lata starszy od weterana z wyspy Rhodos, a jednak ani razu w ciągu swego życia nie spróbował kropli spirytusu, chyba... chyba że będziemy liczyli wódkę.

REWOLUCJA W PITCAIRN

Mniej więcej sto lat temu załoga brytyjskiego statku „Bounty” zbuntowała się i wysadziwszy kapitana wraz z oficerami na pełnym morzu, zawładnęła okrętem, po czym pożeglowała na południe. Zdobywszy sobie kobiety Tahiti popłynęła w stronę bezludnych wysp położonych pośrodku Oceanu Spokojnego, noszących nazwę Pitcairn. Tam, zabrawszy ze statku wszystko, co tylko mogło się na coś przydać, marynarze zniszczyli go i osiedlili się na wybrzeżu.

Pitcairn leży tak daleko od wszystkich szlaków morskich, że często upływa kilka lat, zanim na widnokręgu ukaże się jakaś flaga. Wyspa ta uchodziła zawsze za niezamieszkałą, toteż w roku 1808, kiedy to pewien statek po raz pierwszy od długiego czasu zarzucił tam kotwicę, jego kapitan niezmiernie się zdziwił, gdy okazało się, że na wyspie są ludzie.

Między zbuntowanymi doszło do krwawych waśni, tak że po załatwieniu spraw zostało ich przy życiu tylko dwóch czy trzech, stało się to jednak dopiero po przyjsciu na świat pewnej liczby dzieci. Tym sposobem ludność wyspy wynosiła w roku 1808 dwadzieścia siedem dusz. John Adams, głowa rokoszu, należał do liczby pozostałych przy życiu, przeżył też jeszcze niejedyn rok jako wódz i patriarcha gminy. Z buntownika i mordercy stał się pobożnym chrześcijaninem i kaznodzieją, a jego mały ludek, złożony z dwudziestu siedmiu poddanych, był z całą pewnością jednym z najbardziej bogobożnych i najczystszych w całym chrześcijaństwie. Adams wywiesił był od dawna flagę Wielkiej Brytanii i ogłosił, że wyspa należy do korony brytyjskiej.

Dziś ludność wyspy liczy dziewięćdziesiąt osób: szesnastu mężczyzn, dziewiętnaście kobiet, dwudziestu pięciu chłopców i trzydzieści dziewcząt, wszystko potomstwo rokoszan, noszące ich rodowe imiona, wszyscy mówią językiem angielskim, wyłącznie angielskim.

Wyspa sterczy nad morzem stromo i wysoko. Długość jej wynosi około trzech czwartych mili angielskiej, szerokość zaś miejscami pół mili. Uprawne grunta przydzielano poszczególnym rodzinom, zgodnie z powziętym przed laty postanowieniem. Żyje tam trochę zwierząt: kóz, świń, drobiu, kotów, nie ma tylko psów i bydła. Jedyne kościół służy jednocześnie jako ratusz, szkoła i sala odczytowa. Przez dwie czy trzy generacje tytuł wielkorządcy brzmiał: „Naczelnik i Najwyższy Zarządca, Podwładny Jej Królewskiej Mości Królowej Wielkiej Brytanii”. Władza jego obejmowała ustanawianie praw i ich przestrzeganie. Urząd ten był obieralny. Każdy osobnik, który ukończył lat szesnaście, posiadał tu czynne prawo wyborcze bez względu na płeć.

Ludność trudniła się uprawą roli i rybołówstwem. Jediną jej rozrywką była służba boża. Nie istniał tu handel ani pieniądze. Strój i sposób życia były nader pierwotne, prawa odznaczały się dziecięcą prostotą. Życie tych ludzi płynęło w głębokiej i odświeżającej ciszy, z dala od zgiełku i trosk świata, w zupełnej niefrasobliwości i niewiedzy tego, co wstrząsa potężnymi mocarstwami, leżącymi z dala od bezkresnego oceanu.

Raz na trzy, cztery lata zawijał do ich brzegów statek przywożąc przedawnione już wieści o krwawych wojnach i straszliwych zarazach, o obalonych tronach i upadłych dynastiach, po

czym zamieniwszy mydło i trochę odzieży na dostarczoną przez autochtonów żywność, odpływał zostawiając mieszkańców w ciszy ich pobożnego, sennego żywota.

Dnia 8 września zeszłego roku odwiedził wyspę Pitcairn admirał Harsey, naczelny dowódca brytyjskiej floty na Oceanie Spokojnym, i wyraził się o niej w następujący sposób w raporcie złożonym admiralicji:

„Mieszkańcy wysepki mają groch, rzepę, marchew, kapustę, nieco kukurydzy, ananasy, figi, pomarańcze, cytryny i orzechy kokosowe. Odzież dostają w zamian za żywność od przybijających statków. Na wyspie nie ma żadnych źródeł, jednakże raz na miesiąc pada deszcz, tak że wody mają na ogół pod dostatkiem, chociaż zdarzało im się niekiedy w poprzednich latach, że ucierpieli wskutek suszy. Napoje wyskokowe, poza celami leczniczymi, są tutaj nieznanymi, a pijanego człowieka nie widziano na wyspie nigdy.

Potrzeby mieszkańców wyspy najłatwiej poznać przy wymianie produktów spożywczych na przedmioty przywożone przez statki. Są to: flanela, jedwab, sukno, płótno, obuwie, grzebienie, mydło. Daje się tu odczuć brak map i tablic dla szkół, pożądane są również wszelkiego rodzaju narzędzia. Podarowałem im z naszych zapasów flagę angielską do wywieszenia przy witaniu statków oraz piłę, czemu Wasza Lordowska Mość nie odmówi zapewne swej aprobaty. Skoro wiadomość o ubóstwie tej małej, dalekiej kolonii dojdzie do uszu szczodrych mieszkańców Anglii, sądzę, że samotna osada nie będzie musiała czekać długo na wsparcie...

Służba boża odbywa się tutaj o godzinie wpół do jedenastej przed południem i o trzeciej po południu w budynku wzniesionym na ten cel przez Johna Adamsa, który odprawiał w nim nabożeństwa aż do samej śmierci, to jest do roku 1829. W nabożeństwach przestrzega się ściśle liturgii kościoła anglikańskiego. Pastorem został mr Szymon Young, którego ludność wielce poważa. Co środę przypada godzina czytania Biblii, na czym każdy może być obecny wedle swojej możliwości i woli. Podobnie w pierwszy piątek każdego miesiąca zbierają się wszyscy na wspólną modlitwę. Każda rodzina rozpoczyna i kończy dzień modlitwą. Przed każdym posiłkiem i po nim również odmawiana jest modlitwa. Religijność tych wyspiarzy wzbudzić musi wysokie poszanowanie. Przed ludem, dla którego najwyższą rozkoszą i radością jest modlitwa i śpiewanie psalmów, ludem pogodnym, pracowitym i wolnym od występków trapiących inne zbiorowiska ludzkie, przed takim ludem słusznie należy pochylić głowę.”

W tym miejscu jednak napotykaemy w raporcie admirała zdanie, które wymknęło mu się zapewne niechcący spod pióra nie naprowadzając go wcale na myśl, aby miano zeń wysnuwać jakiegokolwiek wnioski, a zwłaszcza przypuszczenie, że tkwić w nim mogą wróżby dziejowej tragedii. Zdanie to brzmi: „Niedawno zjawił się na wyspie obcy przybysz, Amerykanin, nabytek wątpliwej wartości.”

Wątpliwy, zaiste, nabytek! Kapitan Ormsby, przybiwszy do brzegów wyspy na statku „Hornet” w jakieś cztery miesiące po wizycie admirała, dowiedział się przy tej okazji wielu faktów, charakteryzujących owego Amerykanina więcej niż dostatecznie.

Spróbujmy odtworzyć je metodą chronologiczną i historyczną.

Nazwisko wymienionego wyżej Amerykanina brzmiało: Butterworth Stavely.

Natychmiast po zaznajomieniu się ze wszystkimi wyspiarzami – a starczyło mu na to oczywiście kilka dni – począł chwycić się wszelkich sztuczek, aby wkraść się w ich łaski. Zdobył też wnet nadzwyczajną powagę i popularność. Przede wszystkim porzucił zupełnie swój światowy sposób bycia i stał się człowiekiem na wskroś religijnym. Rozczytywał się ciągle w Biblii, modlił się, śpiewał psalmy lub w jakikolwiek inny sposób dostatecznie zwracający uwagę kołatał do nieba o łaskę, wszystko to czynił zaś z taką żarliwością i wytrwałością, że nikt nie był w stanie mu dorównać.

Skoro jednak tylko osądził, że nadeszła stosowna chwila, począł siać niezadowolenie w łonie małego narodu. Mianowicie od samego początku celem jego sprytnie ukrywanych

zabiegów, zrazu oczywiście jak najskrupulatniej tajonym, było obalenie istniejącego reżimu. W tym celu stosował względem rozmaitych osób rozmaite środki. Wśród jednych siał ferment zwracając uwagę na krótkość niedzielnej służby bożej i twierdząc, że winno się jej poświęcać nie dwie, ale trzy godziny. Niektórzy uważali już tak od dawna, porozumieli się więc teraz, by przeprowadzić rzecz wspólnymi siłami. Kobietom zdołał wmówić, że w zbiorowych modlitwach przypada im nie dość wybitne miejsce, co powołało do życia drugą grupę malkontentów. Nie pogardzając w swoich machinacjach wywrotowych żadnym środkiem zwrócił uwagę również na nieletnie dzieci, aby rozniecić w ich niewinnych serduszkach przedwczesne niezadowolenie z tego powodu, że przez zbyt pobieżne nauki niedzielne traktowano rzekomo po macoszemu najmłodszą generację. Stąd trzecia grupa niezadowolonych.

Uważając się obecnie za głowę wszystkich tych trzech grup, za największego potentata na terenie gminy, osądził, że może ważyć się na nowy krok. Krokiem tym zaś było ni mniej, ni więcej, tylko postawienie w stan oskarżenia samego naczelnika gminy, Jamesa Russel Nickoy, męża o wybitnych zaletach umysłu i charakteru, przy tym zaś posiadacza znacznego majątku, obejmującego własny dom z salonem, trzy i pół akra dobrej ziemi i jedyną na wyspie łódź rybacką. Nieszczęście chciało, że skarga ta podniesiona została w dość stosownym czasie. Jednym z najstarszych i najważniejszych praw na wyspie było prawo nietykalności domowego ogniska. Cieszyło się ono wysokim poszanowaniem i uważane było za rękojmię wolności narodowej. Otóż zdarzyło się lat temu ze trzydzieści, iż przed sąd dostała się taka właśnie sprawa. Mianowicie: kura będąca własnością Elżbiety Young, podówczas pięćdziesięcioośmioletniej córki Johna Milla, jednego z buntowników załogi „Bounty”, wtargnęła pewnego czwartku miesiąca października na grunt należący do Christiana (dwudziestodwuletniego wnuka Fletchera Christiana, także jednego z rokoszan), który to Christian rzezoną kurę uśmiercił. Podług prawa wolno było Christianowi zatrzymać sobie zabita kurę, względnie zwrócić ją właścicielce w zamian za odszkodowanie, równające się wysokości spustoszeń wyrządzonych przez intruza. Sąd wciągnął do protokołu, że Christian gotów jest zwrócić kurę Elżbiecie Young, przy czym jednak rości sobie prawo do odszkodowania za poniesione straty w formie jednego buszła zboża. Elżbiecie Young pretensja ta wydała się zbyt wygórowana, ponieważ zaś nie można było w żaden sposób przywieść powaśnionych stron do zgody, przeto sprawa Christiana znalazła się u sędziego. Przegrawszy o tyle, że przysądcono mu tylko pół miary, Christian apelował. Proces włókł się lata, przechodząc przez różne instancje, które łagodziły coraz bardziej wyrok. Na koniec sprawa dostała się przed najwyższy trybunał, gdzie leżała lat dwadzieścia nie mogąc doczekać się rozstrzygnięcia. Zeszłego roku zapadła wreszcie ostateczna decyzja, przywracająca pierwotną moc wyrokowi sprzed lat trzydziestu, którą Christian przyjął obecnie z zupełnym zadowoleniem. Stavely jednak, który przysłuchiwał się rozprawie, szepnął do ucha Christianowi i jego prawnemu doradcy, aby dla samej tylko formalności, na dowód, że odnośne prawo rzeczywiście istnieje, zażądał okazania oryginału. Żądanie to wydało się trochę dziwaczne, ale ostatecznie uzasadnione, i trybunał, przychyliwszy się doń wyprawił posłańca do magistratu z poleceniem przyniesienia manuskryptu. Atoli wysłany wrócił z niczym, oświadczając, że rękopis owej ustawy zginął z archiwum bez śladu. Wobec czego trybunał widział się zmuszony unieważnić ostatnią swoją uchwałę, jako opartą na nieistniejącym prawie.

Powstało ogromne wzburzenie. Po całej wyspie gruchnęła wieść, że przepadła rękojmia wolności. Mówiono, że została zniszczona zdradzieckim sposobem. Nie upłynęło pół godziny, a cały ludek zgromadził się w sali sądowej, to znaczy w kościele. Za sprawą Stavely'ego wniesiono skargę przeciwko głowie gminy. Ten z całą godnością swego urzędu stawiał czoło dopustowi losu. Nie spierał się ani tłumaczył, oznajmił tylko krótko i węzłowato swym oskarżycielom, że nie miał nic do czynienia z zaginionym rękopisem ustawy, że

trzymał akta archiwum państwowego w tej samej skrzyni, w której mieściło się ono od początku, krótko mówiąc, że nie ponosi winy w zaginięciu czy też zniszczeniu dokumentu.

Nic mu to jednak nie pomogło. Obwiniono go o zdradę stanu i złożono z urzędu; ponadto wszystkie jego dobra uległy konfiskacie.

Najbardziej idiotyczny w całej tej sprawie był argument użyty przeciwko niemu przez jego wrogów, którzy twierdzili, że zniszczył rozmyślnie owo pismo przemawiające na korzyść Christiana, ponieważ ten był jego kuzynem!... Tymczasem w całej kolonii jeden tylko Stavely nie był niczym kuzynem, bo przecież wszyscy ludzie z Pitcairn byli potomkami zaledwie pół tuzina mężczyzn, których dzieci pożeniły się między sobą i dały życie wnukom rokoszan, które znowu zawierały związki pomiędzy sobą, tak że obecnie wszyscy bez wyjątku byli krewnymi. W ogóle panujące tam stosunki pokrewieństwa są w całym znaczeniu tego słowa osobliwe. I tak na przykład kiedy pewien cudzoziemiec zagadnął jednego z wyspiarzy:

– Mówi pan o tej młodej kobiecie jako o swojej kuzynce, tymczasem przed chwilą nazwał ją pan ciotką... – tamten objaśnił go:

– Sprawa ma się tak: ona jest moją ciotką, ale jednocześnie i moją kuzynką. Jest także moją przyrodną siostrą, bratanicą, kuzynką czwartego stopnia, kuzynką trzydziestego trzeciego i dwudziestego siódmego stopnia, moją babką cioteczną, wdową po moim szwagrze, a w najbliższym tygodniu zostanie także moją żoną.

Oto dlaczego zarzut nepotyzmu uczyniony głowie gminy nie wytrzymał krytyki. Czy jednak był słuszny, czy niesłuszny – Stavely został następcą złożonego z urzędu dygnitarza. Pałając niepokohamowaną żądzą reform wziął się oczywiście co rychlej do dzieła. W stosunkowo niedługim czasie wszyscy mieszkańcy ulegli szalowi modlitwy. Druga poranna modlitwa niedzielna, trwająca zaledwie małe pół godzinki, a poświęcona błaganii o dobro całego świata, dalej o dobro narodu, a wreszcie o dobro własnego ogniska domowego, trwała teraz półtorej godziny i mieściła w sobie jeszcze żarliwe modły o dobro wszelkich możliwych narodów na obu półkulach. Wszyscy byli tym zachwyceni, tak jak i rozszerzeniem dotychczasowego trzygodzinnego kazania do sześciu godzin. Ludek zebrał się, aby gorąco podziękować swemu nowemu przywódcy. Stare prawo, zabraniające gotowania w dzień świąteczny, zostało poprawione o tyle, że zabroniono także i jedzenia. W końcu postanowiono naukę niedzielną odbywać również i w dni powszednie. Radość ogółu wobec tych wszystkich reform nie miała końca. W niedługim czasie nowy przywódca stał się bożyszczem narodowym.

Teraz wydało się temu człowiekowi, że nadeszła odpowiednia chwila do uczynienia nowego kroku naprzód. Zrazu bardzo ostrożnie zaczął podburzać opinię publiczną przeciw Anglii. Biorąc na bok co znamienitszych obywateli, jednego po drugim, omawiał z nimi rzecz w cztery oczy. Wkrótce począł występować głośniejsze i śmiejsze, dowodząc, że naród ma obowiązek względem samego siebie, względem swego honoru i swych wielkich tradycji, aby dźwignąć się w całej swej potędze i zerwać uciskające go angielskie jarzmo.

Prośbi wyspiarze odpowiadali:

– Nie czujemy żadnego ucisku... I co tu właściwie ma cisnąć?... Anglia przysyła co trzy, cztery lata okręt z mydłem, odzieżą i innymi rzeczami, które są nam potrzebne, ale nie gnębi nas wcale...

– Nie gnębi was wcale? Otóż tak zawsze czuje i mówi niewolnik!... Słowa te są najlepszym świadectwem, jak nisko upadliście, jak głęboko ugrzęźliście w waszym ponizieniu, jak upodobniliście się do zwierząt w poniewierce długoletniej tyranii. Jak to?... Czyżby zamarła do szczytu w waszych piersiach mężna dusza?... Czy wolność jest dla was niczym?... Czy rzeczywiście wystarcza wam być tylko przyczepką obcego imperium, gdy macie możliwość zajęcia należnego wam poczesnego miejsca w rzędzie wielkiej rodziny państw niepodległych?... Wielcy, wolni, oświeceni, niepodlegli – oto do czego powinniście dążyć!

Przemówienia tego rodzaju poczęły stopniowo wywierać skutek. Obywatele poczęli z wolna coraz dotkliwiej odczuwać ciężar angielskiego jarzma. Zaczęli naprzód szemrać, potem jęczeć, wreszcie burzyć się, tęskniąc coraz bardziej do jutrzejki oswobodzenia. Znienawidzili flagę angielską, symbol swego narodowego poniżenia, odwracali od niej oczy przechodząc koło ratusza i zgrzytali przy tym zębami. Pewnego ranka znaleziono ją nawet w błocie obok masztu. I stało się to, co prędzej czy później stać się musiało: kilku najwybitniejszych obywateli zwróciło się do przywódcy wyspiarskiego społeczeństwa z oświadczeniem:

- Nie potrafimy znosić dłużej tej straszliwej tyranii; powiedz nam, jak się od niej uwolnić?
- Przez zamach stanu.
- Jak?

– Przez zamach stanu!... To znaczy wszyscy przygotowują się według moich wskazówek, ja zaś jako prawnie wybrana głowa narodu ogłoszę w odpowiedniej chwili jego niezawisłość i uwolnię go od obowiązku dotrzymania przysięgi wierności złożonej jakiemukolwiek obcemu mocarstwu.

– Wydaje się to dość proste i nie takie znów trudne do przeprowadzenia. Czemuż nie mielibyśmy tego zrobić? Ale co dalej?

– Potem przedsięwzięcie się wszelkie środki ostrożności. Po proklamacji praw wojennych wprowadzi się w armii i marynarce stan wojenny i ogłosi niezawisłe cesarstwo.

Śmiały ten program spodobał się naiwnym wyspiarzom. Rzekli więc:

– To wielkie! To wspaniałe! Ale czy Anglia nie zechce się sprzeciwić?

– Niech tylko spróbuje!... Te skały to istny Gibraltar!

– Prawda! Tylko że to cesarstwo... Jesteśmy tak mali i ubodzy, że nie potrzeba nam ani cesarza, ani cesarstwa...

– Mylicie się, moi kochani! Spójrzcie na Niemcy, na Włochy! Potrzeba nam stałej armii i marynarki. Oczywiście, ustanowi się podatki. Wszystkie te rzeczy razem wzięte składają się w rezultacie na wielkość. Jedność i wielkość – czegoż wam więcej potrzeba? Zaprawdę! Jedynie cesarstwo może zapewnić wam te zdobycze...

Tak tedy dnia 8 grudnia wyspa Pitcairn proklamowana została jako wolne i niezawisłe państwo. Tegoż dnia odbyła się wśród wielkiej radości całego narodu i uroczystych obchodów koronacja Butterwortha I jako cesarza wyspy Pitcairn. Cały naród – z wyjątkiem czternastu osób, przeważnie małych dzieci – przedefilował ze sztandarami i muzyką, gęsiego, przed tronem swego pana i władcy, rozwinięty w pochód długości dobrych dziewięćdziesięciu stóp. Czegoś podobnego nie pamiętano dotychczas w dziejach wyspy. Entuzjazm nie miał granic.

Teraz wszakże poczęły sypać się jedna za drugą cesarskie reformy. Stworzono szlachtę. Mianowano ministra marynarki, a łódź rybacka, skonfiskowana byłemu namiestnikowi angielskiej tyranii, awansowała na mocy odręcznego pisma jego cesarskiej mości na statek liniowy. Nastąpiła nominacja ministra wojny, któremu poruczono zorganizowanie stałej armii. Z kolei minister skarbu otrzymał rozkaz przygotowania projektu podatkowego oraz nawiązania pertraktacji z obcymi mocarstwami; rokowania miały na celu unormowanie stosunków handlowych oraz zawarcie odnośnych układów. W ślad za tym poszły nominacje generałów, admirałów, szambelanów, marszałków dworu i innych dygnitarzy.

Nominacje te wyczerpały jednak wkrótce cały materiał ludzki, jaki był do rozporządzenia na wyspie. Wielki książę de Galilei, minister wojny, żalił się, że wszyscy dorośli mężczyźni w państwie zostali oficerami sztabowymi, wskutek czego nie ma absolutnie kim zapełnić szeregów i nie można postawić armii pod broń. Podobne skargi dały się również słyszeć z ust markiza de Ararat, ministra marynarki, który oświadczył, że gotów jest podjąć się ostatecznie sterowania państwowym okrętem, byle jednak miał do pomocy przynajmniej dwóch majtków przy wiosłach.

Cesarz uczynił to, co było w tych warunkach do zrobienia, i zabrawszy matkom wszystkich chłopców powyżej lat dziesięciu, wcielił ich w szeregi armii. Utworzył się korpus złożony z siedemnastu ludzi pod dowództwem jednego, generała-porucznika i dwóch generałów-majorów.

Spodobało się to naturalnie bardzo ministrowi wojny, który ujrzał się naraz w posiadaniu poważnej siły zbrojnej, usposobiło natomiast wrogo wszystkie matki w cesarstwie. Poczęły one wykrzykiwać, że jeśli najdrożsi ich sercu polegą kiedykolwiek w krwawych zapasach morderczej wojny, to nikt inny, tylko on, Butterworth I, będzie za to odpowiedzialny. Niektóre, bardziej rozżalone niewiasty poczęły czatować na władcę i mimo czujności przybocznej gwardii cesarskiej obrzuciły zgniłymi figami koronowaną głowę pomazańca.

Z powodu szczupłości materiału ludzkiego stało się rzeczą niezbędną żądanie, aby generalny dyrektor poczty, książę de Bethany, objął dodatkowo służbę przy wiosle obok jednego z urzędników nieco niższej rangi, nadsędziego wicehrabiego Canaan. Zatrulo to wszakże jadem niezadowolenia serce księcia de Bethany, czyniąc zeń skrytego konspiratora – skutek, który cesarz przewidział, któremu wszakże nie był w stanie zapobiec.

Wkrótce potem wewnętrzne sprawy cesarstwa wzięły jeszcze gorszy obrót. Pewnego dnia cesarz podniósł niejaką Nancy Peters do stanu szlacheckiego i nazajutrz ożenił się z nią, pomimo iż gabinet zalecał mu ze względów dynastycznych małżeństwo z Ermeliną, najstarszą bratanicą prymasa de Bethlehem. Wypadek ten pociągnął za sobą niezadowolenie potężnej partii klerykałnej. Nowa cesarzowa pozyskała sobie wprawdzie przychyłność i poparcie dwóch trzecich z trzydziestu sześciu dorosłych białogłów, zamianowawszy je damami dworu. Ale za jednym zamachem porobiła sobie śmiertelne nieprzyjaciółki z pozostałych dwunastu. Rodziny dam dworu poczęły się niebawem również burzyć, żadna z nich bowiem od czasu nominacji nie chciała pilnować gospodarstwa. Dwanaście pokrzywdzonych obywaterek z oburzeniem odrzuciło poczynioną im propozycję zajęcia się kuchnią dworską, tak że cesarzowa zmuszona była zażądać od hrabiny Jerycho i innych wysoko urodzonych dam dworu, aby nosiły wodę, zamiatały i spełniały inne roboty domowe, co również napuło niemało krwi.

Wszyscy poczęli jednogłośnie uskarżać się na podatki nałożone dla pokrycia kosztów utrzymania armii, marynarki i innych urzędów cesarskich; mówiono, że są one ciężarem nie do zniesienia i że naród zejdzie przez nie w niedługim czasie na dziady. Odpowiedź cesarza brzmiała: „Spójrzcie na Niemców, na Włochów!... Czy wyście od nich lepsi?... Czy za to nie macie niezawisłości?...” Odpowiedź ta nie zadowoliła jednak nikogo.

Odpowiadali:

– Niezawisłością trudno się pożywić, my zaś zaczynamy przymierać głodem. Pola leżą odłogiem. Wszystko, co żyje, służy w wojsku albo w marynarce, piastuje różne urzędy, paraduje w uniformach, nic w gruncie rzeczy nie robiąc, ale też nie mając co jeść, bo i jakże, skoro nikt nie uprawia ziemi!

– Spójrzcie na Niemcy, na Italię!... Znajdźcie tam to samo. Tak to już wygląda i nie ma na to żadnego sposobu. Inaczej nie osiągnie się niezawisłości.

Tak reagował za każdym razem cesarz.

Malkontenci odpowiadali wszakże zawsze jednakowo:

– Nie jesteśmy już w stanie podolać podatkom... To przechodzi nasze siły...

Na dobitkę gabinet wystąpił z projektem pożyczki państwowej w wysokości 45 dolarów, po pół dolara na głowę. Słyszał mianowicie, że tego rodzaju środki ratunkowe są w zwyczaju w podobnych wypadkach. Dalej zaprojektował cła przywózowe i wywózowe, a w końcu emitowanie państwowych obligacji kredytowych i banknotów płatnych w ciągu lat pięćdziesięciu w figach i kapuście głowiastej. Rząd był zdania, że armii, marynarce i w ogóle całej machinie państwowej zagraża krach i jeżeli nie przedsięwzięmie się zaraz czegoś celem zaradzenia złu, bankructwo a w następstwie rewolucja staną się nieuniknione. Cesarz

postanowił tedy użyć środków, jakich dotychczas jeszcze nigdy nie stosowano na wyspie Pitcairn. W cesarskich szatach, na czele armii, udał się w niedzielę rano do kościoła i kazał ministrowi skarbu urządzić na poczekaniu kwestę.

Stało się to ową przysłowiową kroplą, która przepelnia czarę goryczy. Najpierw podniósł się jeden z obywateli, zaraz po nim drugi i jak najostrzej zaprotestowali przeciw temu jawnemu rabunkowi. Bezpośrednim wszakże następstwem odmowy jednego i drugiego była natychmiastowa konfiskata ich majątków. Surowość ta przejęła takim strachem resztę niezadowolonych, że kwesta potoczyła się dalej wśród ponurej i złowieszczej ciszy. Oddalając się na czele swych wojsk cesarz zawołał do poddanych:

- Ja wam pokażę, kto tu panem! Kilka osób odpowiedziało okrzykiem:
- Precz z niezawisłością!

Niezwłocznie uwięziono krzyczących i wśród płaczu rodzin i przyjaciół wprowadzono ich pod strażą.

Tejże nocy ogólne oburzenie doprowadziło do wybuchu. Naród podniósł się jak jeden mąż, pomimo że czterdziestu siedmiu rewolucjonistów zaliczało się do płci żeńskiej. Piechota rzuciła o ziemię widły od siana, artyleria cisnęła precz kokosowe orzechy wszelkich kalibrów, marynarka również podniosła bunt, po czym pojmano cesarza w jego pałacu, związawszy mu ręce i nogi.

Rzekł tedy:

– Wyzwoliłem was z ucisku tyranii, dźwignąłem was z poniżenia i uczyniłem narodem między narodami. Dałem wam silny i pewny rząd centralny, obdarzyłem was największym z dóbr tego świata – niezawisłością! Oto co dla was uczyniłem – w nagrodę zaś za to spotyka mnie z waszej strony najczarniejsza w świecie niewdzięczność i nienawiść, urąganie i te hańbiące pęta!... Zróbcie ze mną, co wam się podoba. Zdejmę chętnie z moich barków to zaiste nazbyt ciężkie brzemie. Dla was wziąłem je na siebie – dla was je składam. Niech zgaśnie imperatorski blask mego panowania dla dobra narodu, skoro ład, będący moim dziełem, a przez was obrócony wniwecz, leży oto u waszych nóg zdeптany i opluty, jak sami tego chcieliście.

Naród skazał jednogłośnie cesarza na dożywotnie wykluczenie z gminy kościelnej lub na dożywotnie ciężkie roboty (praca galernika na łodzi rybackiej) – pozostawiając wybór jemu samemu.

Następnego dnia naród zgromadził się ponownie, zawiesił na żerdzi flagę angielską, zredukował stan szlachecki do jego pierwotnej liczby, po czym skupił całą swoją uwagę na zaniedbanych i spustoszonych polach, na wskrzeszeniu starych, pożytecznych rzemiosł i starej, nieprzesadzonej nabożności. Eks-cesarz zwrócił zaginiony rękopis ustawy przyznając się, że zginął on za jego sprawą w interesie jego rozległych planów politycznych. Dawny naczelnik narodu odzyskał swoją godność i skonfiskowany majątek.

Po dojrzałym namyśle eks-cesarz wybrał dożywotnie wykluczenie z gminy kościelnej, rezygnując z ciężkich robót na galerach, „połączonych z dopuszczeniem do służby bożej”, jak głosił wyrok. Ludek wnosząc z tego, że skazany stracił rozum, postanowił wziąć go pod klucz, co się też stało.

Tak przedstawiają się dzieje wyspy Pitcairn oraz jej „wątpliwej zdobyczy” – jego cesarskiej mości Butterwortha I.

LUDOŻERSTWO W WAGONACH

Niedawno wybrałem się do St. Louis. W drodze na zachód, po przesiadce w Terre Haute (w stanie Indiana), na którejś z mniejszych stacji wsiadł jakiś pan o łagodnej, dobrotliwej powierzchowności, mogący mieć ze czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt lat i zajął miejsce koło mnie. Rozmawialiśmy z godzinę bardzo przyjemnie na rozmaite tematy i mój towarzysz wydał mi się ogromnie miły i inteligentny. Dowiedziawszy się, że jestem z Waszyngtonu, zaczął rozpytywać się o różne osobistości polityczne i o szczegóły dotyczące Kongresu. Wkrótce przekonałem, się, że rozmawiam z człowiekiem wybornie zorientowanym we wszystkich szczegółach życia politycznego, któremu nie były obce nawet przyzwyczajenia i manieri wybitniejszych mówców i przedstawicieli Izb. Wtem przeszło koło nas dwóch mężczyzn, z których jeden odezwał się do drugiego:

– Harris, mój kochany, zrób to dla mnie.

Oczy mego towarzysza zabłyśły. Widocznie te słowa obudziły w nim jakieś miłe wspomnienie. Potem rysy jego powłókl wyraz głębokiego zamyślenia, nieledwie ponurości. Zwrócił się do mnie mówiąc:

– Pozwól pan, że panu coś opowiem. Jest to tajemny rozdział mego życia, rozdział, o którym nigdy nie wspominałem nikomu, odkąd wszystko się wykryło. Wysłuchaj pan cierpliwie i przyrzeknij, że nie będziesz mi przerywał.

Przyrzekłem, po czym nieznajomy opowiedział mi następującą przygodę, mówiąc chwilami z ożywieniem, chwilami ze smutkiem, ale zawsze ze szczerem i głębokim uczuciem.

OPOWIADANIE NIEZNAJOMEGO

Dnia 19 grudnia 1863 r. wyjechałem z St. Louis wieczornym pociągiem, idącym do Chicago. Było nas dwudziestu czterech podróżnych, samych mężczyzn, bez kobiet i dzieci. Byliśmy wszyscy w wybornych humorach i wkrótce pozawieraliśmy między sobą przyjemne znajomości. Podróż zapowiadała się szczęśliwie i nikt z nas, jak sądzę, nie przeczuwał okropności, jakie nas czekały.

Około jedenastej wieczorem zaczął sypać śnieg. Po przejechaniu niewielkiej osady Welden wydostaliśmy się na olbrzymią prerię, która rozciąga się bezkresnym pustkowiem aż w stronę Osad Jubileuszowych. Wiatr, nie zatrzymywany żadnymi wzgórkami ani drzewami, dął wściekle przez stepy, rzucając śniegiem jak pianą rozprysniętą ze wzburzonych bałwanów. Śnieg gęstniał z każdą chwilą, a ze zwalnającego stopniowo biegu pociągu wnosiliśmy, że lokomotywa przekopuje się z coraz większą trudnością. Chwilami nawet przystawaliśmy zupełnie przed wielkimi zaspami, które przewalały się przez tor kolejowy na kształt olbrzymich mogił. Rozmowa zaczęła się trwać. Zamiast wesołości zapanowała powaga i niepokój. Wszystkim nasunęło się na myśl prawdopodobieństwo zagrzebania w śniegu wśród szczerego stepu, o dziesiątki mil od ludzkich osiedli – i wszystkimi umysłami owładnęło przygnębienie.

Około drugiej w nocy obudziło mnie z niespokojnej drzemki uczucie, że ustał wszelki ruch. Od razu pojąłem okrutną prawdę: byliśmy uwięzieni w zaspie śnieżnej! „Wszystkie ręce do pomocy!” Każdy skoczył na to wezwanie. Wybiegliśmy w burzliwą noc, w nieprzejrzone ciemności, w wirujące tumany śniegu, na wściekle podmuchy wiatru, wybiegliśmy czując, iż chwila jeszcze, a zginiemy wszyscy. Odgarnialiśmy śnieg, czym się dało: rękami, łopatami, deskami, wszystkim, co tylko było pod ręką. Dziwny to był i posępny widok, ta gromada oszalałych ludzi walczących ze śniegiem, który walił zewsząd, po części zanurzonych w głębokiej ciemności, po części zaś oświetlonych ponurym blaskiem reflektorów lokomotywy.

Godzina wystarczyła, aby przekonać nas, jak bezowocne były nasze wysiłki. W czasie, w którym zdołaliśmy usunąć jedną zaspę, wicher naniósł nam dziesięć nowych. Co gorsza, odkryliśmy, że przy ostatnim ataku na nieprzyjaciela został uszkodzony tender, gdyby więc nawet otworzyła nam się wolna droga, pozostalibyśmy bezradni. Strudzeni i zgnębieni do ostatka powróciliśmy do wagonu. Zgromadzeni dokoła pieców zaczęliśmy na serio rozważać położenie. Nie mieliśmy ze sobą żadnych zgoła zapasów i to martwiło nas najbardziej. Nie groziło nam zmarznięcie, gdyż pociąg posiadał ogromny zapas drzewa, i to było dla nas jedyną pociechą. Zakończyliśmy dyskusję zgadzając się z uwagą konduktora, który rzekł, że byłoby szaleństwem wędrować pieszo pięćdziesiąt kilometrów po takim śniegu. Nie mogliśmy posłać po pomoc, a choćbyśmy posłali, nie zdałoby się to na nic. Musieliśmy tedy ulec i oczekiwać, o ile możliwości cierpliwie, na ratunek lub śmierć głodową. Sądzę, że najmężniejsze nawet serce zdrętwiało, w chwili gdy wyrzeczono te słowa.

Po upływie dalszej godziny rozmowa ograniczała się już tylko do przyciszonych szeptów tu i ówdzie po kątach wagonu, tłumionych chwilami głośniejszym poświstem wiatru; lampy przygasły; większość skazańców usunęła się w niepewny półmrok, ażeby rozmyślać, zapomnieć o terażniejszości, zasnąć, o ile im nerwy na to pozwolą.

Nareszcie minęły włokące się wolno godziny tej strasznej nocy, która zdawała się nam wiecznością, i na wschodzie zaświtał chłodny, szary ranek. Rozwidniało się coraz bardziej i podróżni zaczęli się poruszać i dawać znaki życia. Coraz to któryś odsuwał z czoła spuszczone kapelusze, prostował zdrętwiałe członki i wyglądał oknem na smętny krajobraz. Zaiste był on smętny! Ani śladu życia nigdzie dokoła, jak okiem sięgnąć śnieżna pustka; tu i ówdzie wiatr podrywał z ziemi tumany śniegu, a chmary wirujących płatów zamykały firmament nad naszymi głowami.

Cały dzień włoczyliśmy się po wagonach mówiąc niewiele, pogrążeni w myślach. Jeszcze jedna noc nudna, niekończąca się – i stanęło przed nami widmo głodu.

Jeszcze jeden świt, jeszcze jeden dzień posępnego milczenia, przejmującego smutku, głodu i oczekiwania na ratunek, który nie przychodził. Noc snów gorączkowych z ciągłymi wizjami uczt i chwilami przebudzenia, w czasie których głód szarpał nam coraz mocniej wnętrzości.

Czwarty dzień nadszedł i minął, potem zaświtał piąty! Pięć dni okrutnego więzienia! We wszystkich oczach malowała się dzikość ludzi głodnych. Była w tych spojrzeniach zapowiedź czegoś straszego, wstęp do tego, co z wolna kształtowało się w głębi każdej duszy, ale czego jeszcze żaden język nie odważał się wypowiedzieć słowami.

Minął szósty dzień i siódmy i brzask ujrzał znów gromadę ludzi wynędzniałych, okropnych, bez żadnej nadziei, najnieszczęśliwszą gromadę, jaka kiedykolwiek znalazła się w obliczu śmierci. Teraz musiało ujawnić się i przybrać kształt słów to, co wzrosło na dnie duszy każdego z nas. Ulegliśmy więc nareszcie. Podniósł się p. Richard Gaston z Minnesota, wysoki, szczupły, trupioblady. Wszyscy wiedzieli, co teraz nastąpi. Wszyscy byli gotowi... stłumiono wszelki ślad wzruszenia, wszelki nawet pozór podniecenia... w oczach, które przed chwilą płonęły dzikim blaskiem, odbijało się teraz tylko spokojne i poważne zamyślenie.

– Panowie, nie możemy zwlekać dłużej! Nadeszła chwila stanowcza. Musimy się zdecydować, kto z nas ma zginąć, ażeby reszcie dostarczyć pożywienia.

Pan John Williams z Illinois powstał i rzekł:

– Panowie, ja głosuję za wielbnym ks. Jamesem Sawyer z Tennessee.

P. John Adams z Indiany rzekł:

– Ja głosuję za panem Danielem Slote z New Yorku.

Pan Charles Langdow:

– Ja głosuję za panem Samuelem Bowen z St. Louis.

Pan Slote:

– Panowie, ja skłaniałbym się na stronę p. Johna van Nostrand-juniora z New Jersey.

Pan Gaston:

– Jeśli nikt nie protestuje, możemy się przychylić do życzenia pana Slote.

Ponieważ pan van Nostrand protestował, więc wniosek pana Slote'a nie przeszedł. Wnioski pp. Sawyera i Bowena zostały odrzucone dla tych samych powodów.

Pan A. L. Bascom z Ohio:

– Ja oświadczam się za przerwaniem głosowania jawnego i wnoszę, aby zgromadzenie przystąpiło do wyborów tajnych.

Ks. Sawyer:

– Panowie, ja stanowczo protestuję przeciw tej metodzie postępowania. Jest to sposób pod każdym względem chaotyczny i niestosowny. Zmuszony jestem wnieść, ażeby obrady zostały natychmiast przerwane i abyśmy wybrali przewodniczącego zebrania i odpowiednich urzędników, a wówczas dopiero będziemy mogli przystąpić do obrad w sposób zrozumiały.

Pan Beli z Iowa:

– Ja protestuję. To nie jest pora do obstawania przy formalistyce i do obserwowania ceremoniału. Przeszło siedem dni byliśmy bez pożywienia. Każda chwila zmarnowana na jałowe dyskusje powiększa naszą niedolę. Ja jestem zadowolony z głosów, które padły dotąd... sądzę, że wszyscy tu obecni są zadowoleni... i, co do mnie, zupełnie nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy przystąpić natychmiast do wybrania jednego lub więcej spośród wymienionych kandydatów. Chciałbym przedstawić rezolucję...

Pan Gaston:

– Która by się zapewne spotkała z protestem i stosownie do reguł musiałaby być rozpatrywana przez jedną dobę, co by właśnie spowodowało zwłokę, której pan chcesz uniknąć. Pan van Nostrand z New Jersey...

Pan Nostrand:

– Panowie, ja jestem tutaj obcy; nie ubiegałem się o zaszczyt, który mi przypada w udziale, i mam pewne skrupuły...

P. Morgan z Alabama (przerywa):

– Ja wnoszę poruszenie kwestii poprzedniej.

Przystąpiono do wyborów zawieszając oczywiście dalszą dyskusję. Pana Gastona wybrano na przewodniczącego, p. Blake'a na sekretarza, pp. Holcoma, Dyera i Baldwina do komisji skrutacyjnej, a p. Howlanda dokooptowano do komisji, jako pomocnika do zbierania głosów.

Potem nastąpiła półgodzinna przerwa.

Na dźwięk dzwonka przewodniczącego zebrali się znów wszyscy członkowie zgromadzenia, a komisja skrutacyjna zdecydowała uznać za najodpowiedniejszych kandydatów panów: George'a Fergusona z Kentucky, Luciena Herrmana z Louisiany oraz W. Mesicka z Colorado. Sprawozdanie komisji zostało przyjęte.

P. Rogers z Missouri:

– Panie przewodniczący, teraz, gdy wniosek jest postawiony, pozwalam sobie na małe sprostowanie i proponuję, aby na miejsce p. Herrmana przedstawić p. Lucjusza Harris z St. Louis, którego mamy zaszczyt znać wszyscy. Nie zamierzam nawet rzucać cienia podejrzenia na charakter lub stanowisko szanownego pana Herrmana – przeciwnie. Cenię go i považam podobnie jak wszyscy tu obecni, ale nikt z nas nie może zaprzeczyć, że dżentelmen ten w ciągu tygodnia, któryśmy tu spędzili, stracił więcej ciała niż którykolwiek spomiędzy nas...

nikt więc nie może zaprzeczyć, że komisja na samym wstępie zlekceważyła swe obowiązki, czy to przez nieuwagę, czy dla ważniejszych przyczyn, przedstawiając nam jako kandydata człowieka, który, jakkolwiek czyste są jego pobudki, zawiera o wiele mniej substancji odżywczych.

Przewodniczący:

– Niech p. Rogers z Missouri zechce zająć miejsce. Przewodniczący nie może zezwolić na podawanie w wątpliwość rzetelności komisji w toku obrad. To sprzeciwia się regułom. Jaką drogę postępowania obiera Izba wobec wniosku p. Rogersa?

P. Holliday z Wirginii:

– Ja proponuję dalsze poprawki, a mianowicie, zastąpienie p. Messicka przez pana Harweya Davisa z Oregonu. Można by mi zarzucić, że trudy i niebezpieczeństwa życia w prowincji nadgranicznej uczyniły p. Davisa zbyt twardym, ale, panowie, czyż to jest chwila, aby wyrzekać na twardość? Czyż to pora stosowna do zastanawiania się nad drobnostkami, sprawami podrzędnego znaczenia? Nie, panowie, ciało jest właśnie takie, jakiego nam potrzeba: rozmiary, waga, solidność budowy. Oto są dla nas najważniejsze kwalifikacje... nie zaś zdolności, talenty lub wykształcenie. Obstaję przy moim wniosku.

P. Morgan (podniecony):

– Panie przewodniczący, ja stanowczo sprzeciwiam się temu wnioskowi. P. Davis z Oregonu jest w podeszłym wieku, przy tym tęgość jego polega głównie na rozrośnięciu się kości, nie zaś mięśni. Pytam p. Hollidaya, czy my potrzebujemy zupy, czy pokarmu stałego? Czy każe nam zadowolić się cieniem? Czy chce się naigrawać z naszych cierpień proponując nam tego oregońskiego upiora? Pytam się pana Hollidaya, czy jest w stanie spojrzeć w nasze wynędzniałe twarze, spotkać się z wejrzeniem naszych tęsknych oczu, czy może słuchać niespokojnego tętna naszych serc wzburzonych oczekiwaniami i narzucać nam takie oszukaństwo? Pytam go, czy może pomyśleć o naszym rozpaczliwym stanie, o minionych strapieniach, o ciemnej przyszłości, jaka nas czeka, i potem narzucać nam i tę ruinę, tego chwiejącego się starca, tego wyschłego, wybladłego i skurczonego przybędę z niegościnnych wybrzeży Oregonu? Nigdy! Przenigdy! (Oklaski.)

Propozycja zamiany została poddana głosowaniu i po gorącej dyskusji upadła. W myśl uprzedniego wniosku postawiono kandydatkę p. Harrisa. Potem nastąpiło tajne głosowanie. Pięciokrotnie głosy były rozstrzelone. Za szóstym razem p. Harris został wybrany wszystkimi głosami prócz własnego. Wówczas postanowiono doprowadzić do potwierdzenia jego wyboru przez aklamację, co się zresztą nie powiodło, gdyż znowu głosował przeciw sobie.

P. Radway zaproponował, żeby Izba zebrała pozostałych kandydatów i przystąpiła do wyborów na śniadanie. Życzeniu jego stało się zadość.

W pierwszym głosowaniu nastąpiło zamieszanie, bowiem połowa członków głosowała za jednym kandydatem ze względu na jego młodość, połowa zaś wolała drugiego ze względu na jego tuszę. Prezes dał rozstrzygający głos za drugim, którym był p. Messick z Colorado. To postanowienie wywołało żywe niezadowolenie w obozie przyjaciół zwyciężonego kandydata, p. Fergusona, i była nawet mowa o tym, aby zażądać powtórnego balotowania; w czasie tego jednak wystąpiono z wnioskiem o odroczenie zebrania i zostało ono natychmiast zamknięte.

Przygotowania do kolacji odwróciły na jakiś czas uwagę stronnictwa p. Fergusona od doznanych niepowodzeń, gdy zaś mieli zebrać się na nowo, wszelką myśl o tym udaremniła wiadomość, iż p. Harris jest już gotowy.

Zaimprovizowaliśmy stoły podnosząc do góry oparcia od siedzeń i z sercami przepełnionymi wdzięcznością zasiedliśmy do najwspanialszej kolacji, jaką można było wymarzyć przez siedem dni męczarni głodowych. O, jakże inaczej wyglądaliśmy teraz niż przed kilku godzinami! Przedtem – beznadziejna nędza, głód, rozpacz i gorączkowy niepokój, teraz – pogoda, dziękczynienie i radość niedająca się wprost wyrazić. To była chyba najmiłsza godzina mego życia, tak obfitego w zdarzenia. Wicher wył i jęczał miotając tumany

śniegu dookoła naszego więzienia, ale nie był już w stanie doprowadzić nas do rozpaczki. Harris smakował mi. Mógł być co prawda lepiej przyrządzony, wszelako muszę przyznać, że nigdy żaden człowiek nie przypadł mi bardziej do gustu i nikt nie sprawił mi tyle przyjemności co Harris. Messick był bardzo smaczny, choć może nieco za wiele miał aromatu, ale jeśli chodzi o pożywność i delikatność włókien, dawajcie Harrisa! W Messicku były doskonałe miejsca – nie przeczę i nie mam bynajmniej zamiaru przeczyć – ale nadawał się na śniadanie jak mumia egipska; tak, panie, chudy, ach, mój Boże, chudy i twardy, bardzo twardy. Trudno sobie wyobrazić coś równie twardego.

– Czy pan przez to chce powiedzieć...

– Bądź pan łaskaw nie przerywać mi.

Po śniadaniu wybraliśmy na kolację pewnego pana z Detroit, nazwiskiem Walker. Bardzo był smakowity, pisałem to później jego żonie. Nigdy nie zapomnę Walkera. Był nieco rzadki, ale smaczny. Nazajutrz z rana dostaliśmy Morgana z Alabamy. To był najwyborniejszy człowiek, jakiego w życiu kosztowałem: przystojny, dystyngowany, wykształcony, władał paroma językami, przy tym prawdziwy dżentelmen w obęściu, tak, zupełny dżentelmen... i – ogromnie soczysty. Na kolację mieliśmy tego patriarchę z Oregonu; no, na tym nas oszukali: stary, twardy, wyschnięty, trudno opisać do czego był podobny! Nie mogąc już wytrzymać powiedziałem:

– Panowie, róbcie, jak chcecie, ale co do mnie, wolę zaczekać do następnych wyborów.

Grimes z Illinois powiedział:

– Panowie, ja również wolę zaczekać. Gdy panowie wybieriecie człowieka, który będzie w stanie usprawiedliwić wasz wybór, wówczas się do was przyłączę.

Wkrótce się okazało, że Davis z Oregonu wywołał powszechne niezadowolenie, by więc zachować pogodę umysłów, która panowała od chwili, kiedy dostaliśmy Harrisa, ponowiono wybory, wskutek czego głosy padły na Bakera z Georgii. Ten był wyśmienity! No, potem mieliśmy Dolittle'a i Hawkinsa, potem McElwaya (trochę się skarżono na McElwaya, bo był niepospolicie drobny i szczupły), potem Penroda, obu Smithów, Bailey'a (Bailey miał drewnianą nogę, oczywista strata, ale poza tym był dobry), dalej indiańskiego malca, organistę i niejakiego Buckminstera; to był jakaś biedak, zupełnie nienadający się do towarzystwa ani też na śniadanie. Szczęściem jego wybór przypadł już na okres przed samym nadejściem pomocy.

– Ach, więc pomoc wreszcie nadeszła?

– Tak, nadeszła pewnego ślicznego poranka zaraz po wyborach. Kandydatem był John Murphy i ręczę, że byłby doskonały; ale Murphy wrócił z nami do domu w przysłanym nam na ratunek pociągu i ożenił się z panią Harris, wdową...

– Z wdową po...

– Po pierwszym naszym kandydacie. Ożenił się z nią, bardzo jest szczęśliwy, ogólnie szanowany i dobrze mu się powodzi. Ach, panie, to było zupełnie jak w powieści!... Ale otóż i moja stacja, muszę pana pożegnać. Jeśli pan kiedyś znajdzie parę dni wolnego czasu, miło mi będzie widzieć pana u siebie. Pan mi się bardzo podoba. Poczuję do pana prawdziwą sympatię. Mógłbym pana polubić na równi z Harrisem. Żegnam pana i życzę szczęśliwej podróży.

Odszedł. Nigdy w życiu nie byłem tak oszołomiony, zdumiony i przerażony jak wtedy! I z głębi duszy cieszyłem się, że go już nie ma. Mimo całej łagodności jego obejścia i miłego brzmienia głosu, drżałem, ilekroć spojrzał na mnie swym zgłodniałym wzrokiem; gdy zaś usłyszałem, że potrafiłem zdobyć jego niebezpieczną sympatię i że w jego mniemaniu stoję na równi z nieboszczykiem Harrisem, serce we mnie po prostu zamarło.

Moje przerażenie nie da się opisać. Nie mogłem wątpić o prawdzie jego słów: niepodobna było zaprzeczyć opowiadaniu odznaczającemu się prawdziwością drobnych nawet szczegółów; ale okropność ich obezwładniła mnie wprowadzając okrutny zamęt do moich myśli. Spostrzegłem, że konduktor przygląda mi się, i spytałem:

– Kto to był ten pan, z którym rozmawiałem?

– Był on dawniej członkiem parlamentu i bardzo rozumnym człowiekiem. Ale kiedyś wraz z pociągiem ugrzązł w zaspach śnieżnych i mało co na śmierć się nie zagłodził. Zimno i głód tak go wyniszczyły, że rozchorował się potem i cierpiał na pomieszanie zmysłów przez parę miesięcy. Teraz jest już zdrow, ale ma monomanię i gdy raz wpadnie na swój temat, to nie przestanie dopóty, dopóki nie zje wszystkich pasażerów owego pociągu. Do tej chwili byłby już skończył z całym towarzystwem, gdyby nie to, że musiał wysiadać. Zna ich nazwiska jak pacierz, a kiedy opowie o zjedzeniu wszystkich po kolei, kończy zwykle w taki sposób:

Gdy nadeszła zwykła godzina wyborów na śniadanie i nie było żadnej opozycji, ja zostałem wybrany w sposób formalny, po czym, gdy nikt nie protestował, sam zgłosiłem rezygnację. Oto, w jaki sposób jestem tutaj.

Uczułem niezmierną ulgę dowiadując się, że wszystko, com słyszał, były to niewinne majaczenia wariata, nie zaś prawdziwe wspomnienia krwawego ludożercy.

DZIEJE WENUS Z KAPITOLU

Rozdział I

(Scena przedstawia pracownię rzeźbiarską w Rzymie.)

- Drogi George, jakże cię kocham!
- Wiem o tym, moja kochana Mary, lecz czemuż twój ojciec jest tak uparty?
- On nie ma złych intencji, kochanie, po prostu sztuka jest dlań szaleństwem, a prawdziwą wartość mają tylko towary kolonialne. Przypuszcza, że umarlibyśmy oboje z głodu.
- Do diabła z takimi zasadami! O, czemuż nie jestem raczej kupcem kolonialnym! Oplaca się to znacznie lepiej, niż być genialnie uzdolnionym rzeźbiarzem i głodować.
- Nie trać odwagi, drogi George. Jego uprzedzenia ku tobie znikną, skoro tylko te pięćdziesiąt tysięcy dolarów...
- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Czy wiesz, że nie zapłaciłem jeszcze komornego za ubiegły miesiąc?

Rozdział II

(Scena przedstawia wytworny apartament w Rzymie.)

- Ależ, drogi panie, nie sądzę, aby ta rozmowa miała sens. Nie mam nic przeciwko panu, ale nie mogę wydać mej córki za nędzarza; wiem, że oprócz miłości, sztuki i głodu nie może pan jej ofiarować niczego.
- Panie, jestem ubogi, to prawda. Ale czyż sława jest niczym? Wszak wielce szanowny Bellamy Foodle z Arkansas utrzymuje, że mój ostatni posąg przedstawiający Amerykę jest arcydziełem i że imię moje będzie kiedyś należało do najszlachetniejszych!
- Bzdura, mój panie! Cóż wie ten osioł z Arkansas o tych sprawach? Sława jest niczym, zaś cena rynkowa pańskich wytworów jest chwiejna. Całe pół roku męczy się pan nad towarem, za który otrzyma pan najwyżej sto dolarów. Nie, nie, mój panie, póki nie zobaczę pięćdziesięciu tysięcy dolarów, nie oddam panu ręki mojej córki; wyjdzie ona za mąż za młodego Simpera. Daję panu pół roku czasu dla zebrania tej sumy. Do widzenia!
- Biada mi! Jestem zgubiony!

Rozdział III

(Scena przedstawia pracownię artysty.)

- O, Johnie, przyjacielu z lat szkolnych, jestem najniezwyklejszym z ludzi!
- Bo jesteś niedołągą!

– Ze wszystkiego, co ukochałem, pozostała mi tylko ta nieszczęsna statua Ameryki, ale i ona nie okazuje mi żadnego współczucia; jej marmurowa postać jest tak cudna, a zarazem tak bezlitosna!

– Jesteś głupcem!

– Johnie!

– Bzdury i nic więcej. Mówiłeś przecież, że masz pół roku na zebranie tej sumy.

– Przestań szydzić, Johnie, widząc mnie w takiej rozpacz! Gdybym miał nawet sześć wieków czasu, czy mogłoby mnie to uratować? Czy mogę coś zdziałać? Bez imienia, kapitału i przyjaciół?

– Idioto! Tchórz! Niedorajdo! Sześć miesięcy to aż za dużo – pięć miesięcy wystarczy nam w zupełności.

– Oszalałeś?

– Pół roku to kawał czasu. Pozwól mi działać, a ja podejmuję się wszystko załatwić.

– Nie rozumiem cię, Johnie. Jakim sposobem możesz zdobyć dla mnie taką sumę?

– Pozwól, że będzie to od tej chwili moją sprawą. Ty nie wtrącaj się do niczego. Czy pozostawiasz mi zupełną swobodę?

– Przysięgam, że tak.

John ujął młotek i pozbawił „Amerykę” nosa. Po chwili uderzył po raz drugi i dwa palce posągu upadły na podłogę. Trzecie uderzenie pozbawiło „Amerykę” połowy ucha, następne – większej części palców u jednej z nóg oraz drugiej nogi do kolana.

Skończywszy to dzieło zniszczenia John nałożył kapelusz i wyszedł. George przyglądał się w osłupieniu żalonym szczątkom swego posągu, który przypominał teraz swym wyglądem najgorszą zmore, po czym padł zemdłony na ziemię.

Po chwili powrócił John, wsadził swego przyjaciela wraz z posągiem do dorożki i gwiżdżąc ostatni przebój wyruszył w drogę.

Zostawił przyjaciela w swoim mieszkaniu, a sam zniknął wraz z posągiem na via Quirinalis.

Rozdział IV

(Scena przedstawia pracownię artysty.)

Oto dziś o drugiej po południu upływa pół roku od mej rozmowy z tym ohydny kupcem kolonialnym. Życie moje jest złamane. Wolałbym nie żyć. Nie jadłem wczoraj kolacji, a dziś rano śniadania. Nie śmiem już pokazać się w żadnej restauracji. Czy jestem głodny? Nie mówmy lepiej o tym. Szewc męczy mnie nieustannie, krawiec nie daje mi chwili spokoju, gospodarz napastuje bez przerwy. Jakże jestem nieszczęśliwy! Johna nie widziałem od chwili naszego rozstania. Ona zawsze czule się do mnie uśmiecha, ilekroć spotkamy się na ulicy, lecz ojciec zabrania jej patrzeć w moją stronę... Któż tam u licha dobija się do drzwi? Któż mnie znów nachodzi? Pewnie ten łotr, szewc. *Proszę wejść!*

– Oby błogosławieństwo Boże towarzyszyło zawsze wielmożnemu panu. Oby niebo zsyłało na niego promienie swej łaski. Przyniosłem oto jego ekscelencji buty, lecz błagam, niech wasza wysokość nie wspomina o zapłacie. To naprawdę nic pilnego. Będę dumny, jeśli jego lordowska mość zaszczycać mnie będzie nadal swymi zamówieniami. Adieu!

Sam przynosi mi buty? Wychodzi nie żądając zapłaty i żegna mnie ukłonem według dworskiej etykiety! Cóż to się dzieje, na Boga? *Proszę wejść!*

– Przepraszam, signor, ale przyniosłem panu nowy garnitur...

– *Proszę wejść!*

– Po tysiącokroć przepraszam jaśnie wielmożnego pana, lecz właśnie wynająłem prześliczne mieszkanie. Nie godzi się bowiem, aby w tak nędznej izbie mój łaskawca...

- Proszę wejść!
- Ośmielam się zabrać szanownemu panu chwilę czasu, aby oświadczyć panu, iż kredyt, który uległ ostatnio przez omyłkę zawieszeniu, nadal obowiązuje w całej pełni i że będziemy z naszej strony czuć się prawdziwie szczęśliwi i zobowiązani, jeśli czcigodny pan zechce nadal zaszczycać...
- Proszę wejść!
- Szlachetny młodzieńcze, ona jest twoją! Za chwilę tu przyjdzie. Weź ją, pobierzcie się i bądźcie szczęśliwi! Niech was Bóg błogosławi! Hip, hip, hura...
- Proszę wejść!
- George, mój jedyny i ukochany! Jesteśmy uratowani!
- Mary, najdroższe moje kochanie. Jesteśmy uratowani, ale przysięgam ci, że nic, a nic nie rozumiem.

Rozdział V

(Scena przedstawia rzymską kawiarnię.)

Jeden z grupy Amerykanów czyta na głos i tłumaczy artykuł z dziennika „Il Slangwhanger di Roma”:

CUDOWNE ODKRYCIE!

Przed sześcioma miesiącami signor John Smitthe, Amerykanin, zamieszkały od roku w Rzymie, zakupił w Kampanii maleńki kawałek ziemi, położony w pobliżu pomnika rodziny Scypionów, a należący ostatnio do zrujnowanego krewnego rodziny księżnej Borghese. Pan Smitthe udał się następnie do odnośnego urzędu, gdzie oświadczył, iż nabyty kawałek ziemi przekazał na własność pewnemu biednemu artyście amerykańskiemu, nazwiskiem George Arnold; pan Smitthe stwierdził, iż pragnie w ten sposób wynagrodzić panu Arnoldowi straty pieniężne, jakie tenże poniósł z jego winy, w czasie kiedy pan Smitthe był przed laty właścicielem małego majątku; wreszcie zeznał, iż celem zupełnego powetowania panu Arnoldowi powyższych strat pragnie rzeczony kawałek ziemi uprawiać własnym kosztem. Przed czterema tygodniami, w czasie dokonywania na owym gruncie niezbędnych wykopów, signor Smitthe znalazł niezwykłą starożytną statwę, należącą niegdyś do największych skarbów sztuki rzymskiej. Była to wspaniała postać kobieca, która wzbudzała mimo powlekającej ją patyny wieków niekłamany podziw i zachwyt. Brakowało jej wprawdzie nosa, lewej nogi do kolana, ucha, kilku palców u prawej nogi oraz u rąk, reszta jednak zachowała się w jak najlepszym stanie. Rząd nasz zgodnie z prawem objął w posiadanie statwę oraz wyznaczył komisję złożoną ze znawców sztuki, celem zbadania wartości wykopaliska oraz oszacowania ceny, jaką należy za nie wypłacić właścicielowi gruntu. Wydarzenie to okryte było aż do dnia wczorajszego najściślejszą tajemnicą. Komisja obradowała przy drzwiach zamkniętych. Wczoraj wieczorem orzeczono jednogłośnie, iż statua ta przedstawia Wenus dłuta genialnego, acz nieznanego mistrza z III wieku przed Chr. Komisja uznaje nadto statwę za jedno z najświetniejszych dzieł sztuki, jakie świat kiedykolwiek oglądał.

Około północy odbyto ostatnie posiedzenie i uradzono, iż Wenus przedstawia wartość 10 milionów franków. Ponieważ jednak według prawa i obyczaju rzymskiego właścicielem zabytków sztuki wykopanych w Kampanii staje się w połowie rząd, z prawem odkupu pozostałej połowy od właściciela, zatem p. Arnoldowi należy się suma 5 milionów franków. Dziś z rana Wenus przeniesiona zostanie do Kapitolu, w południe zaś komisja wręczy signorowi Arnoldowi przekaz pieniężny na sumę 5 milionów franków w złocie.

Chór głosów: Cóż za szczęście! Szczęście całkiem niespotykane.

Głos: Panowie, wnoszę projekt, aby założyć natychmiast amerykańskie towarzystwo akcyjne dla skupu terenów, na których dokonywano poszukiwań archeologicznych; towarzystwo to miałyby odpowiednie stosunki na Wall Street, aby sztucznie podwyższać i obniżać kurs akcji.

Wszyscy: Załatwione.

Rozdział VI

(Scena przedstawia Kapitol w 10 lat później.)

– Kochana Mary, oto jest najslawniejszy posąg świata, zwany powszechnie Wenus Kapitolińską. Słyszałaś na pewno wiele o tym posagu. Stoi on przed tobą wraz z wszystkimi brakami i uszkodzeniami, które uzupełniali, a raczej łatali najslawniejsi rzeźbiarze rzymscy; imiona ich przejdą choćby już z tej racji do historii. Jakże dziwne wydaje mi się to miejsce! Ileż mnie pracy kosztowało, zanim Rzym stał się właścicielem tego najwspanialszego dzieła sztuki na świecie!

– A swoją drogą, jakże wysoko oceniono wtedy tę statwę. Pomyśl – 10 milionów franków.

– Tak, taka jest jej wartość obecna.

– Jednakże przyznasz, mój drogi George, że jest przepiękna.

– Prawda, ale była jeszcze piękniejsza, zanim drogi John nie utracił jej nosa. Przemysłny, genialny i szlachetny John! On to zbudował nasze szczęście. Ale, ale! Czy słyszysz, jak ten mały kaszle? Obawiam się, że ma koklusz. Kiedyż ty wreszcie nauczysz się uważać na dzieci!

Zakończenie

Wenus znajduje się po dziś dzień na Kapitolu i jest najbardziej zachwycającym zabytkiem starożytności na świecie. Gdybyście jednak mieli kiedykolwiek stanąć przed jej obliczem i wpaść w zachwyt, nie zapominajcie o jej prawdziwym pochodzeniu; gdybyście zaś wyczytali o jakimś skamieniałym olbrzymie wykopanym w Syrakuzach (stan New York) lub w innej jakiejś miejscowości, nie ekscytujcie się tym zbyt; i jeśli ktoś zaofiarowałby wam podobne wykopalisko za niewielką nawet sumę, nie kupujcież, na Boga! Poślijcie tego człowieka bezpośrednio do Rzymu!

CZŁOWIEK, KTÓRY ZDEMORALIZOWAŁ HADLEYBURG

I

Było to przed wielu laty.

Hadleyburg słynął w całej okolicy jako najuczciwsze i najrzetelniejsze miasteczko na świecie. Reputacją swoją cieszył się już od trzech pokoleń i był z tego bardziej dumny niż z czegokolwiek innego, co posiadał. Duma jego była tak wielka i tak dalece zależało mu na zachowaniu swej reputacji, że dzieci w kołyskach uczono uczciwego postępowania. Nauki moralne były stopniami, po których prowadzono dziecko w latach przeznaczonych na wychowanie, aby wyrosło na nieskazitelną jednostkę. W okresie kształtowania się charakteru z drogi młodych ludzi usuwano wszelkie pokusy, byleby tylko uczciwość mogła zakorzenić się w ich sercach i przeniknąć do szpiku kości.

Sąsiednie miasteczka zazdrościły Hadleyburgowi tej zaszczytnej sławy i udawały, że drwią sobie z dumy jego mieszkańców nazywając ją próżnością. A jednak musiano uznać, że Hadleyburg jest w istocie miastem nieskazitelnym. Zazdrościcy przyciśnięci do muru nie mogliby zaprzeczyć, że samo pochodzenie z Hadleyburga starczy już za najlepszą rekomendację dla młodego człowieka poszukującego odpowiedniego stanowiska z dala od rodzinnego miasta.

Zdarzyło się jednak kiedyś, że Hadleyburg miał nieszczęście obrazić pewnego przejezdnego cudzoziemca. Zrobił to, być może, nieświadomie, nawet niechcący, ponieważ, jak wiadomo, sam sobie wystarczał i nie dbał ani trochę o cudzoziemców i ich opinię.

Co prawda, w tym jednym wypadku warto było zrobić wyjątek, bo w grę wchodził człowiek zgorzkniały i chciwy, który podczas swej dalszej całorocznej wędrówki zachował obrazę w pamięci, poświęcił wszystkie wolne chwile na obmyślanie zemsty i zapewnienie sobie należytej satysfakcji.

Każdy obmyślony przez niego plan był dobry, ale żaden nie był dość miażdżący. Najłagodniejszy nawet dotknąłby do żywego wielu mieszkańców Hadleyburga, ale jemu chodziło o taki plan, który objąłby całe miasto i nie oszczędził w nim nikogo.

W końcu błysnęła mu szczęśliwa myśl i napelniła go złośliwą radością. Ukuł natychmiast cały plan i powiedział sam do siebie: Oto co trzeba zrobić! Zdemoralizuję całe miasto.

Po sześciu miesiącach wrócił do Hadleyburga i o godzinie dziesiątej wieczór zajeżdżał w lekkim powoziku do starego kasjera banku. Wyjął z powozu worek, zarzucił go sobie z trudem na plecy, przeszedł tak przez podwórze i zastukał do drzwi. Głos kobiecy odpowiedział „proszę”; wszedł więc do mieszkania, złożył worek w salonie za piecem i w te słowa przemówił do starszej damy, która siedząc przy lampie czytała „Misjonarza”:

– Proszę, niech pani nie wstaje. Nie chcę pani przeszkadzać. O tak, teraz jest dobrze ukryty, nikt nie poznałby, że znajduje się tutaj. Czy mogę na chwilę zobaczyć się z mężem pani?

– Nie. Wyjechał do Brixton – odpowiedziała – i zapewne nie wróci przed ranem.

– Bardzo pięknie, proszę pani, to nic nie szkodzi; chciałem tylko zostawić ten worek pod jego opieką, aż do chwili gdy będzie mógł go wręczyć prawowitemu właścicielowi, skoro ten się odnajdzie. Jestem cudzoziemcem. Mąż pani mnie nie zna. Przejeżdżam przez to miasteczko jedynie po to, aby wypełnić obowiązek, który od dawna leży mi na sumieniu. Ale wędrówka moja dobiegła oto końca i odjeżdżam stąd zadowolony, a nawet trochę dumny. Nie ujrzyście mnie więcej. Do worka przyczepiony jest list, który wam wszystko wyjaśni. Dobranoc pani!

Starsza pani przestraszyła się tajemniczego, wysokiego przybysza i rada była, gdy odszedł. Ale obudziła się w niej ciekawość, podeszła więc do worka, oderwała list i przeczytała, co następuje:

„Ogłosić publicznie albo czynić poszukiwania w drodze prywatnej. Zarówno jedno, jak i drugie odpowiada mi. Worek ten zawiera dolary w złocie wagi stu sześćdziesięciu funtów i czterech łutów.”

– Panie, zmiłuj się nad nami! I drzwi niezamknięte!

Pani Richards drżąc na całym ciele pobiegła do drzwi, aby zamknąć je na klucz. Potem spuściła żaluzje i stanęła przerażona, stroskana, zastanawiając się nad tym, co by można było jeszcze zrobić, aby zapewnić bezpieczeństwo sobie i – pieniądзом. Przez chwilę nasłuchiwała, czy nie nadchodzą złodzieje. Potem zmoęła ją ciekawość. Wróciła do lampy i czytała dalszy ciąg listu:

„Jestem cudzoziemcem, wracam teraz do mego kraju, aby w nim pozostać na zawsze. Wdzięczny jestem Ameryce za wszystko, co od niej otrzymałem podczas mego długiego pobytu pod jej sztandarem. Jednemu zaś z jej obywateli, mieszkańcowi Hadleyburga, szczególnie wdzięczny jestem za uprzejmość, jakiej doznałem przed rokiem czy dwoma. Właściwie za dwie uprzejmości. Zaraz to wyjaśnię. Byłem zawodowym graczem. Mówię: byłem. Należałem do graczy zrujnowanych. Przyszedłem do tego miasteczka w nocy, bez grosza w kieszeni. Prosiłem o wsparcie – po ciemku, bo wstydziłem się zebrać w dzień. Trafiałem na dobrego człowieka. Dał mi dwadzieścia dolarów, czyli w moim mniemaniu dał mi życie. Dał mi także majątek, bo dzięki tym pieniądżom stałem się potęgą przy stole gry. A po drugie, słowa, które wypowiedział wtedy, pozostały w mej pamięci do dzisiejszego dnia. Słowa te podbiły mnie, zwyciężyły i uratowały w ten sposób resztki mej moralności. Nie będę grał już nigdy. I oto nie mam pojęcia, kim był ten człowiek, ale chcę, aby go odnaleziono, i chcę, aby mu oddano te pieniądze. Niech je podaruje komuś albo wyrzuci, albo zatrzyma sobie wedle własnej woli. Idzie mi tylko o to, aby wyrazić wdzięczność, którą żywię dla niego. Gdybym mógł tu pozostać, odnalazłbym go sam. Ale to wszystko jedno, odnajdę go i tak. Miasto jest uczciwe, nieskazitelne i wiem, że bez obawy mogę mu zaufać. Ustalcie tożsamość tego człowieka na podstawie słów, które wówczas wypowiedział. Jestem przekonany, że je zapamiętał.

A oto mój projekt: jeżeli wolicie wysledzić go drogą prywatną, uczynicie to. Napiszcie do wszystkich, kogo można brać pod uwagę, powiadomcie ich o zawartości niniejszego podarunku. Jeżeli zgłosi się ktoś i powie: «Ja jestem tym człowiekiem, słowa, które wypowiedziałem, były takie a takie», przekonajcie się, czy mówi prawdę. W tym celu otwórzcie worek. Znajdziecie w nim zapieczętowaną kopertę zawierającą te słowa. Jeżeli zdanie podane przez kandydata będzie zgodne z zawartością koperty, oddajcie mu pieniądze bez dalszych pytań, on to bowiem jest poszukiwanym przeze mnie człowiekiem.

Gdybyście woleli prowadzić poszukiwania publicznie, to ogłoście list niniejszy w miejscowej gazecie i zaopatrzcie go w następujące wskazówki: w piątek, od dziś za dni trzydzieści, niechaj kandydat stawi się w sali ratuszowej o ósmej wieczorem i wręczy kartkę z treścią wypowiedzianych ongiś słów w zapieczętowanej kopercie wielmożnemu panu Burgessowi (jeśli łaskawie zgodzi się na to). Tamże i w tym samym czasie niechaj pan Burgess zdejmie pieczęcie z worka, otworzy go i sprawdzi, czy treść kartki kandydata zgadza

się z napisem znajdującym się w worku w zapieczętowanej kopercie. Jeżeli tak, niechaj wręczy memu dobroczyńcy pieniądze wraz z wyrazami serdecznej wdzięczności. Tożsamość jego nie będzie ulegała wątpliwości.”

Pani Richards usiadła drżąc lekko ze wzruszenia i szybko pogrążyła się w myślach w rodzaju: „Co za dziwna historia!” i „Kto biednemu chleba nie żałuje, ten nigdy na tym nie traci”.

Ach, gdyby to był mój mąż! – myślała – bo jesteśmy tak starzy i biedni, tak biedni!... Ale – ciągnęła z westchnieniem – to nie był mój Edward. Nie, to nie on dał biednemu dwadzieścia dolarów. A wielka szkoda. Teraz to widzę!

A potem z dreszczem:

Ale to są pieniądze szulera! Zdobyte za cenę grzechu! I tak nie mogliśmy ich tknąć. Wolę trzymać się od nich z dala, są nieczyste.

Przeniosła się na krzesło stojące opodal.

Chciałabym, żeby Edward już przyszedł i odniósł je do banku. W każdej chwili może wejść złodziej. To straszne, że jestem tu sama z tymi pieniędzmi.

O jedenastej przyszedł pan Richards. W chwili gdy żona jego mówiła:

– Ach, jakże rada jestem, żeś przyszedł! – on zwrócił się do niej w te słowa:

– Bardzo jestem zmęczony; po prostu gonię resztkami sił. Jakież to straszne, że jestem biedny i że w moim wieku muszę jeszcze odbywać te przekłete podróże! Wiecznie orać, orać w służbie u innych, być niewolnikiem, podczas gdy oni siedzą sobie wygodnie w domu, otoczeni bogactwem...

– Żałuję cię z całego serca, Edwardzie. Wiesz o tym. Ale pociesz się, mamy nasze dobre imię.

– Tak, Mary. I to wystarcza. Nie zwracaj uwagi na to, co mówiłem. Było to chwilowe rozdrażnienie bez żadnego znaczenia. Pocałuj mnie, o, tu. Już wszystko przeszło. Już nie będę się skarżył. Cóżże ty dostała? Co jest w tym worku?

Żona powiadomiła go o wielkim sekrecie. Na chwilę zdumienie odjęło mu mowę. Potem rzekł:

– Więc waży sto sześćdziesiąt funtów? Czy wiesz, Mary, że to jest czterdzieści tysięcy dolarów? Ależ to majątek! W całym mieście nie ma dziesięciu ludzi, którzy posiadaliby tyle pieniędzy! Daj mi ten list!

Szybko przebiegł go wzrokiem.

– A to dopiero wypadek! Czysty romans. Jeden z tych, o których piszą w książkach, a które w życiu nigdy się nie zdarzają.

Był głęboko wzruszony, uradowany, promieniejący. Poklepał swą żonę po twarzy i powiedział żartobliwie:

– Cóż, Mary, jesteśmy bogaci, nie ma co! Wystarczy zakopać pieniądze i spalić list. A jeżeli szuler wróci i zapyta nas o nie, odpowiemy mu: „Mój panie, co nam pan tu za brednie opowiada? Nigdy w życiu nie słyszeliśmy ani o panu, ani o pana worku.” – Wtedy spojrzysz na nas jak głupi...

– Ty sobie żartujesz, a tymczasem pieniądze są jeszcze tutaj. Noc zapada i mogą się zakraść złodzieje.

– Racja, ale co dalej? Co mamy robić? Czy przeprowadzić poszukiwania drogą prywatną? Nie, nie trzeba! To popsułoby cały romans. Lepiej podać do ogólnej wiadomości. Pomyśl, jaka wrzawa się podniesie! Zazdrościć nam będą wszystkie okoliczne miasta! Bo wiedzą, że żaden cudzoziemiec nie zaufałby im w podobnej sprawie. Tylko Hadleyburgowi! Dla nas to wielka wygrana. Już leć do drukarni, inaczej będzie za późno!

– Zaczekaj chwilkę. Nie zostawiaj mnie samej z tym workiem. Edwardzie!

Ale już go nie było. Nie na długo jednakże. W pobliżu domu spotkał redaktora i właściciela gazety. Wręczył mu dokument mówiąc:

- Tu jest coś dla ciebie, postaraj się to zamieścić.
- Może już będzie za późno, Richards, ale zobaczę.

Richards i żona jego nie mieli ochoty spać; do późnej nocy siedzieli przy stole i rozmawiali o fascynującej tajemnicy. Przede wszystkim nasuwało się pytanie, kim był ów obywatel, który dał nieznanemu dwadzieścia dolarów. Odpowiedź była prosta: oboje wypowiedzieli ją jednocześnie.

– Barclay Goodson!

– Tak – dodał Richards – tylko on mógł to zrobić. To jest w jego duchu. Nikt inny w całym mieście.

– I każdy, przynajmniej po cichu, musi to przyznać. A oto od sześciu miesięcy miasteczko odzyskało swój właściwy charakter. Jest uczciwe, ciasne, samowolne i skąpe.

– Jest takie, za jakie on je uważał aż do dnia swojej śmierci. A nie krył się ze swoim zdaniem, wypowiadał je publicznie.

– Dlatego go nienawidzili.

– Tak, ale nie dbał o to. Zdaje mi się, że był najrzetelniej znienawidzonym człowiekiem w mieście, z wyjątkiem pastora Burgessa.

– No tak. Ale Burgess zasłużył na to. I nigdy już nie dostanie u nas parafii. Żeby nie wiem jak podłe było nasze miasteczko, to jednak wie jeszcze, jak ocenić t a k i e g o . Czy nie wydaje ci się dziwne, Edwardzie, że cudzoziemiec powierzył pieniądze Burgessowi?

– T-tak, wydaje mi się... To jest właściwie...

– Co za właściwie? Czy t y wybrałbyś go?

– Mary, być może, że nieznajomy zna go lepiej niż nasze miasteczko.

– Tym gorzej dla Burgessa!

Mąż wydawał się zmieszany i zwlekał z odpowiedzią; żona przyglądała mu się bacznie.

Wreszcie Richards odpowiedział z wahaniem, jak ktoś przygotowany na to, że nikt mu nie uwierzy:

– Mary, Burgess nie jest złym człowiekiem.

Mary była więcej niż zdziwiona.

– Głupstwa gadasz! – zawołała.

– On nie jest złym człowiekiem. Wiem o tym. Przyczyną jego niepopularności była tylko jedna sprawa, która narobiła tyle hałasu.

– Rzeczywiście! Jedna sprawa! Jak gdyby nie dość było tej jednej sprawy!

– Dosyć, już dosyć. On wcale nie zawinił.

– Co ty pleciesz! On nie zawinił? Każdy wie, że był winien!

– Mary, daję ci moje słowo, że był niewinny.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę w to. Skąd wiesz?

– Wyznam ci wszystko. Wstydzę się, ale wyznam ci wszystko. Byłem jedynym człowiekiem, który wiedział o jego niewinności. Mogłem go uratować i... i... ach, wiesz przecież, jaki nastrój panował w mieście! Nie miałem odwagi tego zrobić. Wszyscy zwróciliby się przeciwko mnie. Czułem się podły, nikczemnie podły, a jednak nie śmiałem. Nie zdobyłem się na odwagę, aby stawić im czoło.

Mary, zmieszana, milczała przez chwilę. A potem jękając się powiedziała:

– I ja... też... też nie sądzę, żeś mógł to wtedy uczynić. Nie można... to... to opinia publiczna, trzeba być tak ostrożnym... tak...

Weszła na niebezpieczną drogę i – ugrzęzła.

Ale po chwili ciągnęła dalej:

– Wielka szkoda, że się tak stało. Ale cóż, Edwardzie, nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby... Naprawdę nie mogliśmy... Ach, za nic nie chciałabym, żebyś był to wówczas powiedział!

– Stracilibyśmy, Mary, życzliwość bardzo wielu ludzi, a wtedy, a wtedy...

– Teraz najbardziej martwi mnie to, co też on o nas myśli, Edwardzie.

– On... on nie podejrzewa, że mogłem go wtedy uratować.

– Ach – zawołała żona z westchnieniem ulgi – jakże się z tego cieszę! Skoro nie wie, że mogłeś go uratować, to on... on... to jest daleko lepiej. Zresztą mogłam się sama domyślić, że nie wie, ponieważ stara się zawsze być z nami w przyjaźni, chociaż bynajmniej nie zachęcamy go do tego. Niejednokrotnie ludzie szemrali na to w mojej obecności. A Wilsonowie, Wilcoxowie i Harknessowie, czy nie dla nędznej satysfakcji mówią do mnie: „Wasz przyjaciel Burgess”? Wiedzą, że mnie to doprowadza do wściekłości. Wołałabym, żeby się nie upierał przy tej swojej sympatii. Nie mogę zrozumieć, co ją właściwie wywołuje?

– Mogę ci to wyjaśnić. Będzie to drugie wyznanie. Gdy cała sprawa była jeszcze świeża i miasto postanowiło poddać go hańbiącej karze, sumienie tak mnie gryzło, że nie mogłem już wytrzymać. Poszedłem więc do niego w tajemnicy i uprzedziłem go o tym. Dzięki mnie wyjechał z miasta i powrócił dopiero wtedy, gdy niebezpieczeństwo już minęło.

– Edwardzie! Gdyby miasto to wykryło...

– Przestań. Dotychczas cierpnę, gdy o tym pomyślę. Żałowałem swego postępuku, już w chwili gdy go spełniałem. Bałem się powiedzieć o tym nawet tobie, by twarz twoja nie zdradziła nas przed kimś. Owej nocy nie spałem wcale ze zmartwienia. Ale po kilku dniach przekonałem się, że nikt mnie nie podejrzewa. Wtedy poczułem zadowolenie z mego postępuku. I dotąd jestem z tego zadowolony, Mary. Zadowolony z całego serca.

– I ja także teraz. Straszne byłoby, gdyby się z nim rozprawiono. Tak, cieszę się z tego, bo rzeczywiście powinieneś był to zrobić, wiem o tym. Ale, Edwardzie, pomyśl tylko, gdyby to wyszło na jaw któregoś dnia!

– Nie wyjdzie.

– Dlaczego?

– Ponieważ wszyscy są przekonani, że to Goodson.

– Ach, oczywiście!

– Na pewno. I na pewno on nic sobie z tego nie robił. Przekonali biednego, starego Sawisberry, żeby do niego poszedł i zaniósł mu akt oskarżenia. Stary poszedł, piorunował – zrobił, co mu kazali. Goodson obejrzał go od stóp do głów, jak gdyby szukał na nim miejsca najbardziej godnego pogardy, a potem tak mu powiedział:

„Więc to ty jesteś przedstawicielem urzędu śledczego, czy tak?”

Sawisberry odpowiedział, że istotnie jest czymś w tym rodzaju.

„Hm, jak sądzisz, czy oni żądają szczegółów, czy też wystarczy im, że tak powiem, odpowiedź ogólna?”

„Jeżeli będą żądali szczegółów, to ja powrócę, panie Goodson, a tymczasem zaniosę odpowiedź ogólną.”

„Doskonale. Powiedz im więc, żeby poszli do diabła. Zdaje się, że ta odpowiedź jest dość ogólna. I jeszcze dam ci pewną radę, Sawlsberry. Jak będziesz wracał po szczegóły, weź ze sobą koszyk, żebyś miał w czym zabrać do domu to, co z ciebie zostanie.”

– W sam raz podobne do Goodsona. Można go po tym z łatwością poznać. Był zarozumiały pod jednym względem: wydawało mu się, że nikt nie potrafi tak dobrze radzić jak on.

– To rozstrzygnęło sprawę i zbawiło nas, Mary. Z czasem wszystko poszło w niepamięć.

– Mam nadzieję, że tak jest, mój kochany. Wcale nie chcę o tym wątpić.

I znów z zapalem podjęli rozmowę na temat worka ze złotem. Lecz po krótkim czasie w rozmowie zaczęły powstawać pauzy, ponieważ mówiący pogrążali się w głębokiej zadumie. Potem przerwy następowały coraz częściej. W końcu Richards zatopił się zupełnie we własnych myślach. Siedział tak dość długo, wpatrując się błędnie w podłogę, a potem zaczął podkreślać swoje myśli krótkimi, nerwowymi ruchami ręki, zdradzającymi rozdrażnienie.

Jednocześnie i żona jego wróciła do swych rozmyślań, a ruchy jej zdradzały również zakłopotanie.

Wreszcie Richards, nie mogąc już usiedzieć, wstał i zaczął bezradnie przemierzać pokój wielkimi krokami, zapuszczając ręce we włosy, jak człowiek, którego nagle obudzono ze snu. Ale w końcu doszedł widać do jakiegoś wniosku, bo bez słowa włożył kapelusz i wyszedł szybko z domu. Pani Richards nawet nie zauważyła, że została sama, i nie ruszyła się z krzesła. Twarz jej wyrażała najgłębsze zamyślenie. Od czasu do czasu szeptała:

– Nie wódź nas na po... ale... ale jesteśmy tak biedni, tak biedni!... Nie wódź nas na... Ach, któż by na tym ucierpiał? I nikt nigdy by się nie dowiedział... Nie wódź...

Głos jej przeszedł w ciche mruczenie. Po chwili podniosła oczy i szepnęła na wpół przerażona, a na wpół rada:

– Poszedł! Ale mógł się spóźnić. O rety, mógł się spóźnić... A może nie. Może przyszedł w porę.

Podniosła się z krzesła i stanęła w zamyśleniu, nerwowo zaciskając dłonie. Dreszcz wstrząsnął jej ciałem i w gardle jej zaschło. – Niech mi Pan Bóg przebaczy – wyrzekła z trudem. – Strach myśleć o takich rzeczach, ale, o Panie, jakież z nas stworzenia! Jakież dziwne stworzenia!

Przykręciła lampę i skradającym się krokiem podeszła do worka. Ukłękła przy nim wodząc rękami po wypukłościach i pieszcząc je w upojeniu. W biednych, starych jej oczach palił się ogień. Traciła przytomność i odzyskiwała ją, aby szeptać:

– Gdybyśmy byli zaczekali! Ach, gdybyśmy byli zaczekali! Choć chwileczkę!

O tej samej godzinie pan Cox szedł do domu, aby powiedzieć żonie o dziwnym zdarzeniu, jakie spotkało państwa Richards. Wnet zabrali się z zapalem do omawiania całej sprawy. Zgodzili się na to, że jedynym człowiekiem w mieście, który mógł poratować nieszczęśliwego cudzoziemca tak olbrzymią sumą jak dwadzieścia dolarów, mógł być Goodson. Na tym rozmowa się urwała i oboje pogrążyli się w milczeniu. Pani Cox zaczęła wreszcie tak mówić sama do siebie:

– Nikt nie zna tajemnicy prócz Richardsów... i nas... Nikt!

Mąż ocknął się z zamyślenia, drgnął i spojrzał na żonę. Porozumieli się w tym spojrzeniu. Pani Cox zbladła, a on po chwili wahania wstał i rzucił okiem na żonę i na kapelusz z wyrazem niemego zapytania. Pani Cox przełknęła ślinę raz i drugi, podniosła nawet ręce do gardła, lecz w odpowiedzi kiwnęła głową. Po sekundzie była już sama i mruczała coś do siebie.

I oto zarówno Richards, jak i Cox pędzili przez puste ulice z dwóch przeciwnych krańców Hadleyburga. Zziązani, spotkali się u wejścia na schody do drukarni. Przy świetle małej lampki starali się czytać sobie z oczu. Cox szepnął:

– Czy nikt prócz nas o tym nie wie?

Odpowiedziano mu szeptem:

– Ani żywa dusza! Na honor! Ani jedna żywa dusza!...

– Jeżeli nie jest za późno, aby...

Chcieli wejść na schody, ale zatrzymał ich jakiś chłopak. Cox zapytał:

– Czy to ty, John?

– Tak, psze-pana.

– Możesz nie rozsyłać rannego wydania ani w ogóle żadnego. Czekać, aż ci powiem... – Kiedy już rozesłałem, psze-pana.

– Rozesłałeś?

W słowie tym zabrzmiało bezgraniczne rozczarowanie.

– Tak, panie. Od dzisiaj zmieniony został rozkład jazdy dla Brixton i okolicznych miast. Musiałem, psze-pana, zanieść gazetę o dwadzieścia minut wcześniej niż zwykle. Trzeba się było śpieszyć. Gdybym przyszedł o dwie minuty później, to...

Obaj mężczyźni odwrócili się i odeszli nie czekając końca. Przez dziesięć minut nie powiedzieli do siebie ani słowa. Pierwszy przemówił Cox:

– Nie mogę zrozumieć, co pana tknęło, żeby tak pędzić do redakcji?

Odpowiedź brzmiała raczej pokornie:

– Teraz sam to widzę, ale nie spostrzegłem się jakoś. A później było już poniewczasie. Ale na przyszły raz...

– Niech diabli wezmą przyszły raz! Z tysiąc lat poczekamy !

Przyjaciele rozstali się bez pożegnania i skierowali się ku swym domom krokiem ludzi śmiertelnie chorych. Żony aż podskoczyły na ich widok i zapytały gwałtownie:

– No i co?

Gdy wyczytały odpowiedź w ich oczach, opadły z żalu na krzesła nie czekając na słowa. W obu domach odbyła się dyskusja z rodzaju „gorących”. Co prawda dawniej też bywały dyskusje, ale nigdy gorące, nigdy zbyt gwałtowne. Owej nocy jedna dyskusja była dosłownym powtórzeniem drugiej.

Oto co mówiła pani Richards:

– Żebyś był trochę zaczekał, Edwardzie! Żebyś się był zatrzymał, aby zastanowić się przez chwilę! Ale nie! Musiałeś popędzić prosto do drukarni i roznieść to po całym świecie...

– Tam było powiedziane: „Opublikować”...

– To nic. Powiedziane jest także: „Jeżeli wolicie, obierzcie drogę prywatną.” No, jest czy nie?

– Przecież nie mówię: nie. Tak, to prawda. Ale kiedy pomyślałem, co to będzie za poruszenie i jaki honor dla Hadleyburga, któremu cudzoziemiec zaufał...

– Ach, doskonale znam to wszystko. Ale gdybyś się zatrzymał przez chwilę, aby pomyśleć trochę, zobaczyłbyś, że nie możesz odnaleźć właściwego człowieka, ponieważ leży on w grobie, nie pozostawił po sobie ani żony, ani dzieci, ani żadnych krewnych. Gdyby zaś pieniądze dostały się komuś, komu są ogromnie potrzebne, a przy tym nikt nie byłby przez to pokrzywdzony, to...

Urwała i zaniósła się płaczem. Richards próbował wymyślić coś pocieszającego. Wreszcie odezwał się:

– Mary, miałem przecież jak najlepsze intencje. Musiałem tak zrobić – wiemy o tym dobrze. Musimy przy tym pamiętać, że tak nam polecono zrobić.

– Polecono? Zawsze znajdzie się polecenie, kiedy człowiek zrobił głupstwo i stara się wykręcić. Zupełnie tak samo polecono, aby pieniądze dostały się do nas w tak szczególny sposób, a na ciebie spada odpowiedzialność za to, żeś pomylił wyroki Opatrzności. A kto ci dał prawo? Popelniłeś nikkczemność, ot co! Świętokradcza samowola, która nie bardzo przystoi łagodnemu, pokornemu człowiekowi.

– Ależ, wiesz przecież, że zarówno nas, Mary, jak i całe miasteczko uczono od wczesnego dzieciństwa, że nie należy zastanawiać się ani chwili przed spełnieniem rzeczy uczciwej. Teraz postępowanie takie jest dla nas drugą naturą.

– Ach, wiem, wiem o tym. Znam to wieczne ćwiczenie się i jeszcze raz ćwiczenie się w uczciwości. Uczciwość od kołyski chroniona przed pokusami, uczciwość miękka, słaba, która się nie umie oprzeć pokusom. Przekonaliśmy się o tym dzisiejszej nocy. Bóg widzi, że nigdy dotąd nie miałam nawet najłżejszego cienia wątpliwości co do mej niezłomnej, skamieniałej uczciwości, a teraz, teraz pod wpływem prawdziwej, wielkiej pokusy... Ach, Edwardzie, jestem pewna, że uczciwość całego miasta jest równie krucha jak moja, równie krucha jak twoja. Całe miasteczko jest małe, zaskorupiałe, ograniczone i pozbawione wszelkich zalet prócz tej osławionej uczciwości, którą się tak chełpi. Ale wierzę niezłomnie, że jeżeli zajdzie potrzeba poddać się próbie wielkiej pokusy, to cała sława naszego miasta runie jak domek z kart. Widzisz, teraz wypowiedziałam ci się ze swoich uczuć i czuję się

lepiej. Jestem jednym wielkim zakłamaniem i byłam nim przez życie całe nawet nie domyślając się tego...

– Mary, ja... no tak, czuję bardzo podobnie jak ty, nawet na pewno. I mnie wydaje się to dziwne, bardzo dziwne. Nie uwierzyłbym w to nigdy, nigdy.

Nastąpiło długie milczenie. Oboje zatopili się w rozmyślaniach.

Pani Richards pierwsza przerwała ciszę. Spojrzała na męża.

– Wiem, o czym myślisz, Edwardzie – rzekła.

Richards był zakłopotany jak człowiek przyłapany na gorącym uczynku.

– Wstydę się wyznać, Mary, ale...

– Nic nie szkodzi, mój drogi, i ja myślałam o tym samym.

– Doprawdy? No, powiedz, o czym?

– Myślałam o tym, żeby tak ktoś mógł zgadnąć, co to były za słowa, jakie Goodson powiedział nieznanemu.

– To szczerza prawda. Czuję się winny i wstydę się tego. A ty?

– Ja już przeszłam nad tym do porządku. Trzeba tu położyć siennik. Musimy czuwać nad workiem aż do rana, dopóki nie otworzą banku. Ach, mój drogi, gdybyśmy nie popełnili tego błędu!

Położono siennik. Pani Richards mówiła dalej:

– Ach, jakżeż to może brzmieć owo: „Sezamie, otwórz się”... Myślę i myślę nad tym, co to mogła być za uwaga. Ale chodź już. Musimy w końcu położyć się.

– I spać?

– Nie, myśleć.

– Tak, myśleć.

W tym samym czasie państwo Cox również zakończyli dyskusję i po zawarciu zgody zabrali się właśnie do myślenia i myślenia, walczyli wszystkie możliwości, martwili się i wysilali swe mózgi, aby odgadnąć treść uwagi, jaką Goodson zrobił nieszczęśliwemu nędzarszowi. Owej złotej uwagi, uwagi wartości czterdziestu tysięcy dolarów w złocie.

Urząd telegraficzny w Hadleyburgu był dnia owego otwarty dłużej niż zwykle dla tego oto powodu. Kierownik drukarni, gdzie drukowała się gazeta Coxa, był jednocześnie przedstawicielem Związku Prasy. Rzec by można, honorowym przedstawicielem, ponieważ w ciągu roku nie zawsze udało mu się dostarczyć trzydzieści słów, które by przyjęto do druku.

Tym razem jednak stało się inaczej. Na depeszę jego, donoszącą o najświeższej nowinie, nadeszła natychmiast odpowiedź następująca:

„Przesłać całą sprawę, wszystkie szczegóły. Tysiąc dwieście słów.”

Olbrzymie zamówienie! Kierownik drukarni wypełnił je. Był najdumniejszym człowiekiem w Stanach.

Następnego ranka w porze śniadaniowej nazwa nieskazitelnego Hadleyburga była na ustach wszystkich, w całej Ameryce od Montrealu do Zatoki Kalifornijskiej i od lodowców Alaski aż po gaje pomarańczowe na Florydzie.

Miliony ludzi mówiły o nieznanym i jego worku ze złotem. Zastanawiano się, czy odnajdą właściwego człowieka, i z upragnieniem oczekiwano nowych wiadomości, które miały rzecz wyjaśnić.

II

Miasteczko Hadleyburg obudziło się zdumione swą wszechświatową sławą, wzruszone, uszczęśliwione, próżne. Nad wyraz próżne. Dziewiętnastu najpoważniejszych obywateli wraz z żonami wyległo na ulice. Ściskali się wzajemnie za ręce, rozpromienieni zamieniali z sobą znaczące uśmiechy i powinszowania. Mówili sobie, że to wprowadza do słownika nowe słowo: „Hadleyburg”, synonim nieskazitelnosci, i że przeznaczeniem jego jest żyć w

słownikach po wieki wieków! A pomniejsi obywatele wraz z żonami także wylegli na miasto i zachowywali się umiej więcej tak samo. Każdy najpierw biegł do banku, ażeby zobaczyć worek. Przed południem jeszcze przybyły zazdrosne i zgryzione tłumy z Brixton i innych pobliskich miast.

Tegoż południa i następnego dnia zjechali się ze wszech stron reporterzy pragnący osobiście sprawdzić istnienie worka i związaną z nim tajemnicę, aby raz jeszcze opisać na nowo całe zdarzenie i utrwalić na zdjęciach worek, domek Richardsa, bank, kościół prezbiteriański, kościół baptystów, skwer publiczny i ratusz, w którym nastąpić miało stwierdzenie tożsamości i wręczenie pieniędzy prawemu właścicielowi, a wreszcie, aby fatalnie sportretować państwa Richards, bankiera Pinkertona, kierownika drukarni Coxa, pastora Burgessa, naczelnika poczty i nawet Jacka Hallidaya, który był poczciwym, nie nieznaczącym włóczęgą, wzgardzonym rybakiem i myśliwym, przyjacielem uliczników i zabłąkanych psów – typowym miejskim nicponiem.

Mały, nikczemny, fałszywie uśmiechnięty, uniżony Pinkerton pokazywał worek wszystkim przybyłym i z radości zacierał śliskie ręce rozwodząc się nad znaną z dawien dawna uczciwością miasteczka i jego świetną reputacją, przypieczętowaną ostatnim wypadkiem. Wyrażał nadzieję, a nawet pragnął wierzyć niezłomnie, że przykład ten znajdzie naśladowców w całej Ameryce, jak długa i szeroka, że stanie się epoką w dziejach odrodzenia moralnego. I tak dalej, i tak dalej...

Pod koniec tygodnia wszystko ucichło. Oszołomienie dumą i radością ustąpiło miejsca uczuciu słodczy i ciszy, rozkosznemu uczuciu głębokiego, niewysłowionego i ciągłego zadowolenia. Na wszystkich twarzach malowało się spokojne i świątobliwe szczęście.

A potem przysła wielka zmiana. Przysła tak stopniowo i powoli, że z trudem zauważono jej początek. Być może nawet nie zauważono by go wcale, gdyby nie Jack Halliday, który zawsze wszystko spostrzegał i zawsze kpił sobie ze wszystkiego, co wpadło mu w oko.

Najpierw robił drwiące uwagi na temat ludzi niewyglądających tak wesoło jak wczoraj lub przedwczoraj. Następnie rozniósł nowinę, że nowy ich wygląd coraz bardziej świadczy o zupełnym smutku, a później, że zaczynają wyglądać wprost na ludzi chorych. W końcu twierdził, że wszyscy stali się tak zamyśleni, roztargnieni i zgorzkniali, że największemu skąpcowi mógłby wyciągnąć centa z kieszeni w spodniach ani na chwilę nie przerywając jego zadumy.

W tym mniej więcej czasie, w godzinach przeznaczonych na spoczynek, dziewiętnastu najpoważniejszych obywateli westchnęło, po czym przemówiło w następujące słowa:

– Ach, co to mogła być za uwaga, którą zrobił Goodson?

I natychmiast żona obywatela odpowiadała mu drżąc:

– Ach, przestań! Znów dręczysz i suszysz swój mózg tymi okropnościami! Przestań o nich myśleć, na miłość boską!

Ale następnej nocy zagadka znów męczyła tych samych mężów i znów odpowiadano im w podobny sposób, ale słabiej.

Trzeciej zaś nocy mężczyźni powtarzali już swe zapytania gorączkowo i nieprzytomnie.

Żony ich kręciły się nerwowo, próbowały coś odpowiedzieć, ale słowa więzły im w gardle.

A czwartej nocy odzyskały mowę i wołały z utęsknieniem:

– Ach, gdybyśmy tylko mogły zgadnąć!

Komentarze Hallidaya z dnia na dzień stawały się coraz dosadniejsze i bardziej ubliżające. Potrafił on wkraść się wszędzie i wyśmiewać wszystkich mieszkańców miasta razem i każdego z osobna. Lecz był on jedynym człowiekiem w całym miasteczku, który śmiał się. Śmiech jego rozlegał się samotnie wśród głębokiej, przygniatającej ciszy. Nikt inny nie uśmiechnął się nawet.

Halliday obnosił na trójnogu pudełko od cygar. Udawał, że posiada aparat fotograficzny, i zatrzymywał przechodniów stawiając go przed nimi i mówiąc: „Uwaga, proszę o przyjemny

wyraz twarzy.” Ale nawet ten znakomity, jak na Hadleyburg, żart nie potrafił usunąć zmarszczek z ponurych twarzy.

Tak minęły trzy tygodnie. Pozostał więc już tylko jeden tydzień – ostatni.

Było to w sobotę wieczorem, po kolacji. Dawniej w sobotę wieczorem robiono zakupy, ulice pełne były zgiełku, ruchu i wesołości. Teraz były puste i wyglądały ponuro. Richards i jego żona siedzieli w saloniku przygnębieni i zamyśleni.

Weszło to już w zwyczaj i powtarzało się co wieczór. Dawniejszy zwyczaj czytania, szydełkowania, prowadzenia pogodnych rozmów lub przyjmowania i składania wizyt znikł zupełnie. Zapomniano o nim, zdawało się, że już od wieków, a nie od dwóch czy trzech tygodni. Teraz nikt nie rozmawiał, nikt nie czytał, nikt nie składał wizyt. Wszyscy mieszkańcy miasteczka siedzieli po domach milcząc, gryząc się i wzdychając, a zwłaszcza usiłując odgadnąć treść sławetnej uwagi Goodsona.

Listonosz przyniósł list.

Richards spojrział nieprzytomnie na stemple i na adres nadawcy: były mu nieznane. Rzucił list na stół i podjął swoje beznadziejne rozmyślenia w miejscu, w którym je przerwał. Po dwóch czy trzech godzinach żona jego, zniechęcona, wstała, aby pójść do łóżka bez powiedzenia „dobranoc” (także nowy zwyczaj), lecz zatrzymała się przed listem. Popatrzyła nań przez chwilę bez ciekawości, otworzyła go i zaczęła pobieżnie czytać. Richards, siedząc przy ścianie z brodą między kolanami, usłyszał nagle odgłos ciała padającego na ziemię. Podbiegł więc do żony, ale zatrzymała go mówiąc:

– Zostaw mnie samą! Jestem zbyt szczęśliwa! Przeczytaj ten list! Czytaj!

Usłuchał. Pożerał list wzrokiem. Wszatko tańczyło mu przed oczyma. List pochodził z odległego stanu, a oto co zawierał:

„Nie znacie mnie, ale to wszystko jedno. Mam wam coś do powiedzenia. Właśnie przyjechałem z Meksyku i w domu opowiedziano mi o tym zdarzeniu. Oczywiście, wy nie wiecie, kto zrobił uwagę, ale ja wiem i jestem jedynym na świecie człowiekiem, który wie.

Zrobił ją Goodson. Znałem go dobrze przed wielu laty. Właśnie owej nocy przechodziłem przez wasze miasteczko – byłem jego gościem aż do przyścia północnego pociągu. Słyszałem, jak w ciemnościach powiedział to nieznanemu. Było to w Hale Alley. Rozmawiał ze mną o tym przez całą drogę, a potem w domu przy papierosie. W trakcie rozmowy wspominał o wielu mieszkańcach waszego miasteczka w sposób dla większości z nich bardzo niepocholebny, jednak o dwu czy trzech wypowiedział się przychylnie, a między nimi i o panu. Powiadam: przychylnie, nic więcej. Pamiętam jego powiedzenie, że obecnie w miasteczku nie lubi nikogo, ani jednej osoby, ale wspominał mi, że pan wyświadczył mu kiedyś wielką przysługę, być może nie zdając sobie należycie sprawy z jej wagi, mówił, że gdyby posiadał majątek, zapisałby go przed śmiercią panu, innym zaś mieszkańcom dając po przekleństwie na głowę. Jeżeli więc pan oddał mu tę przysługę, w takim razie jest pan jedynym jego spadkobiercą i uprawnionym do odbioru worka ze złotem.

Wiem, że mogę zaufać uczciwości i honorowi pańskiemu, wobec czego odkryję przed panem treść tej uwagi w głębokim przeświadczeniu, że jeśli nie jest pan poszukiwanym człowiekiem, to sam pan poszuka i odnajdzie właściwego kandydata, aby dług wdzięczności biednego Goodsona za przysługę, którą mu oddano, został spłacony. Oto treść uwagi:

«Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem. Idź więc i popraw się.»

Howard L. Stephenson”

– Ach, Edwardzie, pieniądze są nasze! Jakże mu jestem wdzięczna, ach, jak wdzięczna! Pocałuj mnie, mój kochany! Jakże dawno nie całowaliśmy się. A tak nam brakowało... pieniędzy. A teraz jesteś wolny od Pinkertona i jego banku. Już nie jesteś niczym niewolnikiem! Wydaje mi się, że mogłabym fruwać z radości!

Para starszków przeżyła szczęśliwe pół godziny. Po dawnemu siedzieli na kanapce pieścąc się wzajemnie. Wróciły dawne dni, które zaczęły się przy konkurach i trwały bez zmiany aż do chwili, w której nieznajomy przyniósł nieszczęsne pieniądze. Po pewnym czasie pani Richards rzekła:

– Ach, Edwardzie, jakże się szczęśliwie złożyło, że wyświadczyłeś temu biednemu Goodsonowi tak wielką przysługę! Nigdy go nie lubiłam, a teraz go kocham! Jakże pięknie i delikatnie z twej strony, że nigdy się nie chwaliłeś i nie wspomniałeś mi o niej.

I dodała z lekkim żalem:

– Chociaż powinieneś był mi to powiedzieć, Edwardzie, mnie, twojej żonie.

– Widzisz... j-ja... no tak... Mary, widzisz...

– Przestań już mruzczyć i jękać się. Opowiedz mi o tym, Edwardzie. Kochałam cię zawsze, a teraz jestem dumna z ciebie. Każdy jest przekonany, że była tylko jedna dobra i szlachetna dusza w całym mieście, a teraz wyszło na jaw, że to ty, Edwardzie!... Ale dlaczego mi nie odpowiadasz?

– B-bo... b-bo... Mary... nie mogę!

– Nie możesz? Dlaczego nie możesz?

– Bo widzisz, on... no, tak, on kazał mi obiecać, że nie będę o tym mówił nikomu!

Żona przyjrzała mu się bacznie i cedząc słowa rzekła:

– Kazał... ci... obiecać?... Edwardzie, w jakim celu mi to powiedziałeś?

– Mary, czy posądzasz mnie o kłamstwo? Zmieszana zamilkła na chwilę, a potem położyła dłoń na jego dłoni, mówiąc:

– Nie, nie. Zbyt daleko odstępiliśmy od naszych zasad. Niech Bóg nam to wybaczy. W ciągu całego swego życia nie splamiłeś się kłamstwem. Ale teraz, teraz, kiedy życie nasze zaczyna opierać się na całkiem nowych podstawach, my... my...

Wzruszenie zatamowało jej mowę. Dokończyła złamanym głosem:

– Nie wódź nas na pokuszenie... Myślę, że przyrzekłeś mi, Edwardzie. Niechaj tak będzie. Nie wracajmy już do tej sprawy. A teraz, kiedy wszystko już przeszło, bądźmy zawsze szczęśliwi. Nie pora teraz na zmartwienia.

Ale Edwardowi trudno było zastosować się do słów żony i powstrzymać myśli obracające się dokoła pytania, jaką to przysługę wyświadczył Goodsonowi; usiłował gwałtem odgadnąć odpowiedź.

Małżeństwo prawie wcale nie spało tej nocy, ona, szczęśliwa i ożywiona, on też ożywiony – ale mniej szczęśliwy.

Mary snuła plany, myślała już o tym, co zrobi z pieniędzmi. Edward starał się odnaleźć w pamięci ową przysługę. Z początku dręczyło go kłamstwo, jakiego dopuścił się wobec Mary. Jeżeli było ono istotnie kłamstwem. Po dłuższym zastanowieniu pomyślał: Przypuśćmy, że było to kłamstwo. To i cóż z tego? Czy to taka wielka rzecz? Czyż postęпки nasze nie są stale kłamliwe? Więc dlaczego bać się kłamstwa? Przyjrzyjmy się Mary. Cóż czyniła wtedy, gdy ja biegłem przez ulice w uczciwym zamiarze? Jakież były jej uczucia? Lamentowała nad tym, że nie zniszczyliśmy dokumentów i nie zatrzymaliśmy pieniędzy dla siebie. Czy kradzież jest lepsza od kłamstwa?

Gdy pod tym względem sumienie przestało go dręczyć, sprawa kłamstwa zeszła na plan drugi pozostawiając po sobie nawet pewne zadowolenie. Na pierwszy plan wystąpiła natomiast druga sprawa. Czy istotnie oddał jakąś przysługę Goodsonowi? Bardzo pięknie, Stephenson powoływał się w liście na świadectwo samego Goodsona, a jakież świadectwo mogło być lepsze od tego? Czyż nie było ono wprost dowodem, że istotnie wyświadczył mu przysługę? Oczywiście, tak. Więc i ten punkt był załatwiony.

Nie, niezupełnie. Zachnął się, bo przypomniał sobie, że ów nieznajomy pan Stephenson miał jednak odrobinę wątpliwości, czy dobroczyńcą był w samej rzeczy Richards, czy też ktoś inny, i – o, zmiłujcie się nade mną – zawierzył honorowi Richardsa! I oto on sam ma

zdecydować, czy pieniądze zostaną u niego. A pan Stephenson nie wątpi, że jeśli nie on jest poszukiwanym spadkobiercą, to właściwego odnajdzie. Ach, to ohydne! Postawić człowieka w podobnej sytuacji! Czemuż Stephenson raczej nie przemilczał swojej wątpliwości? W jakim celu wspominał o niej?

Rozmyślał dalej, jak to się stało, że w pamięci Stephensona właśnie nazwisko Richardsa, a nie żadne inne, kojarzyło się z poszukiwaną osobą. Tak. To wygląda bardzo dobrze.

Faktem jest, że w miarę jak rozmyślał, wyglądało to coraz lepiej, aż wreszcie urosło do znaczenia pozytywnego dowodu. A wtedy Richards usunął całą sprawę ze swych myśli, instynkt bowiem mówił mu, że skoro dowód raz ustalono, to lepiej nie wracać już do tej kwestii.

Miał teraz wszelkie powody, aby czuć się doskonale, i tylko jeden mały szczegółik zaprzętał jeszcze jego uwagę: przysługę naturalnie wyświadczył, to rzecz pewna, ale jaka to była przysługa? Musi ją sobie przypomnieć. Wtedy osiągnie całkowity spokój sumienia. Więc myślał i myślał. Przychodziły mu do głowy tuziny rozmaitych możliwych przysług, nawet prawdopodobnych przysług, ale żadna z nich nie była dość wielka, żadna nie była warta takich pieniędzy, warta majątku, który Goodson chciał mu zapisać w testamencie. A poza tym w ogóle nie mógł sobie przypomnieć, aby jakąś z tych przysług wyświadczył. Jakiego rodzaju przysługa mogła wzbudzić w człowieku tak niezwykłą wdzięczność?

Ach, zbawienie jego duszy! Niezawodnie to. Tak, przypomina sobie teraz, jak kiedyś postanowił nawrócić Goodsona i jak pracował nad tym – chciał już rzec trzy miesiące, ale po bliższym rozpatrzeniu skrócił termin do jednego miesiąca, potem do tygodnia, potem do dnia, a potem do niczego. Tak, przypomina sobie teraz, i to dziwnie wyraźnie, że Goodson odesłał go do stu piorunów, że kazał mu się zajmować własnymi sprawami. Powiedział, że on nie wdycha za tym, żeby się dostać do nieba razem z Hadleyburgiem.

A, więc i ten wniosek przepadł. Nie, nie zbawił duszy Goodsona. Ogarnęło go zniechęcenie. Jeszcze chwila i błysnęła mu nowa myśl: czyżby Goodsonowi uratował majątek? Nie, to na nic, on nie miał żadnego majątku. Chyba życie? Otóż to! Oczywiście. Czemuż nie pomyślał o tym wcześniej? Teraz z pewnością był na właściwej drodze. Od tej chwili fantazja jego zaczęła ciężko pracować.

I oto w ciągu dwóch męczących godzin Richards zajmował się ratowaniem Goodsonowi życia. Ratował je w rozmaity sposób, z trudem, narażając się na niebezpieczeństwo, ratował je z powodzeniem, ale tylko do pewnego punktu; niestety, w chwili gdy był już prawie pewien, że wszystko zdarzyło się naprawdę, jakiś niepokojący szczegółik obalał wiarygodność całej historii.

Na przykład, gdy ratował Goodsona od utonięcia. Podpłynął do niego, przyciągnął go do brzegu nieprzytomnego, gdzie tłum, który patrzył na całą tę scenę, przyjął go owacją. Ale kiedy wszystko już sobie obmyślił i zaczynał właśnie przypominać sobie, jak to było, cała armia dyskwalifikujących szczegółów zalała teren jego wyobraźni. A więc: miasto wiedziałyby o tym zdarzeniu, a przede wszystkim, wiedziałyby Mary. Pamięć takiego wydarzenia świeciłaby w nim jasno jak reflektor, a tymczasem w liście jest mowa o przysłudze, którą oddał nieświadomie, „nie znając jej całkowitej wagi”. W tym miejscu przypominał też sobie, że nie umie pływać.

Aha, więc było jeszcze coś, o czym zapomniał od samego początku: szło przecież o przysługę, którą wyświadczył „nie zdając sobie sprawy z całej jej wagi”. Otóż ma teraz zdobycz, po którą łatwiej było sięgnąć niż po wszystkie inne. Teraz jest pewien swego! Wreszcie znalazł to, czego szukał. Przed laty Goodson miał się zenić z ładniutką młodą dziewczyną, nazwiskiem Nancy Hewitt, lecz z takiego czy innego powodu małżeństwo ich rozchwiało się. Dziewczyna umarła. Goodson został starym kawalerem, z biegiem lat coraz bardziej zgryźliwym i coraz większą pogardą obdarzającym rodzaj ludzki. Wkrótce po

śmierci młodej dziewczyny miasteczko wykryło, tak mu się przynajmniej zdawało, że w żyłach dziewczyny płynęła struga krwi murzyńskiej.

Przez dobrą chwilę Richards opracowywał w myśli szczegóły tej sprawy i w końcu wydało mu się, że już je sobie przypomina. Po prostu zatarły się nieco w jego pamięci, ponieważ tak długo nie myślał o nich. Majaczyło mu się mgliste wspomnienie, że to on wykrył domieszkę krwi murzyńskiej, że on odkrył to przed miastem, że miasto uświadomiło Goodsona, jak sprawy stoją, i że w ten sposób uratował Goodsona od małżeństwa ze splamioną dziewczyną, że oddał mu tę wielką przysługę nie znając pełnej jej wagi, w gruncie rzeczy nie wiedząc nawet, że ją w ogóle wyświadczył. Ale Goodson ocenił, jak bliski był niebezpieczeństwa, i dlatego mówił schodząc do grobu, że życzyłby sobie mieć majątek, aby móc pozostawić go swemu dobroczyńcy. Teraz wszystko stało się jasne, proste i zrozumiałe, a im więcej nad tym myślał, tym stawało się pewniejsze.

W końcu, gdy ułożył się do snu, zadowolony i szczęśliwy, przypomniał sobie całą rzecz tak, jak gdyby zdarzyła się wczoraj. Nie przypomniał sobie tylko, aby Goodson choć raz wyraził mu swoją wdzięczność.

W tym samym czasie Mary zdążyła wydać sześć tysięcy dolarów na własny domek i na nocne pantofle dla pastora, po czym pogrążyła się we śnie.

Tej samej soboty listonosz oddał list każdemu z dziewiętnastu najpoważniejszych obywateli w mieście – w sumie dziewiętnaście listów. Nie znaleźlibyście między tymi listami dwu jednakowych kopert lub dwu adresów pisanych tą samą ręką. Ale zawarte w nich listy były, prócz jednego szczegółu, zupełnie do siebie podobne. Były to kopie listu, jaki otrzymał Richards, pisane tym samym charakterem pisma, wszystkie podpisane przez Stephensona, tylko na każdym z nich figurowało nazwisko innego adresata.

Przez całą noc osiemnastu obywateli robiło to samo, co w tym samym czasie robił ich towarzysz niedoli, Richards. Mobilizowali całą swoją energię, aby przypomnieć sobie przysługę wyświadczoną nieświadomie Barclayowi Goodsonowi. W żadnym razie nie była to praca łatwa, niemniej jednak powiodła się ona wszystkim.

A podczas gdy trwali w tej uciążliwej męce, żony ich trawiły nocne godziny na wydawaniu pieniędzy, co było rzeczą niepomiernie łatwiejszą. W ciągu tej jednej nocy dziewiętnaście żon, wydając przeciętnie po siedem tysięcy dolarów, zużyło sto trzydzieści trzy tysiące dolarów zamiast czterdziestu, które zawierał worek.

Następny dzień był dla Jacka Hallidaya niespodzianką. Zauważył, że na twarzach dziewiętnastu najpoważniejszych obywateli oraz na twarzach ich małżonek malował się znów spokój i świątobliwa błogość. Nie umiał wytłumaczyć sobie tego zjawiska ani wymyślić docinków, które by ich szczęście przerwały lub zmaćły. Teraz on z kolei był niezadowolony z życia. Domysły jego, mające na celu odkrycie prawdziwej przyczyny ich nagłej szczęśliwości, padały po bliższym rozpatrzeniu we wszystkich instancjach. Gdy spotkał panią Wilcox i spostrzegł cichą ekstazę rozlaną na jej twarzy, pomyślał: Kotka jej się okociła. Wszedł do jej domu i zapytał o to kucharkę. Nic podobnego! Kucharka zauważyła co prawda radość swej pani, ale nie zdołała wykryć powodu.

Gdy Halliday zobaczył odbicie tej ekstazy na twarzy „Śledziobrusia” Billsona (zdrobnienie przyjęte w Hadleyburgu), był przekonany, że jakiś sąsiad Billsona złamał nogę. Ale po sprawdzeniu przekonał się, że nic podobnego nie zaszło. Identyczna ekstaza malowała się na twarzy Gregory’ego Yatesa i mogła ona oznaczać tylko jedno – śmierć jego teściowej, ale i to okazało się nieprawdziwe. A Pinkerton – no, Pinkerton cieszył się chyba dlatego tylko, że udało mu się zarobić niespodzianie dziesięć centów. I tak dalej, i tak dalej. W niektórych wypadkach domysły pozostały wątpliwe, w innych okazywały się wprost fałszywe.

Wreszcie Halliday powiedział sobie tak:

W każdym razie dziewiętnastu obywateli Hadleyburga przebywa w tej chwili w siódmym niebie. Nie wiem, jak to się stało, wiem tylko, że Opatrzność jest dziś na urlopie.

Pewien budowniczy z sąsiedniego stanu założył był w ostatnich czasach w tym małym obiecującym miasteczku niewielkie przedsiębiorstwo. Od tygodnia już wisiał szyld na jego biurze, dotąd jednak nie zjawił się ani jeden klient. Zniechęcony architekt żałował już swego przyjazdu, gdy nagle wszystko uległo zmianie.

Przyszła najpierw jedna, potem inne żony najpoważniejszych obywateli i powiedziały w zaufaniu: „Niech pan przyjdzie do nas od poniedziałku za tydzień, ale proszę nie wspominać o tym nikomu aż do tego czasu. Mamy zamiar budować.”

Dnia tego otrzymał jedenaście zaproszeń. Wieczorem napisał list do swej córki, aby zerwała ze swoim studentem: „Możesz wyjść za mąż o całe niebo lepiej” – pisał.

Bankier Pinkerton i dwaj czy cztery możni obywatele obiecywali sobie wytworne siedziby wiejskie, ale czekali jeszcze. Należeli do tego rodzaju ludzi, którzy nie liczą wróbla na dachu.

Wilsonowie projektowali wielką innowację: bal kostiumowy. Nie obiecywali jeszcze nic konkretnego, ale w zaufaniu mówili bliższemu znajomemu, że myślą właśnie urządzić taką zabawę i że prawdopodobnie odbędzie się „od poniedziałku za tydzień”, a jeśli dojdzie do skutku, to „oczywiście jesteście państwo zaproszeni”. Ludzie, niezmiernie tym zdziwieni, mówili jedni do drugich: „Biedni Wilsonowie, zwariowali chyba, przecież nie stać ich wcale na to.” A spośród dziewiętnastu żon kilka tak powiedziało w sekrecie do swoich mężów: „To dobry pomysł. Przeczekamy ich marną zabawę, a wtedy my wyprawimy taką, że się pochorują z zazdrości.”

W miarę jak dni upływały, rachunki przyszłych szalonych wydatków rosły, stawały się coraz dziksze, coraz głębsze, coraz rozrzutniejsze, coraz bardziej lekkomyślne. Każda z osób należących do owej dziewiętnastki nie tylko wydała już w myślach swoje czterdzieści tysięcy dolarów, ale wpadła w długi, zanim zdążyła wejść w posiadanie cennego worka. Niektórzy nie poprzestali nawet na projektach wydawania pieniędzy, lecz wydawali je już teraz. Kupowali dobra, hipoteki, folwarki, akcje, zbytkowne stroje, konie i różne inne rzeczy. Płacili z góry procent i zobowiązywali się zapłacić całą sumę za dziesięć dni.

Kiedy pierwszy szal minął i ludzie otrzeźwieli, Halliday zauważył, że na wielu twarzach zaczyna się ukazywać śmiertelny niepokój. Był znów zdumiony i nie wiedział, jak to sobie wytłumaczyć. Kociaki u Wilcoxów nie zdechły, bo nie urodziły się wcale, nikt nie złamał nogi, nie uszczupliło się grono teściowych, nic w ogóle nie zaszło.

Tajemnica nadal była nieprzenikniona.

Nie on jeden był zdumiony. Drugim był pastor Burgess.

Od kilku bowiem dni, gdziekolwiek się wybierał, wszędzie ktoś szedł za nim albo już na niego czekał. Gdy był przez chwilę sam, zjawiał się natychmiast któryś z dziewiętnastu obywateli, wsuwał mu tajemniczo do ręki kopertę i szeptał do ucha: „Otworzyć w sali ratuszowej w piątek wieczorem”, po czym znikał jak winowajca. Pastor przypuszczał, że znajdzie się co najwyżej jeden pretendent do worka – a i to było wątpliwe, skoro Goodson już umarł. Przez myśl mu nie przeszło, żeby całe miasto rościło sobie do niego prawa. Ale kiedy nadszedł wreszcie ów wielki piątek, pastor Burgess znalazł się w posiadaniu dziewiętnastu kopert.

III

Nigdy chyba sala ratuszowa nie wyglądała wspanialej. Stojąca w głębi estrada była udrapowana jaskrawymi pasami sztandarów. Wzdłuż ścian w różnych odstępach zawieszono festony z chorągwi. Galerię udekorowano flagami. Owinięto nimi również podtrzymujące ją kolumny. Wszystko to miało na celu wywołanie jak największego wrażenia na przyjeźdźnych;

spodziewano się liczego ich przybycia, a niektórzy mogli mieć przecież coś wspólnego z prasą.

Sala była pełna. 412 krzesel, jak również 68 dostawionych po bokach, nie wystarczyło dla wszystkich zebranych. Ludzie siedzieli na stopniach prowadzących na estradę; wybitniejszym gościom dano miejsca na samej estradzie. Przy stołach ustawionych w podkowę na przedzie i po bokach estrady zasiadła cała armia korespondentów przybyłych ze wszystkich stron. Miasto od początku swego istnienia nie zdobyło się na tak wspaniałe stroje. Widziało się na sali kosztowne toalety, a w wielu wypadkach damy, które je nosiły, były nieoswojone z ubraniem tego rodzaju. Przynajmniej tak osądziło miasteczko, ale wrażenie to zrodziła, być może, świadomość, że nigdy dotąd nie oglądano ich w podobnych szatach.

Worek ze złotem postawiono na małym stołku na przedzie estrady, tak aby mogło go widzieć całe miasto. Sala wlepiła weń oczy z gorącym zainteresowaniem, z zainteresowaniem, od którego ślina napływa do ust, z uwagą czujną i pełną namaszczenia. Mniejszość, złożona z dziewiętnastu małżeństw, patrzyła nań czule, z miłością i poczuciem własności, a męska połowa owych małżeństw nie przestawała powtarzać sobie w duchu okolicznościowych przemówień w podziękowaniu za uznanie, którym obdarzą ich zebrani, i za powinszowania, które będą im składać za parę minut. Każdy z nich wyjmował co chwila z kieszeni karteczkę i zaglądał do niej ukradkiem.

Rzecz prosta, że gwar rozmów nie ustawał ani na chwilę – zawsze tak bywa – lecz w końcu, gdy pastor Burgess wstał i położył rękę na worku, zrobiło się tak cicho, że mógłby słyszeć, jak obgryzają go własne mikroby. Opowiedział ciekawą historię worka, po czym poświęcił kilka ciepłych słów starej i dobrze zasłużonej reputacji Hadleyburga: jego nieskazitelnej uczciwości i słusznej dumie mieszkańców. Powiedział, że reputacja taka była bezcennym skarbem, że teraz dzięki wyrokowi Opatrzności wartość jej jeszcze wzrosła, bowiem ostatnie wydarzenie rozniosło sławę Hadleyburga na świat cały i skierowało oczy całej Ameryki na miasteczko, które pozostanie po wsze czasy synonimem handlowej nieskazitelności. (Oklaski.)

– A któż jest stróżem tej szlachetnej reputacji? Czyżby cała gmina? Nie. Odpowiedzialność jest osobista, a nie gminna. Począwszy od dzisiaj każdy z was zostaje mianowany strażnikiem samego siebie i każdy odpowiedzialny jest osobiście za to, aby żadne zło tu się nie wkradło. Czy wam – czy każdemu z was można tak wielką rzecz zaufać? (Głośna ogólna zgoda.) Wszystko więc jest w porządku. Przekażcie to waszym dzieciom i dzieciom waszych dzieci. Dzisiaj czystość wasza nie ulega najmniejszej wątpliwości. Baczcie, aby pozostała taka na zawsze. Dziś nie znajdziecie w całej gminie człowieka, który by tknął grosz nie będący jego własnością. Baczcie, abyście trwali w tym stanie łaski. (Będziemy! Będziemy!) Nie miejsce tu, aby przeprowadzać porównania między nami a innymi gminami, z których niejedna nie jest nam życzliwa. Mają one swoje drogi, którymi kroczą, i my mamy swoje. Nie skarżymy się przeto. (Oklaski.) Skończyłem. Oto, przyjaciele, pod ręką moją spoczywa wymowny dowód tego, czym jesteśmy, złożony przez cudzoziemca. Dzięki niemu cały świat będzie wiedział na zawsze, jacy są u nas ludzie. Nie wiem, kim jest, ale w waszym imieniu składam mu wyrazy wdzięczności i proszę, abyście głośno potwierdzili moje słowa.

Sala powstała jak jeden mąż i w ciągu całej minuty ściany drżały od dziękczynnych okrzyków.

Potem wszyscy usiedli, a pastor Burgess wyjął z kieszeni kopertę. Sala z zapartym tchem śledziła jego ruchy. Rozpieczętował ją, wyjął z niej ćwiartkę papieru i powoli, z namaszczeniem zaczął czytać. Audytorium z naprężoną uwagą wsłuchiwało się w treść magicznego dokumentu, którego każde słowo miało wagę złota.

„Uwaga, którą zrobiłem zrozpaczonemu nieznanemu, była następująca: «Bardzo ci daleko do tego, abys był złym człowiekiem – idź więc i popraw się.»”

– Za chwilę – ciągnął Burgess – dowiemy się, czy załączona cytata odpowiada treści uwagi zapieczętowanej w tym oto worku. Jeżeli zaś okaże się, że tak jest istotnie – a nie wątpię, że tak się okaże – to worek złota przejdzie na własność jednego z naszych współobywateli. Od tej chwili dla całego narodu niejako symbolem tej cnoty, która miasto nasze uczyniła sławne na cały kraj, będzie on, pan Billson.

Sala, chociaż zupełnie przygotowana do zareagowania odpowiednim huraganem oklasków, nie uczyniła tego.

Zdawała się być tknięta paraliżem. Martwa cisza zapanowała na jedną czy dwie sekundy, po czym fala szeptów i pomruków rozeszła się po całym gmachu. A nastrojona była mniej więcej na taki ton: „Billson! Trzymajcie mnie, nie, tego za wiele! Dwadzieścia dolarów nieznanemu czy komukolwiek! Billson! Powiedzcie to swojej babci!”

W tym miejscu sala nagle odzyskała oddech pod wpływem nowego napadu wzruszenia, odkryła bowiem, że podczas gdy w jednym kącie sali stał pan Billson z głową lekko pochyloną, w drugim kącie mecenas Wilson zachowywał się w sposób akurat identyczny. Na chwilę zapanowała cisza pełna zdziwienia. Dla wszystkich było to zagadką, a dla dziewiętnastu małżeństw niespodziewaną zniewagą.

Billson i Wilson stanęli naprzeciwko siebie i patrzyli na siebie z uporem. Billson zapytał uszczypliwie:

– Dlaczego pan wstał, panie Wilson?

– Ponieważ miałem prawo do tego. Może zechce pan łaskawie wytłumaczyć zebranym, dlaczego pan wstał ze swego miejsca?

– Z wielką przyjemnością. Ponieważ ja napisałem ten list.

– To bezwstydy fałsz. Ja sam go napisałem. Teraz z kolei Burgessa tknął paraliż. Stał i błędnym wzrokiem obrzucał to jednego, to drugiego i nie wiedział, co ma dalej robić.

Zgromadzenie zdębiało. Z kolei zabrał głos mecenas Wilson:

– Domagam się, aby przewodniczący odczytał nazwisko podpisane na liście.

Słowa te doprowadziły przewodniczącego do przytomności. Odczytał podpis:

– „John Wharton Billson.”

– Oto pan masz! – zawołał Billson. – Cóż teraz powiesz na swoje usprawiedliwienie? Co uczynisz, aby przeprosić mnie i obrażone zgromadzenie za oszustwo, w które chciałeś nas usidlić?

– Przepraszać tu nie ma za co, mój panie, a co do reszty, to oskarżam pana publicznie o to, że ukradł pan pastrowi Burgessowi mój list, a podłożył kopię z własnym podpisem. Innym sposobem nie mógł pan zdobyć tekstu uwagi, bowiem ja jeden spośród żyjących posiadałem tajemnicę jej słów.

Sprawa przedstawiała się tak, że skandal wydawał się nieunikniony. Wszyscy spostrzegli z rozpaczą, że stenografowie bazgrzą jak oszaleli. Dużo osób wołało:

– Przewodniczący! Przewodniczący! Porządek! Porządek!

Burgess wymachiwał młotkiem i krzyczał:

– Nie róbcie niepotrzebnego zamieszania! Najwidoczniej zakradła się tu jakaś pomyłka. Jestem tego pewien. Jeżeli pan Wilson dał mi kopertę, a przypominam sobie w tej chwili, że uczynił to istotnie, muszę ją również mieć przy sobie.

Wyjął jakąś kopertę z kieszeni, otworzył ją i przebiegł list oczyma. Potem stał przez kilka chwil nieruchomo, a twarz jego wyrażała zdumienie i zakłopotanie. Następnie podniósł rękę, machnął nią kilka razy jakoś nieprzytomnie, mechanicznie raz i drugi nabrał tchu, aby przemówić, wreszcie zamiar ten porzucił. Kilka głosów zawołało:

– Czytać! Czytać list! Co w nim jest?

Jak lunatyk, jak człowiek osłupiały ze zdumienia, odczytał Burgess te słowa:

– „Uwaga, którą zrobiłem nieszczęśliwemu nieznanemu, była następująca: «Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem. (Sala patrzyła na niego w osłupieniu.) Idź więc i popraw się.»” (Szepty: Zdumiewające! Co to może być?)

– Ten list – powiedział przewodniczący – jest podpisany Thurlow G. Wilson.

– Otóż to – zawołał Wilson – uważam, że notatkę moją ktoś ukradł.

– Ukradł? – odparł Billson. – Ostrzegam pana, żeby mi pan ani nikt z ludzi tego typu nie śmiał...

Przewodniczący: Porządek, dżentelmeni, porządek! Proszę, niech panowie obaj zajmą swoje miejsca.

Posłuchali potrząsając głowami i mrużąc gniewnie. Sala była głęboko zdumiona. Nie wiedziała, co począc z tymi ciekawymi wynurzeniami.

Wreszcie wstał Thompson. Thompson był kapelusznikiem.

Chętnie należałby do dziewiętnastu, ale nie dorósł do tego. Jego sklep z kapeluszami nie był dość wielki jak na takie stanowisko społeczne. Oto, co rzekł:

– Panie przewodniczący, jeżeli wolno mi poddać pewną myśl, to zapytuję, czy jest możliwe, aby obaj dżentelmeni mieli rację? Zdaję to na pana sąd: czy mogło się zdarzyć, aby obaj powiedzieli nieznanemu zupełnie te same słowa? Wydaje mi się...

Garbarz wstał i przerwał mu. Garbarz był człowiekiem zgorzkniałym. Uważał, że ma pełne prawo zostać członkiem „dziewiętnastu”, ale mimo starań nie przyznano mu tego zaszczytu. Uczyniło go to nieprzyjemnym, w obejściu i w słowach. Rzekł:

– Nie w tym sęk, panowie! To się mogło zdarzyć dwa razy na szto lat, ale tamto nigdy! Żaden z nich nie dał dwudziestu dolarów! (Huragan oklasków.)

Billson: Ja dałem!

Wilson: Ja dałem!

A następnie zaczęli się na nowo posądzać wzajemnie o kradzież.

Przewodniczący: Porządek! Proszę, niech panowie usiądą – jeden i drugi. Oba listy ani na chwilę nie przestały być w moim posiadaniu.

Głos: Dobra! Więc to już załatwione.

Garbarz: Panie przewodniczący! Teraz przynajmniej jedna rzecz jest pewna: mianowicie, że jeden z dżentelmenów siedział całą noc pod łóżkiem drugiego i nałykał się sekretów rodzinnych! Jeżeli zdanie moje nie jest nieparlamentarne, to zauważę, że obaj są do tego jak stworzeni. (Przewodniczący: Porządek! Porządek!) Cofam moją uwagę, panie przewodniczący, i ograniczę się do zaproponowania następującego warunku: Jeżeli jeden z nich podsłuchiwał, gdy drugi wyjawiał treść uwagi swojej żonie, to przyłapiemy go teraz.

Głos: W jaki sposób?

Garbarz: Z łatwością. Nie zacytowali oni uwagi w identycznych słowach. Zauważylibyście to, gdyby nie znaczna przerwa i podniecające kłótnie między jednym a drugim czytaniem.

Głos: Wymień różnicę!

Garbarz: Słowo „bardzo” znajdziecie tylko w notatce Billsona – nie ma go zaś w drugiej.

Liczne głosy: Tak jest, on ma rację.

Garbarz: Wobec tego, jeżeli przewodniczący zechce sprawdzić uwagę zapieczętowaną w worku, to przekonamy się łącznie, który z tych dwu oszustów (Przewodniczący: Porządek!), który z tych dwu awanturników (Przewodniczący: Porządek! Porządek!), który z tych dwu dżentelmenów (Śmiech i oklaski.) zasłużył na odznaczenie jako największy łajdaczyzna, jaki kiedykolwiek żył w tym mieście skompromitowanym przez niego, w mieście, gdzie odtąd będzie mu i za gorąco, i za ciasno! (Potężne brawa.)

Liczne głosy: Otworzyć! Otworzyć worek!

Pastor Burgess nadpruł worek, wsadził rękę w otwór i wyjął z niego kopertę. W kopercie znalazł kilka złożonych arkusików. Na jednym z nich było napisane:

„Nie otwierać, dopóki wszystkie listy nadesłane na ręce przewodniczącego – jeżeli takie napłyną – nie zostaną odczytane.”

Na drugim widniało słowo: „Rozwiązanie.”

– Pozwólcie – rzekł pastor – że odczytam drugi arkusik. „Nie wymagam, aby pierwsza część uwagi, jaką uczynił mi mój dobroczyńca, była zacytowana dokładnie, ponieważ początek jej nie był istotny i mógł łatwo ulec zapomnieniu. Natomiast słowa końcowe w liczbie dwudziestu sześciu są uderzające i, jak sędzę, łatwe do zapamiętania. Dlatego za oszusta należy uznać każdego pretendenta, który słów tych nie powtórzy z całą dokładnością. Mój dobroczyńca zaczął od powiedzenia, że rzadko komu udziela rad, ale gdy mu się to zdarzy, wtedy stara się, żeby były w dobrym gatunku. A potem wyrzekł słowa, które nigdy nie wyjdą mi z pamięci: «Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem.»”

Pięćdziesiąt głosów: To rozstrzyga sprawę – pieniądze są Wilsona! Wilson! Wilson! Mowa! Mowa!

Ludzie obskoczyli Wilsona, otoczyli go zwartym kołem i ściskali mu ręce winszując z zapalem. Podczas tego przewodniczący walił młotkiem w stół wołając:

– Porządek, dżentelmeni! Porządek! Porządek! Proszę, pozwólcie mi dokończyć czytania.

A gdy przywrócono spokój, czytał dalej, co następuje:

– „Idź więc i popraw się albo – zważ dobrze moje słowa – przyjdzie dzień, że umrzesz i za grzechy swoje pójdiesz do piekła lub do Hadleyburga – a staraj się trafić do tego pierwszego.”

Zapanowała śmiertelna cisza. Zrazu ciemna chmura legła na twarzach obywateli. Po pewnym czasie chmura rozproszyła się nieco i miejsce jej zajmował powoli wyraz twarzy człowieka łechtanego w pięty. Powstrzymywano się z największym trudem, by nie wybuchnąć głośno. Reporterzy, mieszkańcy Brixtonu i inni goście nisko pochylili głowy, zasłonili twarze dłońmi i starali się opanować śmiech. Całą siłą woli starali się zdobyć na isticie bohaterskie opanowanie.

Wtem, w najmniej odpowiedniej chwili, ciszę przerwał donośny okrzyk Jacka Hallidaya:

– Tak, to jest uwaga w dobrym gatunku!

Tego sala nie wytrzymała, ani miejscowi, ani goście. Nawet powaga pastora Burgessa prysła i audytorium, które uznało się tym samym za oficjalnie zwolnione od dalszego rygoru, w pełni skorzystało z przywileju. Był to śmiech szczery, głośny, serdeczny, niemniej ustał w końcu. Ustał przynajmniej na tyle, że pastor Burgess mógł dokończyć przemówienia, a ludzie zdążyli przetrzeć oczy. Wtedy śmiech wybuchł powtórnie, potem raz jeszcze, aż wreszcie Burgess zdołał z trudem wypowiedzieć kilka poważnych słów.

– Na nic by się nie zdało ukrywanie rzeczywistości. Stoimy wobec sprawy wielkiej wagi. Godzi ona w honor naszego miasta. Godzi w jego dobre imię. Już drobna różnica, różnica jednego słowa, jaka zachodzi między uwagami nadesłanymi przez panów Wilsona i Billsona, była sama w sobie rzeczą poważną, skoro wskazywała na fakt, że jeden z tych dżentelmenów popełnił kradzież.

Obaj mężczyźni siedzieli zmiażdżeni, obwiśli, tępi. Ale słowa te raziły ich niby piorun. Porwali się z miejsc.

– Usiądźcie – powiedział ostro przewodniczący, i usłuchali go. – Już to samo, jak powiedziałem, było rzeczą poważną, ale tylko dla jednego z nich. Sprawa jednak pogorszyła się o tyle, że honor obydwu dżentelmenów znajduje się obecnie w obliczu druzgoczącej klęski. Czyż mam posunąć się dalej i powiedzieć: nieuniknionej klęski? Obaj przepuścili piętnaście zasadniczych słów!

Zamilkł. Pozwolił, aby zupełna cisza zapanowała na kilka chwil i pogłębiła wywołane wrażenie. Po czym dodał:

– Zdawać by się mogło, że istnieje jedno tylko wytłumaczenie. A mianowicie: zapytuję tych dżentelmenów, czy była między nimi zmowa, ugoda?

Cichy pomruk rozszedł się po sali. Słyszeć było ze wszystkich stron: „Ma ich obu w garści.”

Billson nie był przyzwyczajony do wynurzeń. Bezradnie opadł na swoje krzesło. Ale Wilson był prawnikiem. Przemógł się, wstał blady, znękany i przemówił w te słowa:

– Proszę audytorium o wyrozumiałość, gdy będę wyjaśniał tę w najwyższym stopniu bolesną sprawę. Przykro mi wyjawiać to, co powiem za chwilę, gdyż słowa moje zadać muszą panu Billsonowi cios nie do odparowania, jemu, którego dotąd zawsze cenilem i szanowałem, któremu święcie wierzyłem, i co do którego, tak jak wszyscy, byłem pewien, że potrafi się oprzeć każdej pokusie. Ale aby bronić własnego honoru muszę mówić, mówić szczerze. Wyznaję ze wstydem, za co błagam was o przebaczenie, że powiedziałem zrujnowanemu cudzoziemcowi wszystkie słowa, podane w treści uwagi z piętnastoma kompromitującymi mnie włączniami. (Sensacja.) Kiedy sprawę podano do wiadomości publicznej, przypomniałem je sobie i postanowiłem dopominać się o worek złota, do którego posiadania miałem wszelkie tytuły. A teraz proszę, abyście zechcieli rozpatrzyć i należycie ocenić punkt następujący. Wdzięczność, jaką poczuł cudzoziemiec dla mnie owej nocy, nie miała granic. Powiedział on, że nie może znaleźć słów, które zdołałyby ją wyrazić, i że gdy tylko będzie zdolny to uczynić, odplaci mi tysiąckrotnie. A teraz zapytuję was, czy mogłem oczekiwać, czy mogłem wierzyć, czy mogłem choć przez chwilę dopuścić, że pragnąc mi się odwdziżyć popełni czyn tak niegodny, jakim jest dodanie do tekstu rozwiązania owych zbytecznych dwudziestu sześciu słów? Że zastawi na mnie pułapkę? Że wystrychnie mnie na oszczercę rodzinnego miasta, i to w obliczu wszystkich jego mieszkańców zgromadzonych w sali ratuszowej? To było zbyt potworne, zbyt niemożliwe. Nie. Jego tekst mógł zawierać tylko słowa życzliwe, stanowiące wstęp do mojej uwagi. Co do tego nie mogłem mieć wątpliwości. I wy myślelibyście tak, jak ja myślałem. Nie podejrzewalibyście niegodnej zdrady ze strony kogoś, kogo obdarzyliście przyjaźnią i kogo nie obraziliście niczym. Oto dlaczego z całą wiarą i ufnością napisałem na ćwiartce papieru początkowe słowa uwagi i zakończyłem je zdaniem: „Idź i popraw się”, po czym położyłem mój podpis. Kiedy już miałem włożyć arkusik do koperty, zawołano mnie do biura w oficynie; w roztertargnieniu zostawiłem na biurku niezaklejony list.

Zatrzymał się, powoli zwrócił głowę w stronę Billsona, przeczekał chwilę i dodał:

– Proszę was o zwrócenie uwagi na następujący fakt: kiedy powróciłem po chwili, pan Billson wychodził właśnie frontowymi drzwiami. (Sensacja.)

Billson zerwał się na równe nogi wołając:

– To kłamstwo! To niegodne kłamstwo!

Przewodniczący: Proszę, niech pan siada. Pan Wilson ma głos.

Przyjaciele Billsona pociągnęli go na krzesło i starali się go uspokoić. A Wilson mówił dalej:

– To są proste fakty. Arkusik mój nie leżał na miejscu, w którym go zostawiłem, ale nie przywiązywałem do tego żadnej wagi w mniemaniu, że to wina przeciągu. Że pan Billson odczyta prywatny list, było rzeczą nie do pomyślenia. Był wszak człowiekiem honorowym i wyższym ponad podobne posądzenia. Jeśli pozwolicie, to podzielę się z wami moim przekonaniem, że dodatkowe słowo „bardzo” jest zupełnie wytłumaczone: należy je przypisać defektowi pamięci. Jestem jedynym człowiekiem na świecie, który mógł dostarczyć szczegółów dotyczących wypowiedzianych wówczas słów sposobem uczciwym. Skończyłem.

Nie ma na świecie nic równego adwokackiej mowie, jeśli idzie o sparaliżowanie aparatu myślowego słuchaczy, o przewrócenie do góry nogami ich przekonania, o zdyskontowanie wzruszeń tłumu nieprzyzwyczajonego do blagi i oratorskich sztuczek. Wilson usiadł zwycięski. Sala wyraziła mu huraganem oklasków uległość swą i uznanie. Przyjaciele cisnęli się do niego, ściskali mu ręce, wieszowali, a Billsona zbito z tropu wrogimi okrzykami i nie

pozwolono mu dojść do słowa. Przewodniczący stukał bez przerwy młotkiem w stół nie przestając wołać:

– Ależ pozwólcie skończyć, dżentelmeni, pozwólcie nam skończyć!

W końcu, gdy już udało się doprowadzić salę do pewnego spokoju, odezwał się kapelusznik:

– Co tu jest do kończenia, mój panie, prócz wręczenia pieniędzy?

Głosy: Racja! Racja! Naprzód, Wilson!

Kapelusznik: Wznoszę trzy okrzyki na cześć Wilsona, symbolu tej znamiennej cechy, która...

Okrzyki zagłuszyły jego słowa. Przy ich dźwięku, a także przy dźwięku młotka uderzającego w stół, znaleźli się entuzjaści, którzy usadowili Wilsona na swych barkach i w triumfalnym orszaku zamierzali go wnieść na estradę. Ale nagle głos przewodniczącego zapanował nad hałasem.

– Porządek! Na miejsca! Zapominacie, że został jeszcze jeden dokument do odczytania, Gdy cisza została przywrócona, wyjął dokument i już miał rozpocząć czytanie, gdy przypomniał sobie coś i odłożył go z powrotem.

– Zapomniałem – rzekł – najpierw mam odczytać wszystkie doręczone listy, a potem dopiero to.

Wyciągnął z kieszeni kopertę, wyjął z niej arkusik papieru, przebiegł go wzrokiem, wydawał się zdziwiony, podniósł go do oczu, utkwiał w nim wzrok i wpatrywał się weń uparcie...

Dwadzieścia czy trzydzieści głosów zawołało:

– Co to znaczy? Czytać! Czytać!

Przeczytał powoli i z namaszczeniem:

– „Uwaga, jaką uczyniłem nieznanemu (Głosy: Halo! Coś nowego!), była następująca: «Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem... (Głosy: O rany!) Idź i popraw się.»” (Głos: Trzymajcie mnie!) Podpisał Pinkerton, bankier.

Zapanowała taka orgia wesołości, że najrozsądniejsi nawet płakali. Ci, których nie rozbolewały jeszcze boki, śmieli się tak, że łzy spływały im po policzkach; reporterzy wijąc się w konwulsjach i rycząc stawiali takie hieroglify, że nikt w świecie nie zdołałby ich odczytać; jakiś śpiący pies wyskoczył z kąta, dostał pomieszania zmysłów i szczekał jak oszalały. Najrozmaitsze okrzyki przerywały ten hałas.

– Bogacimy się! Dwa symbole nieskazitelności! Nie licząc Billsona!

– Trzy! Wlicz Śledziobrzusia, nigdy nie będzie tego za wiele! Dobra! Wilson wybrany! Niestety, biedny Wilson!

Ofiara dwóch złodzieiów!

Potężny głos: Spokój! Przewodniczący wyłowił jeszcze jakąś rybę ze swej kieszeni!

Głosy: Hura! Czy to coś świeżego? Przeczytać! Czytać! Czytać!

Przewodniczący (czytając): „Uwaga, jaką uczyniłem etc. «Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem. Idź etc.»” Podpisano Gregory Yates.

Ogłuszający chór głosów: Cztery symbole! Hura, Yates ! Łówmy dalej!

Zebrani, porwani wielkim wybuchem wesołości, chcieli wyczerpać do dna komizm sytuacji. Kilku członków „dziewiętnastki” białych i zrozpaczonych wstało i zaczęło sobie torować drogę ku wyjściu, ale wnet podniosły się okrzyki:

– Drzwi! Drzwi, zamknąć drzwi. Ani jeden nieskazitelny nie opuści tej sali! Niech wszyscy siadą!

Rozkazu usłuchano.

– Łowić dalej! Czytać, czytać! Przewodniczący wyciągnął z kieszeni jeszcze jeden list i raz jeszcze dobrze znajome słowa padły z jego ust:

– „Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem.”

- Nazwisko! Nazwisko! Jakie nazwisko?
- Ingoldsby Sargent.
- Pięciu wybranych, gromadźmy symbole! Dalej! Dalej!
- „Daleko ci do tego, abyś...”
- Nazwisko! Nazwisko!
- Nicolas Whitworth.

Cieszymy się wszyscy wraz,
Na symbole przyszedł czas.

– zawodził ktoś na znaną śliczną melodię z *Mikada*. Melodyjkę podchwyciono natychmiast i ktoś inny ciągnął dalej na nutę: „Gdy przed ładną panienką obleci cię strach.” Cała sala huczała radością, a jakiś spryciarz w samą porę dostarczył następnego wiersza: „Zapamiętaj sobie to.”

Sala zaczęła wyć. Natychmiast znalazła się następna piosenka:

Nasz świetny gród
Symbolów ma w bród.

Sala zaintonowała i ten dwuwiersz także. Gdy przebrzmiała nareszcie ostatnia nuta, rozległ się wysoki, czysty głos Jacka Hallidaya, intonujący wiersz końcowy. Odśpiewano go z płomiennym entuzjazmem. Potem rozbawione zebranie zaczęło od początku i czterokrotnie powtórzyło cały czterowiersz z niesłychanym hukiem i wrzaskiem i zakończyło go potwornym, miażdżącym „hura” na cześć „nieskazitelnego Hadleyburga i jego wszystkich symbolów, które uznane będą dzisiejszego wieczoru za godne tego tytułu”.

Po czym znów ze wszystkich stron zaczęto wołać na przewodniczącego:

- Dalej! Dalej! Czytać! Czytać dalsze listy! Przeczytać wszystkie, jakie macie!
- Tak, tak! Czytać dalej! Zdobywamy sobie wieczną sławę!

Kilkunastu mężczyzn wstało i zaczęło protestować. Powiedzieli, że kawał ten był sprawką jakiegoś niefortunnego żartownisia i że jest obelgą dla całej gminy. Bez wątplenia wszystkie te podpisy są podrobione.

– Siadać! Siadać! Zamknąć twarz! To jest wyzwanie! Znajdziemy i wasze nazwiska w kolekcji!

- Panie przewodniczący! Ile takich kopert ma pan jeszcze?
- Razem z tymi, które już otworzyliśmy, jest ich dziewiętnaście.

Odpowiedział mu huragan drwiących oklasków.

– Być może – ciągnął – że wszystkie zawierają tajemnicę. Stawiam wniosek, aby otworzyć je i odczytać podpisy złożone pod uwagami. A także, żeby odczytać pierwsze osiem słów każdej uwagi.

- Zastosować się do wniosku!

Wniosek uchwalono wśród nieopisanego zgiełku.

A potem wstał biedny, stary Richards. Żona jego też podniosła się z krzesła i stanęła przy nim. Głowę opuściła na piersi, żeby nikt nie mógł zobaczyć, że płacze. Mąż podał jej ramię i podtrzymując ją zaczął mówić drżącym głosem:

– Przyjaciele, znaliście nas dwoje – Mary i mnie – i zdaje mi się, że lubiliście nas i szanowali...

Przewodniczący przerwał mu.

– Niech pan pozwoli. To, co pan mówi, jest zupełną prawdą, panie Richards. W samej rzeczy miasteczko zna was oboje, lubi was i szanuje; więcej nawet: cześci i kocha!

W tym miejscu wyrwał się głos Hallidaya:

– Oto prawda w dobrym gatunku! Jeżeli przewodniczący ma rację, to niech sala potwierdzi słowa jego przez powstanie i aklamację. Wstawać! A teraz wszyscy razem: Hip! hip! Hura!

Sala wstała jak jeden mąż. Wszyscy natychmiast odwrócili się ku parze starszków, otoczyła ich ze wszystkich stron istna zamieć śnieżna z powiewających chusteczek, zewsząd brzmiały najserdeczniejsze okrzyki na ich cześć.

Po czym przewodniczący zabrał głos:

– Oto co chciałem wam zakomunikować. Znamy serce pana, panie Richards, lecz nie czas teraz na okazywanie litości przestępcom. (Okrzyki: Racja! Racja!) Czytam na twarzy pana jego szlachetne zamiary, ale nie mogę pozwolić, aby pan bronił sprawy tych ludzi.

– Ale ja miałem, właśnie...

– Proszę, niech pan zajmie swoje miejsce, panie Richards. Musimy zbadać zawartość pozostałych kopert. Wymaga tego prosta sprawiedliwość względem ludzi, których zdemaskowaliśmy dotychczas. Jak tylko z tym skończymy, damę panu moje słowo, że wysłuchamy pana.

Liczne głosy: Racja! Przewodniczący ma rację, nie pozwolimy teraz na żadne przerwy! Czytać dalej! Nazwiska! Nazwiska! Zgodnie z warunkiem wniosku!

Para starszków, zbита z tropu, siadła z powrotem, a mąż szepnął do ucha żonie:

– Jakże okropnie ciężko jest czekać! Wstyd będzie sto razy większy, gdy się dowiedzą, że chciałem bronić n a s s a m y c h .

Podczas odczytywania nazwisk wesołość wybuchła na nowo.

– „Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem.” Podpisano Robert T. Titmarsh.

– „Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem.” Podpisano Eliphelet Weeks.

– „Daleko ci do tego, abyś był złym człowiekiem.” Podpisano Oscar B. Wilder.

W tym miejscu zebrany błysnęła nowa myśl. Postanowili, że będą sami odczytywać owe osiem sakramentalnych słów. Przewodniczący był im za to raczej wdzięczny. Od tej chwili podnosił kolejno każdy arkusik papieru i czekał.

Sala chórem wyśpiewywała owe osiem słów miarowo skandując i kończąc na nutę znanej kantyczki:

– Dale–e–ko ci do te–e–go, a–a–byś był złym czło–o–wie–e–kiem!

A przewodniczący dodawał:

– Podpisano Archibald Wilcox. – I tak dalej, i tak dalej, nazwisko za nazwiskiem, wszyscy bawili się coraz lepiej, coraz wspanialej, prócz nieszczęsnych dziewiętnastu. Od czasu do czasu, gdy wywołano szczególnie świetne nazwisko, sala kazała przewodniczącemu czekać, póki nie wyśpiewa całego tekstu słów wypowiedzianych przez tajemniczego dobroczyńcę od początku do końca.

– „Pójdiesz do piekła albo też do Hadleyburga. A staraj się trafić do tego pierwszego.”

W tych specjalnych wypadkach dodawano jeszcze długie, męczące, imponujące: „A–a–a–amen.”

Listów ubywało, ubywało, ubywało, biedny stary Richards rachował je wszystkie, podskakiwał, ilekroć wymawiano nazwisko przypominające jego własne, i czekał w męczącej niepewności na nieuniknioną chwilę, w której skorzysta z upokarzającego przywileju, żeby wstać ze swoją Mary i dokończyć obrony, którą zamierzał wypowiedzieć tymi słowy:

„...bo dotychczas nie zrobiliśmy nigdy nic złego i kroczyliśmy nienagannie naszą skromną drogą. Jesteśmy bardzo biedni i starzy i nie mamy dzieci ani nikogo, kto by nam dopomógł. Poddano nas srogiej pokusie i upadliśmy. Kiedy za pierwszym razem wstałem, aby wam wyznać prawdę, chciałem was błagać, abyście nie odczytywali mego nazwiska publicznie w tym miejscu, bo wydawało nam się, że nie wytrzymamy tego wstydu. Ale uniemożliwiono nam to. I słusznie. Powinniśmy cierpieć razem z innymi. Ciężki to był cios. Po raz pierwszy w życiu nazwisko nasze padło z czyichś ust zbrukane.

Bądźcie litościwi przez wzgląd na nasze lepsze dni, w miarę miłosierdzia waszego sprawcie, aby wstyd nasz nie był taki ciężki do dźwignia.”

W tym miejscu zadumę jego przerwała Mary; trąciła go lekko łokciem, zauważywszy, że jest na wpół przytomny.

– Bądź gotów – szepnęła. – Teraz padnie twoje nazwisko, odczytał już osiemnaście.

Śpiew skończył się.

– Następny! Następny! Następny! – leciały okrzyki ze wszystkich stron sali.

Burgess włożył rękę do kieszeni. Para starszków drżąc zaczęła wstawać. Burgess przez chwilę grzebał w kieszeni, a potem powiedział:

– Okazuje się, że przeczytałem już wszystkie.

Na pół omdlała z radości i zdumienia para starszków opadła na krzesła. Mary wyszeptała:

– Ach, chwała Najwyższemu, jesteśmy ocaleni! On zgubił nasz... Ach, nie oddałabym tego za sto takich worków!

Zgromadzeni uznali za stosowne zaintonować z hałasem trawestację z *Mikada*, prześpiewali ją trzy razy z coraz większym entuzjazmem i wstali z miejsc, gdy po raz trzeci doszło do końcowego wiersza, dodając na zakończenie trzy głośne „hura” na cześć nieskazitelnosci miasta Hadleyburga i jego osiemnastu nieśmiertelnych przedstawicieli.

A potem znów wstał Wingate, siodlarz, i zaproponował, aby wznieść okrzyki na cześć „najuczciwszego człowieka w mieście”, jedyne go spośród czołowych obywateli, który nie próbował ukraść pieniędzy – Edwarda Richardsa.

Wzniesiono okrzyki z wielką, wzruszającą serdecznością. Następnie ktoś poddał myśl, aby Richardsa mianować „Jedynym Strażnikiem i Symbolem Świętej Odtąd Tradycji Hadleyburga z prawem patrzenia całemu drwiącemu światu prosto w twarz”.

Wniosek przyjęto przez aklamację, po czym znów odśpiewano *Mikada*.

Potem nastąpiła pauza.

Głos: No, a teraz kto dostanie worek?

Garbarz (z gorzką ironią): To nic trudnego. Pieniądze trzeba rozdzielić między osiemnastu nieskazitelnych. Każdy dał nieszczęśliwemu cudzoziemcowi po dwadzieścia dolarów i powiedział doń kilka słów. Każdy po kolei. Dwadzieścia dwie minuty trwało więc, zanim przeszła cała procesja. Zbiórka na cudzoziemca wynosiła ogółem trzysta sześćdziesiąt dolarów. Ofiarodawcy domagają się teraz zwrotu pożyczki plus procent, razem czterdzieści tysięcy dolarów.

Liczne głosy (drwiąco): To, to właśnie! Tam do diaska!

Bądźcie dobrzy dla ubogich! Nie każcie im czekać na jałmużnę!

Przewodniczący: Porządek! Przedstawiam wam teraz pozostały dokument nieznanego. Oto co głosi: „Gdyby żaden pretendent nie zjawił się (Wielki chór westchnień.), życzę sobie, aby otworzono worek i pieniądze oddano najpoważniejszym obywatelom miasta. Oddaję im je w zaufaniu (Okrzyki: Ach! Ach!), aby zużyli je w sposób, jaki uznają za najlepszy, w celu rozpowszechniania i umacniania szlachetnej reputacji, jaką cieszy się wasza gmina. (Więcej okrzyków.) Nazwiska ich i wysiłki dodadzą tej reputacji nowego, świetnego blasku.” (Entuzjastyczny wybuch sarkastycznych oklasków.) Zdaje się, że to wszystko. Nie, jest jeszcze postscriptum.

Postscriptum: „Obywatele Hadleyburga! Nie ma żadnej uwagi, która miała na celu wypróbować was. (Wielka sensacja.) Nie było żadnego biednego cudzoziemca, żadnego datku dwudziestu dolarów. Nie towarzyszyło mu żadne błogosławieństwo ani też dobre słowo – wszystko to jest zmyślane. (Ogólny rumor, szmer zdumienia i szalonej radości.) Pozwólcie, że opowiem w kilku słowach moją historię. Pewnego razu przechodząc przez wasze miasto zostałem niezасłużenie głęboko obrażony. Każdy inny na moim miejscu zadowoliliby się zabiciem jednego lub dwu spośród was i uważałby całą rzecz za załatwioną. Ale dla mnie zemsta taka była zbyt trywialna i niedostateczna. Bowiem umarli nie cierpią. Poza tym

nie mogłem przecież zabić was wszystkich, a zresztą nawet i to nie zadowoliliby człowieka mego pokroju. Chciałem zrobić krzywdę każdemu mężczyźnie w tym mieście i każdej kobiecie, nie godząc ani w ich ciała, ani w majątek, ale właśnie w próżność. W to najczulsze miejsce ludzi słabych i głupich.

W tym celu powróciłem tu w przebraniu i starałem się was poznać. Łatwo was było rozgryźć. Mielście od dawna ustaloną reputację uczciwości i oczywiście chełpiliście się nią. Była najcenniejszym klejnotem waszego skarbcza, żrenicą waszych oczu. Gdy tylko odkryłem, jak czujnie strzeżecie siebie samych i dzieci waszych przed wszelką pokusą, wiedziałem już, jak postąpić z wami. Nie rozumielście, prostaczkowie, że ze wszystkich rzeczy słabych najslabsza jest cnota, która nie przeszła próby ogniowej. Naszkicowałem sobie plan i ułożyłem listę osób. Zamiarem moim było zdemoralizować Hadleyburg. Chciałem zrobić łgarzy i złodziejów z blisko pół setki mężczyzn i kobiet nieposzlakowanej uczciwości, którzy w całym swoim życiu nie powiedzieli kłamstwa i nie ukradli jednego grosza. Lękałem się Goodsona. Nie był on urodzony ani wychowany w Hadleyburgu. Lękałem się, że gdy tylko przystąpię do wykonania moich planów i w tym celu prześlę wam listy, natychmiast powiecie sobie: Goodson jest spośród nas wszystkich jedynym człowiekiem, który mógł dać dwadzieścia dolarów biednemu łajdaczynie. I być może nie połknęlibyście przynęty.

Ale Najwyższy powołał do siebie Goodsona. Wtedy poczułem się bezpieczny. Przygotowałem więc pułapkę i zastawiłem ją. Być może nie uda mi się schwytać tych wszystkich, którym przesłałem domniemaną treść wypowiedzianego zdania, lecz, o ile znam Hadleyburg, to większość z nich wpadnie. (Głosy: Racja! Ma ich aż do ostatniego!) Wierzę, że raczej skradną pieniądze, choć niewątpliwie pochodzą z hazardu, aniżeliby mieli przepuścić tak świetną okazję. Biedne, uwiedzione, zakłamate kreatury! Mam nadzieję, że raz na zawsze zmiążdżę waszą próżność i że wyrobię Hadleyburgowi nową reputację – taką, która przylgnie do was i rozniesie się daleko. Jeżeli mi się to uda, otwórzcie worek i powołajcie komitet do celów propagandy i zachowania reputacji Hadleyburga.”

Huragan głosów: Otworzyć go! Otworzyć! Osiemnastka niech wystąpi naprzód! Komitet propagandy tradycji! Naprzód, nieskazitelni!

Przewodniczący szeroko rozpruł worek i nabrał w dłońe świecących, dużych złotych talarków, brzęknął nimi, przyjrzał im się z bliska.

– Przyjaciele, to są pozłacane krążki miedziane!

Nowina ta wywołała grzmiący wybuch szalonego śmiechu, a gdy hałas przycichł, garbarz zawołał:

– Prawem oczywistego pierwszeństwa mianuje się w tym interesie przewodniczącym Komitetu Propagandy Tradycji pana Wilsona. Proponuję, aby wystąpił w imieniu swoich kolegów i abyśmy mu pieniądze powierzyli.

Sto głosów: Wilson! Wilson! Wilson! Mowa! Mowa!

Wilson (głosem drżącym ze złości): Pozwólcie, że powiem, nie przepraszając za wyrażenie: „Niech wszyscy diabli porwą te przeklęte pieniądze!”

Głos: I to mówi on, baptysta!

Głos: Pozostałe siedemnaście symboli! Powstańcie, dżentelmeni, i przyjmijcie to, co dajemy wam w zaufaniu.

Cisza. Nikt nie odpowiedział.

Siodlarz: Panie przewodniczący, pozostał nam w każdym razie jeden czysty człowiek spomiędzy dawnej arystokracji. Potrzebne mu są pieniądze i zasłużył na nie. Proponuję, aby pan zavezwał Jacka Hallidaya do sprzedania drogą przetargu tego worka pozłacanych krążków miedzianych i aby to, co otrzyma ze sprzedaży, oddał właściwemu człowiekowi, temu, którego Hadleyburg otoczy należną mu czcią – Edwardowi Richardsowi.

Wniosek przyjęto z powszechnym entuzjazmem, a pies wziął w nim znowu udział. Siodlarz naznaczył cenę wyjściową: dolara. Mieszkańcy Brixton i przedstawiciele Barnum

walczyli ze sobą zawzięcie. Zebrani witali okrzykami podnoszenie się zgłaszanych sum. Z każdą chwilą podniecenie rosło. Licytujący, rozgorączkowani, coraz byli śmielsi, coraz bardziej zażarci. Cena z dolara skoczyła do pięciu, potem do dziesięciu, do dwunastu, do dwudziestu, potem do stu, potem...

Na początku licytacji Richards w najwyższej rozterce szepnął żonie:

– Ach, Mary! Czyż możemy na to pozwolić? Przecież to... to ma być nagroda za uczciwość, świadectwo czystości charakteru, a... a... a... i czy my możemy na to pozwolić? Czy nie zrobiłbym lepiej wstając... i, ach, Mary, co robić? Jak myślisz? Czy powinniśmy...

Głos Hallidaya: Piętnaście już dają! Piętnaście za worek! – dwadzieścia! – a dziękuję! – trzydzieści – bardzo dziękuję! Trzydzieści, trzydzieści, trzydzieści – kto powiedział czterdzieści? – tak jest, czterdzieści. Trzymajcie kulkę w obiegu, dżentelmeni! Trzymajcie w obiegu! – pięćdziesiąt – dziękuję wam, szlachetni Rzymianie! – po raz pierwszy pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt! – siedemdziesiąt – dziewięćdziesiąt! – wspaniale! – sto! – nie dajcie się! – nie dajcie! – sto dwadzieścia – czterdzieści – w sam czas! – sto pięćdziesiąt – d w i e s e t k i ! – cudownie! Czy słyszę dwieście pięćdziesiąt? Dzięki! Dwieście pięćdziesiąt!

– Edwardzie, oto nowa pokusa! Drzę cała, lecz, ach, udało nam się uniknąć skutków jednej pokusy i powinno to być dla nas ostrzeżeniem.

– Kto powiedział sześć? – dziękuję! – sześćset pięćdziesiąt! sześćset pięć – s i e d e m s e t !

– A jednak, Edwardzie, kiedy pomyślę, że nikt nawet nie przypuszcza...

– Osiemset dolarów! – hura! – zróbcie tak, żeby było dziewięć! Czy to pan powiedział, panie Parsons? – dziękuję! dziewięć! – ten wspaniały worek dziewięciu, ołowianych dukatów tylko za dziewięćset dolarów ze złoceniem włącznie! – proszę bardzo, czy słyszałem tysiąc? – wdzięczny sługa pani! – Kto powiedział tysiąc sto? – za worek, który będzie najślawniejszy w całych Stanach Zjednoczonych!

– Ach, Edwardzie (łkanie), jesteśmy t a c y biedni! Ale... ale zrób tak, jak uważasz, że będzie najlepiej.

Edward czuł... nie, siedział spokojnie. Sumienie jego nie było zadowolone, ale zwyciężone przez okoliczności.

Przez cały ten czas z żywym zainteresowaniem i z wyraźnym zadowoleniem jakiś nieznajomy wyglądający na detektywa-amatora, który przebrał się za angielskiego lorda z nieprawdziwego zdarzenia, śledził wszystkie etapy tej sprawy. Gadał sam do siebie po cichu. Mruczał coś w tym guście:

– Żaden z osiemnastu nie licytuje. Nie jest to zadowalające widowisko. Trzeba będzie to zmienić. Tego wymaga jedność dramatyczna. Powinni kupić worek, który próbowali ukraść. I w dodatku słono za niego zapłacić. Niektórzy z nich są przecież bogaci. A co najważniejsza, człowiek, który na tym ucierpiał, jeżeli pomyliłem się w ocenie Hadleyburga, musi mieć prawo do wysokiego odszkodowania. Ktoś je musi zapłacić. Ten biedny, stary Richards podważył mój wyrok. Jest on uczciwym człowiekiem. Nie pojmuję tego, ale muszę to uznać. Tak, on przejrzał moje „trzy karty” swoim uczciwym wzrokiem i pula słusznie mu się należy. A jeżeli mi się tylko uda, będzie to pula królewska. Przez niego spotkało mnie rozczarowanie, ale mniejsza o to.

Śledził licytację. Na tysiącu przetarg utknął. Stawki zaczęły szybko spadać. Najpierw odpadł jeden licytujący, potem drugi i jeszcze jeden. Nieznajomy czekał śledząc bacznie przebieg wydarzeń. Z kolei on ze dwa razy podbił cenę. Kiedy stawki opadły do dziesięciu dolarów, dodał pięć, ktoś przelicytował go o trzy, przeczekał chwilę, po czym skoczył na pięćdziesiąt dolarów i w ten sposób worek przeszedł w jego posiadanie. Dom zagrzmiał od okrzyków i ucichł, nieznajomy bowiem powstał i podniósł rękę. Zaczął mówić:

– Pragnę powiedzieć słówko i poprosić was o przysługę. Zajmuję się handlem osobliwościami i na całym świecie mam stosunki z ludźmi interesującymi się numizmatyką. Na zakupie tym mogę mieć duży zysk sprzedając go tak, jak stoi, ale znalazłem sposób –

jeżeli uzyskam wasze zezwolenie – by każda taka miedziana sztuka osiągnęła swą cenę w złocie, a może ją nawet przekroczyła. Zapewnijcie mi tę zgodę, a ja część zysków oddam waszemu Richardsowi, którego nieskazitelną uczciwość uznaliście tak sprawiedliwie i serdecznie dzisiaj wieczoru; udziałem jego stanie się dziesięć tysięcy dolarów, którą to sumę wręczę mu jutro. (Wielkie brawa na sali.)

Lecz nieskazitelna uczciwość przyprawiła Richardsów o gorące rumieńce. Jednakże uznano je za skromność i dlatego nie zaszkodziły im wcale.

– Jeżeli propozycję moją przyjmiecie absolutną większością głosów – ciągnął dalej nieznajomy – a chciałbym uzyskać dwie trzecie głosów, to uznam to za zgodę całego miasta, a ona mi zupełnie wystarcza. Otóż cenę osobliwości podnoszą zawsze interesujące napisy. Jeżeli więc otrzymam wasze pozwolenie na wybicie na każdym z tych osiemnastu talarków nazwisk dżentelmenów, którzy...

Dziewięć dziesiątych audytorium wraz z psem błyskawicznie zerwało się na równe nogi.

Propozycję przyjęto huraganem okrzyków i śmiechu. Gdy usiedli, wszystkie symbole, z wyjątkiem „doktora” Clay Harknessa, wstały i gwałtownie zaprotestowały przeciwko obrażającej ich propozycji, grożąc, że...

– Tylko proszę bez pogroźek – rzekł spokojnie nieznajomy. – Wiem, do czego mam prawo, i nie mam zwyczaju lękać się hałasów. (Oklaski.)

Nieznajomy usiadł. „Doktor” Harkness uznał, że nadeszła dla niego odpowiednia pora. Był on jednym z dwu najbogatszych ludzi w miasteczku; drugim był Pinkerton. Harkness był posiadaczem patentu na popularne lekarstwo. Kandydował do rady z jednej listy, a Pinkerton z drugiej. Był to między nimi wyścig zażarty, zajadły i z każdym dniem gorętszy.

Obydwaj znani byli z uczciwości. Obaż zakupili wielkie połacie ziemi w jednym i tym samym celu. Ponieważ zabierano się właśnie do budowy nowej linii kolejowej, każdy z nich chciał dostać się do rady miejskiej i tam czynić starania, aby linia kolejowa przechodziła w korzystnym dla niego miejscu.

Wszakże jeden głos mógł przechylić szalę, a wraz z nią dwa lub trzy majątki na stronę któregoś z nich. Ryzyko było wielkie, ale Harkness był odważnym spekulantem. Siedział przy nieznajomym.

W czasie gdy ten czy ów symbol zabawiał salę protestami, on zapytał szeptem:

– Ile pan żąda za ten worek?

– Czterdzieści tysięcy dolarów.

– Dam panu dwadzieścia.

– Nie.

– Dwadzieścia pięć.

– Nie.

– Powiedzmy, trzydzieści.

– Cena wynosi czterdzieści tysięcy dolarów, ani grosza mniej.

– Dobrze. Dam ją. Przyjdę do hotelu o dziesiątej z rana. Nie chcę, aby o tym wiadano.

Chcę porozumieć się prywatnie.

– Dobrze.

Po czym nieznajomy podniósł się z miejsca i oznajmił zebrany:

– Uważam, że jest raczej późno. Przemówienia tych dżentelmenów niewątpliwie nie są pozbawione sensu i dowcipu; wybaczcie mi jednak, jeżeli się oddalę. Dziękuję wam za przysługę, jaką mi oddaliście zgadzając się na moją prośbę. Zwracam się do przewodniczącego z prośbą o przechowanie mego worka do jutra i o wręczenie tych oto trzech banknotów po pięćset dolarów panu Richardsowi. (Banknoty podano przewodniczącemu.) O dziesiątej zgłoszę się po worek, a o jedenastej wręcę panu Richardsowi to, czego brakuje do dziesięciu tysięcy dolarów, osobiście u niego w domu. Dobranoc państwu.

Potem nieznajomy opuścił salę. Szalony hałas, który nie ustał ani na chwilę, składał się z mieszaniny okrzyków, melodii z *Mikada*, wycia psa i hymnu: „Daleko ci do te-e-go, żebyś był złym człowie-e-kiem. A-a-men!”

IV

W domu Richardsowie musieli znosić cierpliwie powinszowania i komplementy, co trwało do północy.

Zostali sami. Byli smutni. Siedzieli milcząco i zamyśleni, wreszcie Mary rzekła z westchnieniem:

– Czy sądzisz, Edwardzie, że zasłużyliśmy na naganę, na srogą naganę?

Oczy jej powędrowały ku trzem banknotom. Leżały na stole, gdzie jeszcze przed chwilą z szacunkiem dotykały ich pożądliwe palce gości. Edward nie kwapił się z odpowiedzią, aż wreszcie westchnął głęboko i rzekł drżącym głosem:

– Nie, nie było na to rady, Mary. Był to, no tak, był to nakaz z góry. We wszystkich rzeczach jest nakaz z góry.

Mary podniosła oczy i patrzyła na niego długo, ale on nie odpowiedział jej spojrzeniem.

– Myślałam – powiedziała – że powinszowania i pochwały zawsze sprawiają przyjemność człowiekowi. A teraz wydaje mi się, Edwardzie...

– No co?

– Czy zamierzasz pozostać w banku?

– N-nie.

– Zgłosić dymisję?

– Rano, listownie.

– Tak będzie chyba najlepiej.

Richards skrył głowę w dłoniach i wyszeptał:

– Dotychczas przez moje ręce przechodziły pieniądze całych rzesz ludzkich i nie lękałem się tego, ale teraz, Mary, jestem tak bardzo, tak bardzo zmęczony.

– Pójdźmy już spać.

O dziewiątej rano nieznajomy zgłosił się po worek i powozem zawiózł go do hotelu.

O dziesiątej Harkness miał z nim prywatną rozmowę.

Nieznajomy zgodnie ze swoim żądaniem otrzymał pięć czeków na jeden z banków stołecznych do wypłaty „okazicielowi” – cztery po 1500, a jeden na 34 000 dolarów. Jeden schował do swego notesu, a pozostałe, przedstawiające wartość 38 500 dolarów, włożył do koperty i dołączył do nich kartkę napisaną po odejściu Harknessa. O jedenastej był już w domu Richardsów i pukał do ich mieszkania.

Pani Richards przyjrzała mu się przez okiennice, potem podeszła do drzwi i odebrała kopertę. Nieznajomy ulotnił się nie powiedziawszy słowa.

Powróciła z wypiekami na twarzy chwiejąc się na nogach i wybełkotała z trudem:

– Jestem pewna, że to on! Wczoraj wieczorem wydawało mi się, że musiałam go już chyba kiedyś widzieć!

– Czy on jest tym człowiekiem, który przyniósł tu worek?

– Jestem tego prawie pewna.

– W takim razie nie ulega wątpliwości, że jest on także owym Stephensonem, który swoim złodziejskim sekretem nabrał obywateli naszego miasta. A i teraz, jeżeli przysyła чеки zamiast pieniędzy, to czyni to po to, żeby nas nabrać, podczas gdy my uważamy się za szczęśliwie ocalonych. Po całonocnym odpoczynku czułem się znów prawie dobrze, ale widok tej koperty przyprawia mnie o chorobę. Ona nie jest dość gruba. 8500 dolarów nawet w najcieńszych banknotach zajęłoby więcej miejsca.

– Edwardzie, co masz przeciwko czekom?

– Czeki podpisane przez Stephensona! Zgadza się przyjąć te 8500 dolarów, jeżeli je otrzymam w banknotach, ponieważ takie było widać zrządzenie Opatrzności, ale nigdy nie miałbym dość odwagi, aby zdobyć się na czelność zdyskontowania czeku podpisanego tym złowieszczym nazwiskiem. Byłaby to pułapka. Ten człowiek próbował już mnie złapać; udało nam się wymknąć tak czy inaczej, więc teraz próbuje z innej beczki. Jeżeli tam są czeki...

– Ach, Edwardzie. To jest zbyt smutne! – pokazała mu czeki i rozplakała się.

– Wrzuć je do ognia! Prędko! Nie dopuścimy do siebie pokusy. To kawał zrobiony po to, aby świat śmiał się z nas tak jak i z tamtych. Daj je mnie, jeżeli sama nie możesz tego zrobić!

Chwycił je i zamierzał zmiąć w garści, dopóki nie podszedł do pieca. Ale był tylko człowiekiem, był kasjerem, więc zatrzymał się na chwilę, żeby obejrzeć podpis. Gdy spojrział, omal nie zemdlął.

– Powachluj mnie, Mary, powachluj! One warte są tyle co złoto!

– Ach, jak to pięknie, Edwardzie. A dlaczego?

– Podpisane przez Harknessa. Jaka tajemnica kryje się w tym, Mary?

– Edwardzie, czy myślisz, że...

– Spójrz tutaj. – Patrz na to! Piętnaście... piętnaście... trzydzieści cztery... trzydzieści osiem, tysięcy pięćset...

– Mary, ten worek nie jest wart dwunastu dolarów, a Harkness najwidoczniej zapłacił zań tyle co za złoto.

– I myślisz, że to wszystko przeznaczone dla nas zamiast tamtych dziesięciu tysięcy?

– No, tak przynajmniej wygląda. A także czeki wydane są na okaziciela.

– Czy to tak dobrze, Edwardzie? Po co tak zrobili?

– Dają nam do zrozumienia, żeby podjąć sumę w jakimś odległym banku, tak sędzę. Może Harkness nie chce, aby o tej sprawie wiadano. A to co? Kartka?

– Tak, była w kopercie razem z czekami. Skreślona „Stephensonowskim” charakterem pisma, kartka nie była podpisana. Oto jej treść:

„Jestem człowiekiem rozczarowanym. Uczciwość pańska jest niedostępna dla pokusy. Miałem inny pogląd na tę sprawę, czym skrzywdziłem pana, za co przepraszam z całą szczerością. Szanuję pana – i to także jest szczerze. Miasteczko nie jest godne całować kraju pańskiej szaty. Kochany panie! Założyłem się sam ze sobą, że w waszym zarozumiałym społeczeństwie znajdę dziesięć ludzi, których można zdemoralizować. Przegrałem. Przyjmij całą sumę, masz do niej pełne prawo.”

Richards westchnął głęboko.

– Pali mnie to, jak gdyby było pisane ogniem – powiedział. – Mary, czuję się znów nędznikiem.

– I ja także. Ach, drogi mój, chciałabym...

– I pomyśleć, Mary, że on we mnie wierzy.

– Edwardzie, przestań, nie mogę już wytrzymać.

– Za to, żeby zasłużyć na te piękne słowa – a Bóg świadkiem, wierzyłem kiedyś, że zasługuję na nie – oddałbym chyba te czterdzieści tysięcy dolarów. A list ten, jako coś droższego niż złoto i klejnoty, zachował bym na zawsze. Ale teraz? Nie moglibyśmy żyć z tym wiecznym dowodem oskarżenia, Mary.

Wrzucił go w ogień.

W tej chwili wszedł posłaniec i oddał kopertę. Richards otworzył ją, wyjął z niej kartkę i zaczął czytać. List pochodził od Burgessa.

„W ciężkiej dla mnie sytuacji uratowałaś mnie. A ja uratowałem ciebie wczoraj wieczorem, chociaż za cenę kłamstwa. Jednak poświęcenie to uczyniłem z całego wdzięcznego serca. Nikt w całym miasteczku nie wie tak dobrze jak ja, że jesteś dzielny, dobrym i szlachetnym człowiekiem. Wiem, że w gruncie rzeczy nie możesz mnie szanować

wiedząc to, co wiesz o sprawie, w której mnie posadzono i jednogłośnie potępiono. Proszę cię więc, zechciej przynajmniej wierzyć, że jestem wdzięcznym człowiekiem. Pomoże mi to dźwigać moje brzemię.

Burgess”

– Więc raz jeszcze uratowani! I dla takich powodów! – Wrzucił list w ogień. – Ja, ja nie chcę żyć. Wolę umrzeć, Mary, i wydostać się z tego wszystkiego.

– Gorzkie, gorzkie dni przyszły na nas, Edwardzie. Ciosy, które nam zadają, są tak głębokie i tak szybko następują po sobie...

Trzy dni przed wyborami każdy z dwu tysięcy wyborców niespodziewanie znalazł się w posiadaniu cennego żetonu pamiątkowego – jednego z osławionych, fałszywych dolarów. Z jednej strony wybito: „Słowa, które powiedziałem nieznanemu, były następujące”, zaś z drugiej: „Idź więc i popraw się.” (Podpisano:) „Pinkerton.” Tym sposobem to wszystko, co pozostało ze słynnego kawału, skrupiło się na jednej głowie. Skutek okazał się zgubny dla jej właściciela. Pinkerton stał się pośmiewiskiem całego miasta. Zwycięstwo Harknessa przy wyborach było zwykłym walkowerem.

Po upływie dwudziestu czterech godzin od otrzymania czeków sumienie Richardsów uspokoiło się nieco. Para starszków zaczęła godzić się ze swym grzechem. Ale wkrótce raz jeszcze mieli dowiedzieć się, że rzeczą nieodłączną od grzechu jest trwoga, iż grzech zostanie wykryty. Nadaje mu to specjalnie niepokojący charakter.

W kościele kazanie poranne nie odbiegało niczym od szablonu. Były to te same stare rzeczy, wypowiedziane w zwykły, stary sposób. Słyszeli je już tysiące razy, wydawały im się zawsze nieszkodliwe, prawie bez znaczenia – przyprawiały o senność.

Ale teraz było inaczej. Kazanie jeżyło się od oskarżeń, celowało prosto i specjalnie w ludzi ukrywających grzechy śmiertelne. Po nabożeństwie wymknęli się jak można najprędzej z tłoku. W pośpiechu zmierzali ku domowi, zmrożeni do szpiku kości czymś niezrozumiałym, nieuchwytnym, mglistym, jakimś nieokreślonym strachem. Przypadkiem na zakręcie ulicy dostrzegli przechodzącego szybko pastora Burgessa. Nie zwrócił uwagi na ich porozumiewawcze powitanie! Pastor nie widział ich wcale. Ale oni nie wiedzieli o tym. Co mógł oznaczać jego postępek? Może to znaczyć... może to znaczyć... ileż tu się mieści okropności! Byłoby możliwe, że wie, iż Richards przed laty mógł oczyścić go z winy? I spokojnie czekał na okazję, aby się z nim porachować? Po przybyciu do domu w swjej rozpacz wyobrazili sobie, że służąca mogła znajdować się w przyległym pokoju, podczas gdy Richards wyjawiał przed żoną tajemnicę niewinności Burgessa. A potem Richards przypomniał sobie, że słyszał w przyległym pokoju w tym czasie szmer sukni. Zawołał więc pod jakimś pretekstem Sarę i śledził grę jej twarzy: gdyby zdradziła ich przed pastorem Burgessem, można to będzie poznać po jej zachowaniu.

Zadawali jej pytania. Pytania niezręczne, luźne i pozornie bezcelowe. Dziewczyna była pewna, że starszkwowie zwariowali z nadmiaru szczęścia. Przy tym utkwili w niej wzrok tak ostry i badawczy, że przerażona służąca upewniła się w swych domysłach.

Zaczerwieniła się, zmieszła, zaczęła się kręcić niespokojnie, a dla starszków były to widoczne oznaki winy – jakiejś strasznej winy, takiej czy innej.

Tak, bez wątpienia, była ona szpiegiem i zdrajcą. Kiedy zostali sami, zaczęli wspólnie analizować różne nieomawiane dotąd rzeczy i z kombinacji swoich wysnuli okropne wnioski. Kiedy już doszli do najgorszego, Richards zaczął nagle mamrotać coś pod nosem. Przerażona Mary zapytała:

– Co to jest? Co się stało?

– List, list od Burgessa! Styl jego był ironiczny, widzę to teraz.

– „W gruncie rzeczy nie możesz mnie szanować, wiedząc to, co wiesz o sprawie, w której mnie posadzono.”

Ach, to przecież jasne! Niech mnie Pan Bóg ma w swojej opiece! On wie, że ja wiem! Widzisz chyba, jak zręcznie się wysłowił. Tak, to była pułapka, a ja jak głupiec dałem się w nią złapać, Mary...

– Ach, to straszne, wiem już, co chcesz powiedzieć. Że nie oddał ci twego listu z tym domniemanym rozwiązaniem.

– Nie. Zatrzymał go, żeby nas tym zniszczyć. Mary, on nas już wydał przed niektórymi ludźmi. Ja wiem o tym, dobrze wiem. Wyczytałem to z kilkunastu twarzy po wyjściu z kościoła. Ach, nie odpowiedział nam na porozumiewawcze skinienie głową, bo dobrze wiedział, co robi.

W nocy posłano po doktora. Rano rozeszła się wieść, że staruszkowie są poważnie chorzy. Doktor orzekł, że przyczyną choroby było wyczerpanie i podniecenie wywołane szczęściem, które ich spotkało, jak również nadmiarem powinszowań i brakiem snu. Rozpacz ogarnęła miasteczko. Nie zapominajmy, że para owych staruszków to było wszystko, co mu pozostało z dawnej dumy.

Po dwóch dniach nowiny były jeszcze gorsze. Staruszkowie wpadli w malignę i bredzili o dziwnych rzeczach. Według świadectwa pielęgniarki, Richards pokazywał czek nie na 8500 dolarów, lecz na zdumiewającą sumę 38 500 dolarów!

Jakie wytłumaczenie znaleźć dla tak niesłychanego, olbrzymiego szczęścia?

Następnego dnia pielęgniarki miały więcej zdumiewających nowin. A mianowicie postanowiły schować czek, aby im się nie stało nic złego, ale kiedy zaczęły ich szukać, okazało się, że zniknęły one spod poduszki pacjenta – ulotniły się po prostu. Pacjent powiedział:

– Zostawcie poduszki w spokoju. Czego szukacie?

– Myślałyśmy, że lepiej będzie czek...

– Nie zobaczycie ich więcej. Są zniszczone. Pochodziły od szatana. Widziałem na nich ognie piekielne. Przesłano mi je, żeby mnie zmusić do grzechu.

A potem zaczął bełkotać dziwne i straszne rzeczy, niejasne i niezrozumiałe, które doktor kazał pielęgniarce zachować w tajemnicy.

Richards powiedział prawdę: czeków nikt nigdy nie zobaczył.

Jedna z pielęgniarek musiała jednak mówić przez sen, bowiem po dwóch dniach majaczenia starca stały się własnością całego miasta. A były one istotnie zadziwiające. Wskazywały na to, że Richards był także jednym z pretendentów do worka i że Burgess najpierw ukrył, a potem podstępnie zdradził całą sprawę.

Burgess, nagabywany w tej sprawie, dumnie zaprzeczył. Powiedział, że nie należy przywiązywać wagi do słów starego i chorego człowieka, który postradał zmysły. Mimo to podejrzenie unosiło się w powietrzu i dużo było gadania na ten temat.

Po jednym czy po dwóch dniach, gdy doniesiono, że gorączkowe majaczenia pani Richards są powtórzeniem majaceń jej męża, podejrzenie zamieniło się w pewność i duma miasta, płonąca dotąd przed ołtarzem jedyne, nieskompromitowanego spośród luminary, zaczęła zmniejszać się i chwiać, bliska wygaśnięcia.

Minęło sześć dni i nadeszły nowe wiadomości. Staruszkowie byli umierający. Richards w ostatniej swojej godzinie odzyskał przytomność i posłał po Burgessa. Burgess wydał polecenie:

– Niech wszyscy opuszczą ten pokój. Zdaje się, że on pragnie mówić ze mną bez świadków.

– Nie – odrzekł Richards. – Chcę, aby byli świadkowie. Pragnę, abyście wszyscy wysłuchali mojej spowiedzi, abym mógł umrzeć jak człowiek, a nie jak pies. Byłem uczciwy, sztucznie uczciwy jak i wszyscy inni. I jak inni upadłem, gdy przyszła pokusa. Podpisałem się pod kłamstwem i ubiegałem się o worek. Pastor Burgess pamiętając, że wyświadczyłem mu niegdyś przysługę, z wdzięczności i nieświadomości schował mój list i uratował mnie.

Wiecie, o co oskarżono Burgessa przed wieloma laty. Moje i tylko moje świadectwo mogło go wtedy oczyścić z zarzutów, ale ja byłem tchórzem i pozwoliłem, aby cierpiał w pohańbieniu.

– Nie... Nie... panie Richards... pan...

– Służąca nasza zdradziła przed nim moją tajemnicę...

– Nikt, nikt nic nie zdradził przede mną...

– Wobec czego zrobił rzecz całkiem usprawiedliwioną i naturalną; pożałował, że ocalił mnie w swej dobroci, i wydał mnie. Zasługiwałem na to.

– Nigdy! Przysięgam, że...

– Z całego serca przebaczam mu.

Gorące protesty Burgessa objęły się o uszy, które nie mogły już słyszeć. Umierający skonał nie wiedząc, że raz jeszcze skrzywdził Burgessa. Jego stara żona umarła tej samej nocy.

Ostatni z czczonych dziewiętnastu padł ofiarą perfidnego worka. Miasto odarto z ostatnich strzępów dawnej chwały. Żałoba jego była głęboka, choć nie ostentacyjna.

Dzięki prośbom i petycjom udało się uzyskać akt parlamentu, mocą którego miasto Hadleyburg zmieniło nazwę (mniejsza o to, na jaką – nie wydam tajemnicy) i usunęło jedno słowo z dewizy, która przez liczne pokolenia zdobiła urzędową pieczęć miejską.

Po dawnemu uczciwość czuwa nad miasteczkiem i wcześniej musiałby zerwać się ten, kto by ją chciał przyłapać na drzemce.

Poprzednia dewiza:
I nie wódź nas na pokuszenie.

Nowa dewiza:
I wódź nas na pokuszenie.

PANI MCWILLIAMS I DYFTERYT

(Opowiadanie pana McWilliams, sympatycznego dżentelmena z New Yorku, którego niżej podpisany miał sposobność poznać w wagonie.)

A więc wracając do mego opowiadania – doszliśmy do tego, jak to dyfteryt grasował w całym mieście i wszystkie matki usychały z niepokoju. Otóż wtedy zwróciłem uwagę mojej żony na naszą małą Penelope mówiąc:

– Duszko, gdybym był na twoim miejscu, nie pozwoliłbym małej obgryzać tego patyka.

– Cóż to szkodzi, kochanie – odparła wyciągając jednak rękę po patyk, bo kobiety nie są w stanie przyjąć bez sporu nawet najrozsądniejszej uwagi... przynajmniej zameżne kobiety. Odpowiedziałem:

– Kochanie, wiadomo, że sosnowe drzewo zawiera najmniej pierwiastków odżywczych ze wszystkich.

Ręka mojej żony zatrzymała się i spoczęła na powrót na kolanach. Pani moja nadeła się cokolwiek i rzekła:

– Mój drogi, sam wiesz, że tak nie jest. Wiesz doskonale. Wszyscy doktorzy mówią, że terpentyna zawarta w drzewach iglastych działa nadzwyczaj skutecznie na nerki i kręgosłup.

– Ach, nie wiedziałem! Gdybym miał pojęcie, że mała cierpi na nerki i kręgosłup i że doktor zalecił...

– Kto powiedział, że mała cierpi na nerki i kręgosłup?

– Ty, kochanie, dałaś mi to do zrozumienia.

– Co za pomysł! Nigdy w życiu nic podobnego nie dawałam do zrozumienia.

– Ależ, moja droga, nie dalej jak dwie minuty temu mówiłaś...

– Mniejsza o to, co mówiłam. Wszystko mi jedno. Sam dobrze wiesz, że to nic nikomu nie szkodzi, że mała pogryzie sobie kawałeczek sosnowego patyka, jeśli jej to sprawia przyjemność. Będz i e sobie gryzła, i koniec! Dość już o tym.

– Najzupełniej! Uznaję słuszność twego rozumowania i natychmiast każę przywieźć kilkanaście wiązek najlepszego sosnowego drzewa. Póki mię stać na to, nigdy moje dziecko...

– Ach, proszę cię, idź do swego biura i daj mi już raz spokój. Nie można zrobić najprostszej uwagi, żebyś nie zaczął gadać, aż w końcu sam nie wiesz o czym... co prawda, ty i z początku nie wiesz!

– Owszem, z największą przyjemnością zastosuję się do twoich życzeń. Jednak ostatnia twoja uwaga zdradza brak logiki, który...

Lecz nie było już jej w pokoju, dziecko zaś zabrała z sobą.

Tego samego wieczora przyszła do stołu błada jak płótno.

– Ach, Mortimerze, znowuż dziecko zachorowało.

Mały Georgie Gordon.

– Dyfteryt?

– Dyfteryt.

– Czy nie ma nadziei?

– Najmniejszej. O, Boże, Boże! Co z nami będzie?

Po chwili niania przyprowadziła nam Penelopę na dobranoc i miała jak zwykle zmówiła z mamusią paciorem. Mówiąc: „do ciebie, Boziu, rączki podnoszę”, zakaszła się trochę.

Moja żona słysząc to padła zrazu jak rażona gromem. Ale natychmiast podniosła się z podnieceniem, które bywa wynikiem nagłej trwogi. Kazała łóżeczko małej przenieść z dzieciennego pokoju do naszej sypialni i poszła osobiście dopilnować, aby spełniono jej rozkaz. Naturalnie zabrała mnie z sobą. Sprawa została w mig załatwiona.

W buduarce mojej żony ustawiono tapczan dla niani. Wtedy wszakże żonie przypomniało się, że za daleko byliśmy od drugiego dziecka – a gdyby i to zachorowało... tu moja biedna żona znów zbladła jak płótno. Przenieśliśmy tedy łóżeczko Penelopy i niani z powrotem do pokoju dzieciennego, dla nas zaś ustawiliśmy łóżko w pokoju sąsiednim.

Za chwilę jednak moja żona zauważyła:

– A jeśli nasz mały zarazi się od Penelopy?

Myśl ta na nowo przejęła ją trwogą, wobec czego wspólnymi siłami staraliśmy się w gorączkowym pośpiechu usunąć łóżeczko Penelopy z pokoju dzieciennego, przy czym moja żona prawie że porozbijała ten sprzęt w kawałki – tak dziki strach nią miotał!

Przenieśliśmy się na dół. Ale tam znów nie starczyło już miejsca na łóżko niani, a ponieważ żona moja twierdziła, że doświadczenie starej ma dla niej wartość nieocenioną, tedy powróciliśmy z całym bagażem do naszej sypialni, gdzie poczuliśmy się jak ptaki miotane burzą, które nareszcie dotarły do własnego gniazda.

Teraz żona udała się do pokoju dzieciennego, by sprawdzić, czy wszystko jest tam w porządku. Wkrótce powróciła z nowym zmartwieniem.

– Jakie to dziwne, że mały tak mocno śpi.

– Ależ, najdroższa, czyż zawsze nie śpi on jak suseł?

– Tak jest. Tylko że teraz w jego śnie jest coś niezwykłego.

– Tak jakoś dziwnie oddycha, tak jakoś... miarowo! Och, jakież to straszne!

– Droga moja, przecież on zawsze oddycha miarowo.

– Wiem.. Jednakże w tym jest coś straszego! Mamka jest nadto młoda, niedoświadczona, niech tedy Marianna zostanie przy niej, by była pod ręką, gdyby coś zaszło.

– Świetna myśl! Ale kto tobie będzie pomagał?

– Ty przecież potrafisz zrobić wszystko, co będzie trzeba. A zresztą, ja i tak muszę wszystko sama zrobić.

– Uważałbym to za podłość – odparłem – gdybym ja miał leżeć w łóżku i spać, podczas gdy ty sama będziesz się męczyć z dzieckiem.

Ostatecznie jednak pogodziłem się z tym, po czym stara Marianna na powrót przeniosła się na dawne *locum* w pokoju dzieciennym.

Penelopa aż dwa razy zakaszła przez sen.

– Ach, czemu lekarza nie widać? Mortimerze, czy nie uważasz, że w pokoju jest za ciepło? Zakręć piec – tylko prędko!

Zakręciłem śrubę spojrzawszy jednocześnie na termometr i pytając się w cichości ducha, czy 15° jest zbyt wysoką temperaturą dla chorego dziecka.

Wreszcie powrócił stangret z miasta z wiadomością, że nasz lekarz domowy jest obłożnie chory. Wtedy żona spojrzała na mnie obumierającym okiem, po czym rzekła złamanym głosem:

– To jest palec Opatrzności! Już tak nam było sądzone. Nigdy dotychczas doktor nie chorował, gdy się go wzywało – nigdy. Nie żyliśmy tak, jak powinniśmy byli, Mortimerze! Nieraz ci to mówiłam. A teraz sam widzisz, jakie są tego skutki. Nasze dziecko nie wyzdrowieje już nigdy! Podziękuj Panu Bogu, jeśli czujesz się tu bez winy; ja jednak sobie tego darować nie mogę!

Odparłem, nie chcąc jej bynajmniej urazić, ale i nie licząc się zbyt ze słowami, że bynajmniej nie uważam, byśmy prowadzili życie zbyt lekkomyślne.

– Mortimerze! Czy chcesz, aby na nasze maleństwo spadł gniew Boży?

Po czym rozplakała się, by za chwilę nagle wykrzyknąć:

– Doktor chyba przysłał lekarstwo?

– Owszem – odparłem – oto je masz. Czekałem tylko, aż przestaniesz mówić.

– Ależ dawaj, natychmiast! Czyż nie wiesz, że każda chwila jest droga? Ale po co lekarz przysłał lekarstwo, skoro choroba jest nieuleczalna?

Zrobiłem uwagę, że tam, gdzie życie nie ustało, zawsze jeszcze jest nadzieja wyzdrowienia.

– Nadzieja! Mortimerze, ty nie wiesz już, co pleciesz! Ty nic nie rozumiesz, jak nowo narodzone dziecię! Czy nie zechciałbyś – o Boże, tu naprawdę napisane co godzina małą łyżeczkę! Co godzina... Jak gdybyśmy mieli przed sobą całe życie do uratowania dziecka! Mortimerze, prędko, daj biedactwu pełną łyżkę stołową, tylko proszę cię, śpiesz się!

– Ależ, najmiłsza, pełna łyżka stołowa może jej przecież za...

– Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Tu, tu, tak, tak, mój skarbie, moja pieszczotko; wiem, wiem, że to brzydkie, że to gorzkie lekarstwo, ale jest ono Penelopci potrzebne, potrzebne mamusinej pieszczotce... Ono ją uzdrowi. Tak, tak, oprzyj główkę o pierś mamusi i zaśnij sobie, dziecko, bo niedługo i tak – ach, Mortimerze, ja wiem, że ona nie dożyje do rana! Mortimerze, a może by tak łyżkę stołową co pół godziny, co, nie? Och, dziecko musi także przyjąć belladonę, tak, to byłoby wskazane, a nawet akonitynę! Przynieś mi akonitynę, Mortimerze. O, proszę cię, daj mi tylko robić wszystko po swojemu, bo ty się nic a nic nie znasz na tych rzeczach.

Po czym udaliśmy się spać. Łóżeczko Penelopy postawiliśmy tuż obok łóżka mej żony.

To przestawianie i hałasowanie tak dalece mnie zmęczyło, że już po dwóch minutach spałem kamiennym snem. Ale żona zbudziła mnie nagle.

– Mężulku, czy piec jest otwarty?

– Nie.

– No, oczywiście. Proszę cię, odkręć natychmiast śrubę, w pokoju zimno jak w psiarni.

Odkręciłem śrubę i natychmiast zasnąłem ponownie. Znow jednak mnie obudzono.

– Mężusiu, czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, by łóżeczko postawić obok ciebie? Będzie bliżej pieca.

Uczyliłem, jak chciała, zawadziłem jednak przy tym o poręcz łóżka, wskutek czego dziecko obudziło się. Zasnąłem wszakże ponownie, gdy żona uspokajała małą.

Po krótkiej jednak chwili przez mgłę sennych majaczeń usłyszałem niby szmer daleki następujące słowa:

– Mortimerze, gdybyśmy tak mieli tutaj smalec gęsi! Może zadzwonisz?

Na pół senny wygramoliłem się z łóżka nastąpiwszy przy tym na kota, który żywo zaprotestował, za co byłby otrzymał kopnięcie, gdybym nie trafił w krzesło.

– Na miłość boską, Mortimerze, po co zapaliłeś gaz? Czy chcesz obudzić dziecko?

– Muszę przecież zobaczyć, czy bardzo się skaleczyłem.

– Ach, w takim razie obejrzyj i krzesło, jestem pewna, żeś je złamał. Biedny kotek, jak łatwo...

– No, no, co do kota, to już lepiej nic nie mów. A wszystko to nie stałoby się, gdyby tu została Marianna, ona by lepiej ode mnie załatwiła te sprawy, jako wchodzące bardziej w zakres jej zawodu...

– Wstydzilibyś się, Mortimerze, mówić coś podobnego. Smutne to, zaiste, że nie chcesz wykonać nawet tych kilku błahostek, w tak strasznych chwilach, gdy nasze dziecko...

– No dobrze, już dobrze, robię wszystko, co tylko chcesz... Tylko tym dzwonkiem nie dodzwonię się nikogo – wszystko śpi. Gdzie jest ten gęsi smalec?

– Na kominku w dzieciennym pokoju. Może byś zechciał pójść i zapytać o to Mariannę?
Przyniosłem gęsi smalec i położyłem się do łóżka. Ale znów zawołano na mnie:
– Mortimerze, tak mi przykro przerywać ci sen, lecz widzisz, jest tu jeszcze za zimno, by móc natrzeć dziecko. Rozpal no ogień na kominku. Nic więcej nie trzeba, tylko podpalić.

Zebrałem się w sobie i rozpaliłem ogień. Po czym zgnębiony usiadłem.

– Mortimerze, na miłość boską, nie siadaj, bo to śmierć pewna w takim zimnie! Połóż się do łóżka!

Gdy kładłem się znowu, zawołała:

– Ach, proszę, może byś tak wpieryw dał dziecku lekarstwo?

Uczyliem i to. Było to takie lekarstwo, które mogło co najwyżej obudzić dziecko. Przerwę w śnie Penelopy moja miła wykorzystwała, by małą rozebrać i natrzeć jej całe ciało gęsim smalcem. W chwilę potem zasnąłem, lecz po to tylko, by znowu być zmuszonym do wygramolenia się z łóżka.

– Mortimerze, czuję jakiś przeciąg. Nic tak nie szkodzi przy dyfterycie jak przeciąg. Proszę cię, przesuń łóżeczko bliżej ognia.

Ustuchałem, a że znów wpadłem w kolizję z poręczą łóżka, tedy wrzuciłem ją bez ceremonii do ognia. Zobaczywszy to moja żona wyskoczyła z łóżka jak z procy, by wyratować poręcz – i zamieniliśmy z sobą kilka okolicznościowych słów. Po czym przez kilka sekund mogłem spać. Na żądanie żony jednak dźwignąłem się znowu, by sporządzić kataplazm z siemienia, który miał być położony dziecku na piersi...

Ogień w piecu nie jest czymś trwałym. Musiałem tedy wstawać co dwadzieścia minut, by go podsycać, a moja żona korzystała z tych sposobności, by zmuszać mnie do wlewania dziecku w usta niebываłej ilości lekarstw. Sprawiało jej to niezwykłą przyjemność. Od czasu do czasu zmieniała okład z siemienia lub stosowała plastry z musztardy i inne podobne niedorzeczności tam, gdzie jeszcze było choć trochę miejsca na ciałku dziecka.

Nad ranem skończył się nasz zapas drzewa, wobec czego moja żona wystąpiła z wnioskiem, abym zeszedł do piwnicy po nowe naręcze.

– Moje dziecko – odważyłem się odezwać – jest to praca dość uciążliwa, czy nie uważasz, że dziecku jest aż za ciepło w podwójnej sukience? Czy nie należałoby raczej ponowić okładu...

Nie dokończyłem, ponieważ przerwała mi moja małżonka. Przez pewien czas dźwigałem tedy drzewo z piwnicy, po czym przyłgnąłem do poduszki i chrapnąłem tak potężnie, jak tylko może chrapać człowiek śmiertelnie znużony.

Dopiero gdy słońko jasno już świeciło, poczułem rękę chwytającą mnie za ramię. I nagle ujrzałem nad sobą żonę, bladą jak płótno i przerażoną do ostatnich granic. Gdy tylko powróciła jej mowa, wyszeptwała:

– Wszystko stracone – tak, wszystko! Dziecko się p o c i ! Co teraz począć?

– Na miłość boską, jak ty mogłaś mnie tak przestraszyć! Nie wiem, co robić. Może byśmy wyjęli Penelopę z łóżeczka i postawili w przeciągu?

– Ach, ty idioto! Nie ma ani chwili do stracenia. Pędź po lekarza. Pędź sam. Powiedz mu, że m u s i przyjść, żywy czy umarły.

Wyciągnąłem biednego, chorego człowieka z łóżka i przyprowadziłem do nas. Obejrzał małą i orzekł, że nie umrze. Dla mnie była to radość nieopisana, za to moją żonę diagnoza ta doprowadziła do wściekłości, jak gdyby lekarz wyrządził jej osobistą krzywdę. Lekarz orzekł, że kaszel został spowodowany nieznacznym podrażnieniem krtani. Obawiałem się, że żona pokaże mu drzwi po tych słowach. Następnie lekarz powiedział, że da dziecku środek na wywołanie silniejszego kaszlu, by usunąć przyczynę podrażnienia. Po przyjęciu tego środka Penelopa dostała gwałtownego ataku kaszlu, przy czym z ust jej wyleciało parę drzazg drzewnych.

– Dziecko nie jest chore na dyfteryt – zauważył lekarz – gryzło zapewne kawałek drzewa świerkowego czy coś w tym rodzaju i kilka drzazg dostało się do krtani. To mu nie zaszkodzi.

– O tak, chętnie w to uwierzę – odparłem. – Przeciwnie, terpentyna, którą to drzewo zawiera, bardzo jest dobra przy niektórych chorobach dziecięcych. Moja żona to panu potwierdzi.

Nie uczyniła jednak tego, przeciwnie, odwróciła się do nas tyłem, pełna oburzenia, i wyszła z pokoju.

Od tego czasu istnieje w naszym pożyciu pewne wspomnienie, do którego nigdy nie powracamy. I dni nasze płyną odtąd w niezamąconej pogodzie i spokoju.

(Ponieważ mało który małżonek posiada podobne doświadczenie jak p. McWilliams, autor sądził przeto, że czytelnicy zainteresują się jego niezwykłymi przeżyciami.)

PANI MCWILLIAMS I PIORUNY

Tak, łaskawy panie – rzekł McWilliams ciągnąc rozpoczętą opowieść – obawa przed piorunami to jedna z najnieprzyjemniejszych ułomności ludzkich, jakie możemy zanotować. Najczęściej spotykamy ją u kobiet, ale niekiedy choroba ta zdarza się także u małego pieska, a nawet i u mężczyzny. Jest to tym bardziej niemiłe, że zupełnie odbiera człowiekowi panowanie nad sobą. Żaden rodzaj lęku nie działa na nas w sposób podobny. Na domiar złego nie daje się to usunąć ani drogą perswazji, ani szyderstw. Kobieta, która nie lęka się samego diabła – ba, nawet myszy, traci wszelkie panowanie nad sobą, gdy tylko mignie błyskawica. Wprost litość bierze patrzeć wtedy na nią...

A zatem obudziłem się, jak już panu mówiłem, na skutek rozdzierającego krzyku: „Mortimerze, Mortimerze!”

Słowa te huczały mi w uszach, ale nie mogłem zrozumieć, skąd pochodzi wołanie. Przebudziwszy się ostatecznie, wyciągnąłem przed siebie ręce w ciemności i rzekłem:

– Ewelino, czy to ty wołasz? Co się stało? Gdzie jesteś?

– Schowałam się do szafy... Powinieneś się wstydzić, że leżysz tu i śpisz, gdy na dworze taka burza!...

– Cóż znowu? To nonsens! Jakże można się wstydzić, kiedy się śpi?

– Tak, tyś przecież nigdy nie próbował się wstydzić... Mortimerze!... Wszak sam wiesz o tym najlepiej!

Po chwili dobiegł mych uszu przytłumiony szloch, i szorstkie słowa, które już, już miały się wyrwać z moich ust, gdzieś się ulotniły. Zamiast tego rzekłem:

– Doprawdy, przykro mi, moja droga... Jestem szczerze zasmucony... wcale nie miałem zamiaru... Chodź tu i...

– Mortimerze!

– Na Boga! O cóż ci idzie, kochanie?

– Czy to ma znaczyć, że leżysz w łóżku?

– Naturalnie.

– Wstawaj czym prędzej! Myślałam, że więcej troszczysz się o swe życie, choćby ze względu na mnie i na dzieci, jeśli już nie na siebie samego!

– Ależ, kochanie...

– Nie odzywaj się do mnie, Mortimerze! Wiesz dobrze, że w czasie burzy nie ma gorszego i bardziej niebezpiecznego miejsca jak łóżko. We wszystkich książkach możesz to wyczytać. A ty leżysz sobie i spokojnie narażasz się na śmierć! Bóg wie, po co, chyba tylko, żeby wciąż dyskutować, dyskutować...

– Ależ, Ewelino, u licha... Nie jestem wcale w łóżku, ja...

Zdanie moje przerwała nagle błyskawica, po której rozległ się przeraźliwy krzyk pani McWilliams i straszliwe uderzenie pioruna.

– Widzisz, masz! Masz rezultat! O, Mortimerze, jak możesz być na tyle zepsuty, aby kłać w takiej chwili?...

– Ależ ja wcale nie kłamię. A poza tym piorun nie zrodził się bynajmniej z tego, co powiedziałem. Stało by się zupełnie tak samo, gdybym ani słowa nie powiedział. Wiesz o tym dobrze, Ewelino, ostatecznie też powinnaś wiedzieć przynajmniej tyle, że skoro atmosfera naładowana jest elektrycznością, to...

– Naturalnie, teraz zaczniesz dowodzić, dowodzić, dowodzić... Nie rozumiem, jak możesz tak postępować wiedząc dobrze, że nie ma tu piorunochronu i że twoja biedna żona i dzieci znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie... Co ty robisz? Zapalasz zapałkę? W takiej chwili! Tyś chyba zupełnie oszalał?

– Do diabła! O cóż ci idzie? Przecież tu ciemno jak w duszy poganina i...

– Rzuć, rzuć to natychmiast! Czyś już naprawdę postanowił zgubić nas wszystkich? Przecież wiesz chyba, że nic tak nie przyciąga piorunów jak światło!... (Trach... trach... trach... trach...) Oooo, słuchaj... Teraz widzisz, coś narobił!...

– Nie, wcale tego nie widzę. Zapałka mogłaby ewentualnie przyciągnąć piorun, ale nie może przecież wywołać pioruna! Za to mogę ci ręczyć. Ale nawet nie przyciąga ona elektryczności, ponieważ, gdyby piorun trafił w moją zapałkę, to byłby to wypadek zupełnie wyjątkowy, jeden na milion, że się tak wyrażę. Raz nawet w Dollimont zdarzył się taki szczególnie traf...

– Wstydz się, Mortimerze! Patrzymy teraz śmierci w oczy, a ty w takiej chwili zdolny jesteś do wygłaszania tego rodzaju przemówień... Jeżeli ty nie masz chęci żyć... Mortimerze!

– Cóż znowu?

– Czy modliłeś się dziś wieczorem?

– Ja... ja... Chciałem, ale akurat w tej samej chwili zacząłem obliczać, ile razy będzie trzynaście pomnożone przez dwanaście i... (Trach!... bum!... bum!... bum!... trach!...)

– Oooo... przepadliśmy, przepadliśmy bezpowrotnie. – Jak mogłeś wyrazić się w podobny sposób w t a k i e j c h w i l i ?!

– Ależ przecież wtedy nie było jeszcze takiej chwili! Przecież nie było ani jednego obłoczka na niebie! Skądże mogłem wiedzieć, że wkrótce zacnie się taki harmider z powodu całkiem maleńkiego przekroczenia! Twoje wymówki są zupełnie nie na miejscu, tym bardziej że zdarza mi się to tak rzadko. Nie opuszczam przecież ani jednej modlitwy, odkąd sprowadziłem swoją bezbożnością trzęsienie ziemi cztery lata temu...

– Mortimerze, co ty mówisz?! Zapomniałeś chyba zupełnie o żółtej febrze?

– Moja droga! Masz do mnie wciąż pretensję o tę żółtą febrę! Tymczasem to zupełny absurd... Memfis leży na drugim końcu świata, czy więc podobna, aby moje religijne uchybienie mogło sięgać tak daleko? Nie, gotów już jestem raczej wziąć na siebie trzęsienie ziemi, ponieważ odbywało się to w sąsiedztwie, ale niech mnie powiesz, jeśli mam odpowiadać za wszelkie... (Trach... bum!... bum!... bum!... trach!...)

– O, mój Boże, mój Boże, mój Boże!... Jestem jak najmocniej przekonana, że piorun uderzył w coś... o Mortimerze! Nie doczekamy już jutra! Jeżeli przyda ci się to na coś po śmierci, to zapamiętaj sobie, że twoje okrutne słowa... Mortimerze!

– Noo?...

– Twój głos, Mortimerze, brzmi tak, jak gdybyś stał obok kominka?

– Zbrodnię tę popełniłem właśnie w tej chwili.

– Wynoś się stamtąd natychmiast! Tak jak gdybyś umyślnie postanowił zgubić nas wszystkich. Czy nie wiesz, że nie ma lepszego przewodnika piorunów niż komin? No, a teraz gdzie się podziewasz?

– Stoję przy oknie.

– Na Boga! Tyś chyba całkiem zwariował! Odejdź stamtąd, odejdź natychmiast! Nawet dziecko w poduszce wie, że nie wolno stać przy oknie w czasie burzy... Boże! Boże! Wiem, że nie ujrę już dnia jutrzejszego... Mortimerze!

– Co znowu?

– Co to za szelest?

– Staram się znaleźć w szafie moje spodnie...

– Rzuć je czym prędzej! Jestem przekonana, że chcesz umyślnie ubrać się, chociaż wiesz dobrze, iż wełna przyciąga pioruny. Tego zdania są wszyscy poważniejsi uczeni. O, mój Boże! Nie dość, że życie człowieka narażone jest na niebezpieczeństwo z przyczyn niezależnych, a on robi jeszcze wszystko, aby zwiększyć niebezpieczeństwo... Nie śpiewaj, proszę! Jak możesz robić coś podobnego!

– A co w tym złego?

– Mortimerze, przecież sto razy ci mówiłam, że śpiew powoduje wstrząs powietrza, a zatem... Boże mój, dlaczego przyszła ci myśl otwierania drzwi?

– Zmiłuj się, kobieto, co ci to szkodzi?

– Co szkodzi? Przecież to pewna śmierć! Każdy, kto choć odrobinę interesował się tą sprawą, wie, że robiąc przeciąg zapraszamy w ten sposób pioruny do siebie... Ale ty źle zamknąłeś drzwi... zamknij je mocniej... i prędzej chodź tu, bo zginiemy wszyscy! O, jakież to okropne, być w takiej chwili zamkniętą z wariatem! Co ty tam robisz, Mortimerze?

– Nic, chcę po prostu otworzyć kran. W pokoju jest tak gorąco... Pragnę odświeżyć sobie twarz i rękę.

– Tyś chyba do reszty zgłupiał! Właśnie woda najbardziej przyciąga pioruny! Zamknij kran czym prędzej. O Boże, jestem pewna, że nic już nas nie zbawi. Mortimerze, a to co takiego?

– To?... To obraz. Zrzuciłem go niechcący.

– A więc ty stoisz koło ściany. Pierwszy raz w życiu widzę podobną lekkomyślność! Czy nie wiesz, że ściana jest najlepszym przewodnikiem elektryczności? Odsuń się zaraz! I znów o mało co nie zakłąłeś! Jak ty możesz być aż tak pozbawionym serca człowiekiem, żeby narażać na niebezpieczeństwo całą rodzinę?... Mortimerze, czyś zamówił pierzynę – prosiłam cię o to?

– Nie, zapomniałem.

– Zapomniałeś? To cię może kosztować życie. Gdybyś miał pierzynę, to mógłbyś położyć ją na środku pokoju i leżeć na niej. Wtedy czułbyś się zupełnie bezpieczny. Chodź tu, tylko prędzej, dopóki jeszcze nie narobiłeś nowych głupstw.

Próbowałem wleźć do szafy, ale tam niepodobna było zmieścić się we dwoje – chyba że mielibyśmy ochotę się udusić. Po chwili więc wylazłem dla zaczerpnięcia tchu. Ale żona znowu mnie zawołała:

– Mortimerze, trzeba coś zrobić dla ocalenia ciebie. Podaj mi niemiecką książkę, która leży na brzegu półki, i świecę. Tylko nie zapalaj jej. Daj mi zapalkę – już ja sama zapalę. Ta książka zawiera pewne wskazówki.

Znalazłem książkę za cenę rozbitego wazonu i kilku innych kruchych drobiazgów, które zrzuciłem w ciemności. Moja pani zamknęła się w szafie wraz ze świecą i zostawiła mnie na moment w spokoju. Następnie znowu zawołała:

– Mortimerze, a co to?

– Nic. Po prostu... kot.

– Kot? O, biada nam! Złap go czym prędzej i schowaj do łazienki! Prędzej, kochanie, prędzej! Koty są wprost naładowane elektrycznością! Jestem pewna, że włosy posiwieją mi w ciągu tej przeraźliwej nocy.

I znów usłyszałem głucho szlochanie. Gdyby nie to, za nie na świecie nie poważylbym się na tak ryzykowne przedsięwzięcie w ciemności.

Nie zwlekając rzuciłem się w pogoń za kotem poprzez krzesła i wszelkiego rodzaju przeszkody zaopatrzone w dodatku w ostre kanty. Ostatecznie udało mi się schwytać kota i wepchnąć go do komody kosztem przeszło czterystu dolarów w połamanych meblach i kościach. Wkrótce z zamkniętej szafy doleciały mnie głucho słowa:

– W tej książce, Mortimerze, jest powiedziane, że najlepiej stanąć na krześle pośrodku pokoju. Nogi krzesła powinny być izolowane za pomocą złego przewodnika elektryczności. To znaczy, że powinieneś wstawić je w szklanki... (Trach!... bum!... bum!... trrach!...) Oj, oj, oj! Słyszałeś, jaki piorun! Mortimerze, spiesz się, dopóki jeszcze nie uderzył w ciebie!

Znalazłem tedy i przyniosłem szklanki, ale udało mi się zachować z nich w całości tylko cztery, reszta potłukła się. Dokonawszy izolacji nóg krzesła zwróciłem się o dalsze instrukcje.

– Mortimerze, tu oto piszą: *Während eines Gewitters entferne man Metalle, wie z B. Uhren, Ringe, Schlüssel u. s. w. von sich und halte sich auch nicht an solchen Stellen auf, wo viele Metalle beieinander liegen oder mit anderen Körpern verbunden sind, wie an Herden, Öfen, Eisengittern und dergl.*⁴. Co to znaczy, Mortimerze? Jak to rozumieć? Czy należy przedmioty metalowe trzymać przy sobie, czy też przeciwnie, jak najdalej od siebie?

– Hm, doprawdy nie wiem. Zdaje mi się, że sens tego określenia jest nieco niejasny. Zresztą wszystkie niemieckie wskazówki bywają mniej lub więcej niejasne. Jednakże myślę, że ponieważ użyty jest tu przede wszystkim trzeci przypadek i trochę zresztą na chybił trafił – drugi i czwarty, więc chyba należy trzymać metale raczej przy sobie.

– Tak, musi być właśnie tak, jak mówisz. To jest dość przekonujące. Przecież i piorunochrony opierają się właśnie na tej zasadzie. Włóż swój hełm strażacki, Mortimerze! Jest prawie cały z metalu.

Wydobyłem i nałożyłem hełm, szczególnie dogodnie nakrycie głowy w tę noc letnią, w dusznym zamkniętym pokoju. Zwłaszcza że nawet nocna bielizna obcisła moje ciało bardziej, niż to było potrzebne.

– Mortimerze, sądzę, że trzeba zabezpieczyć środek twego korpusu. Przypasz, proszę, szablę.

Zastosowałem się i do tego polecenia.

– Teraz musisz, Mortimerze, w jakiś sposób zabezpieczyć nogi; proszę cię, nałóż ostrogi.

Uczyliłem to w milczeniu, starając się w miarę możliwości zachować spokój.

– Mortimerze, w książce jest napisane: *Das Gewitterläuten ist gefährlich, weil die Glocke selbst so wie der durch das Läuten veranlasste Luftzug und die Höhe des Turmes den Blitz anziehen können*⁵. Mortimerze, czy to ma znaczyć, że niebezpiecznie jest nie dzwonić w dzwony kościelne podczas burzy?

– Tak, wydaje mi się, że jest to imiesłów czasu przeszłego pierwszego przypadku liczby pojedynczej, więc raczej o to idzie; mniemam, że powinno to znaczyć, iż biorąc pod uwagę wysokość dzwonnicy i brak naporu powietrza, byłoby bardzo niebezpieczne (*sehr gefährlich*) nie dzwonić w dzwony podczas burzy. Prócz tego, czyś nie spostrzegła, że w tym zdaniu...

– Mniejsza o to, Mortimerze. Nie trać cennego czasu na konwersację. Przynieś dzwonek obiadowy, wisi na prawo w przedpokoju. Prędej! Drogi Mortimerze! Jesteśmy teraz prawie bezpieczni... O, kochanie, wierzę teraz, że ostatecznie będziemy ocaleni!

Nasz mały letni domek stoi na szczycie wysokiego wzgórza panującego nad doliną. W sąsiedztwie znajduje się kilka ferm, najbliższa odległa jest od nas o trzysta lub czterysta jardów.

Kiedy stojąc na krzeselku dzwoniłem przez siedem czy osiem minut tym ohydny dzwoniem, ktoś szarpnął naraz z całą siłą za nasze okiennice i jaskrawe światło latarni wtargnęło do pokoju. A jednocześnie ktoś ochryplym głosem zawołał:

– Co się tu dzieje, u diaska?

⁴ Podczas burzy należy pozbyć się przedmiotów metalowych, jak np. zegarki, pierścionki, klucze itd., oraz nie należy pozostawać w miejscach, gdzie skupionych jest wiele metali albo gdzie są one połączone z innymi przedmiotami, np. koło kominków, pieców, krat żelaznych itp.

⁵ Dzwonienie podczas burzy jest niebezpieczne, ponieważ sam dzwon oraz wywoływany jego ruchami prąd powietrza, jak również wysokość dzwonnicy mogą ściągnąć piorun.

Mnóstwo głów ludzkich wsunęło się w okno. Wszystkie oczy ze zdumieniem spoglądały na mój nocny strój i bojowy rynsztunek.

Upuściłem na ziemię dzwonek i zawstydzony zeskoczyłem z krzesła mówiąc:

– Nic takiego, moi przyjaciele... Małe zamieszanie spowodowane burzą. Usiłowałem odstraszyć pioruny...

– Burza? Pioruny? Co panu jest, panie McWilliams? Taka cudowna, gwiaździsta noc... Przecież żadnej burzy nie było!

Wyjrzałem przez okno i ze zdumienia nie byłem w stanie przez kilka chwil wymówić ani słowa. Wreszcie rzekłem:

– Nic a nic nie rozumiem. Widzieliśmy najwyraźniej błyskawice i słyszeliśmy grzmoty...

Moi rozmówcy zaczęli tarzać się po ziemi ze śmiechu, przy czym dwóch spośród nich zmarło w konwulsjach. Jeden z ocalałych zauważył:

– Jaka szkoda, że nie pomyśleliście o tym, aby podnieść story i spojrzeć na szczyt tego wzgórza! Słyszeliście po prostu huk armaty, a to, co widzieliście, to były zwykłe odbłyski...

– Bo – trzeba panu wiedzieć – telegraf przyniósł o północy nowe wiadomości. Wybrany został Garfield i stąd cała heca. Tak, mister Twain, jak już powiedziałem panu zaraz na początku – dodał p. McWilliams – wskazówki dotyczące się zabezpieczenia ludzi przed skutkami piorunów są tak dobre i jest ich tak wiele, że jest to dla mnie wprost niezrozumiałe, dlaczego niektórzy ludzie narażają się dobrowolnie na porażenia.

To mówiąc p. McWilliams ujął swą torbę podróżną i parasol i wyszedł, ponieważ pociąg dojeżdżał już do jego rodzinnego miasta.

ROZCZAROWANIE

Rzadko sprawia przyjemność opowiadanie o samym sobie, czasami jednak czyniąc wyznania odczuwa się rodzaj ulgi. Pragnąłbym więc wypowiedzieć się z moich trosk, choć przypuszczam, że idzie mi raczej o skompromitowanie pewnej osoby niż o ukojenie mego boleśnie zranionego serca. Przypominacie sobie zapewne, że miałem ostatnio odczyt dla młodzieńców z Towarzystwa X w Newmark? Otóż miałem go niezależnie od tego, czy sobie przypominacie. Rozmawiałem wówczas po południu z jednym ze wspomnianych młodzieńców. Oświadczył mi on, że posiada wujka, który z takich czy innych powodów pozbawiony jest całkowicie daru okazywania jakichkolwiek wzruszeń. I uczuciowy młodzian zawołał ze łzami w oczach:

– Och, gdybym choć raz jeszcze mógł widzieć uśmiech na jego twarzy! Gdybym chociaż zobaczył go jeszcze płaczącego!

Byłem wzruszony. Miałem zawsze miękkie serce wobec trosk moich bliźnich. Rzekłem więc:

– Sprowadź go na mój odczyt. Rozruszam go. Zrobię to dla ciebie.

– Och, gdyby pan mógł to uczynić! Cała nasza rodzina błogosławiłaby pana. Kochamy go wszyscy tak gorąco! O, mój dobroczyńco, czy potrafi pan zmusić go do śmiechu? Czy potrafi pan napełnić kojącymi łzami te wyschłe oczodoły?

Byłem głęboko wstrząśnięty. Powiedziałem:

– Mój synu, przyprowadź no tutaj tego starowinę. Mam kilka dowcipów w zanadrzu, które roześmieją go, jeśli posiada choćby cię poczucia humoru; jeśli kawały te zawiodą, mam kilka innych, które zmuszą go do płaczu lub zabiją na miejscu, jedno z dwojga.

Wówczas młodzieniec pobłogosławił mnie, wyplakał się w mą kamizelkę i poszedł po wuja. Wieczorem ulokował go na widocznym miejscu w drugim rzędzie krzeseł, a ja zabrałem się do roboty. Spróbowałem najpierw łagodnych żarcików, potem przeszedłem do mocniejszych; usypiałem go z lekka kiepskimi dowcipami i budziłem znienacka kapitalną pointą; obrzucałem go starą, zwietrzałą tandetą i ciskałem mu świeże, gorące kawały; rozgrzała mnie ta robota, atakowałem więc na obu flankach, frontalnie i na tyłach; gorączkowałem się, pocilem, szturmowałem, gardłowałem, aż dostałem chrypy i istnej furii; nie zdołałem jednak wzruszyć go ani na chwilę, nie zdołałem wywołać uśmiechu czy łzy na jego twarzy! Ani cienia uśmiechu, ani śladu wilgoci! Byłem zdumiony. Zakończyłem odczyt rozpaczliwym piskiem, jakąś wściekłą eksplozją humoru i rzuciłem w niego dowcipem niezwyklej, zaiste, ostrości.

Po czym usiadłem oszołomiony i wyczerpany.

Prezes Towarzystwa podszedł do mnie, przyłożył mi zimny kompres do głowy i zapytał:

– Dlaczego zachowywał się pan tak dziwnie pod koniec odczytu?

Odpowiedziałem:

– Próbowałem roześmieszyć tego przeklętego starego osła z drugiego rzędu.

On zaś odrzekł na to:

– Ależ, mój panie, tracił pan tylko czas na próżno. On jest głuchoniemy, a poza tym ślepy jak borsuk!

No i teraz pytam was: Czy godziło się siostrzeńcowi tego nieszczęśliwego kaleki zakpić w ten sposób ze mnie, człowieka bądź co bądź obcego i w dodatku sieroty? Pytam was jako mężczyzn i ludzi prawych, czy to był właściwy sposób postępowania?

OBRAZ

Raz pewien malarz namalował nieduży, ale piękny obraz i ustawił go tak, by odbijał się w lustrze. Malarz rzekł:

– Zwierciadło zdwoi przestrzeń między obrazem a okiem patrzącego i złagodzi ostrość barw. W ten sposób obraz będzie jeszcze lepszy, niż był dotychczas.

Dowiedziały się o tym obrazie leśne zwierzęta od kota, którego ceniły bardzo za to, że był wykształcony, kulturalny, dobrze wychowany, uprzejmy, wyróżniał się subtelnością i nieraz opowiadał im historie, których przedtem nie znały i co do których, mimo autorytetu kota, miały niejaką wątpliwość.

Nowina ta bardzo je interesowała, toteż zarzuciły kota pytaniami chcąc dowiedzieć się, jak rzecz stoi. Między innymi spytały, co to jest o b r a z ? Kot wytłumaczył:

– Jest to gładki przedmiot, przedziwnie gładki, nadzwyczajnie, bajecznie gładki i bardzo połyskliwy. A wreszcie bardzo piękny.

Wzruszenie wśród zwierząt doszło do ostateczności, toteż oświadczyły, że gotowe są oddać wszystko na świecie, byle tylko ujrzeć ten niezwykły przedmiot. Po czym niedźwiedź zapytał:

– Cóż w nim nadzwyczajnego?

– Jego wygląd – odparł kot.

Zwierzęta dziwowały się bardzo, ale niezupełnie rozumiały kota. Wrzenie nie ustawało. Wreszcie krowa spytała:

– A co to jest l u s t r o , o którym również mówiłeś?

– Jest to otwór w ścianie – odparł kot. – Spójrz weń tylko, a wnet ujrzysz obraz. A obraz ten jest tak piękny, tak czarujący, tak pełen polotu, tak wzrusza widza swym niewysłowionym pięknem, że patrząc nań dostaje się nieomal zawrotu głowy, traci się prawie przytomność z zachwytu!

Aż dotąd osioł nie odezwał się ani słowem, ale teraz jął wyrażać swoje wątpliwości. Zauważył, że dotychczas na świecie nie było nic tak pięknego, by wywołać zawrót głowy, i że jest mocno wątpliwe, czy obraz, o którym tyle opowiada kot, jest istotnie aż tak piękny. Dalej zauważył, że skoro kot, aby wywołać zachwyty dla pospolitego, błyszczącego przedmiotu, potrzebował aż całej kolekcji superlatywów, tedy mamy wszelkie prawo wątpić o prawdziwości jego słów!

Wątpliwości te podziały nieco na resztę zwierząt; kot obrażony poszedł do domu. Przez dwa dni nie mówiono wcale o obrazie, wszelako ciekawość zwierząt przemogła, toteż poczęły interesować się nim na nowo. W końcu zwierzęta zwymyślały osła, który rozbudzając w nich wątpliwości co do piękna obrazu zepsuł im przyjemność. Osioł jednak nie stracił rezonu; oświadczył najspokojniej w świecie, że wcale nietrudno rozstrzygnąć, kto ma słuszność – on czy kot. Oświadczył, że sam pójdzie spojrzeć w otwór w ścianie, po czym zda relację, co w nim ujrział. Zwierzęta z uznaniem przystały na to prosząc tylko, aby wyruszył niezwłocznie. Tak też i postąpił.

Nie wiedział wszakże osioł, jak trzeba stanąć, toteż stanął źle, między obrazem a lustrem. Wskutek tego nie ujrzał wcale obrazu, wrócił do domu i rzekł:

– Kot skłamał. W otworze ujrzałem tylko osła. Nie zauważyłem tam żadnych cech gładkiego, lśniącego przedmiotu; stał wprawdzie przede mną piękny i sympatyczny osioł, ale tylko osioł i nic więcej.

Słoń spytał:

– Czy aby dobrze go widziałeś? Wyraźnie? Czy stałeś blisko?

– Widziałem osła dobrze, wyraźnie. Stałem tak blisko, że dotknąłem go nawet nosem.

– Dziwne to – mruknął słoń. – Dawniej kot zawsze mówił prawdę, o ile mogliśmy stwierdzić. Trzeba, aby ktoś jeszcze popatrział. Idź no, niedźwiedziu, spojrzysz w otwór, wróć i powiedz, co widziałeś.

Niedźwiedź ruszył. Gdy wrócił, rzekł:

– I kot, i osioł zełgali! W otworze stał tylko niedźwiedź.

Zdziwiły się niebывale zwierzęta. Teraz każde z nich pragnęło spojrzeć w otwór i poznać prawdę. Tedy słoń począł ślać jednego za drugim.

Poszła krowa i ujrzała... tylko krowę.

Tygrys ujrzał tygrysa.

Lew ujrzał lwa.

Lampart ujrzał lamparta.

Wielbłąd zastał w otworze tylko wielbłąda i nic więcej.

Wówczas słoń wpadł w gniew i oświadczył, że on pozna nareszcie prawdę, bowiem sam się tam uda i spojrzysz w otwór.

Gdy słoń powrócił, nazwał wszystkich swoich poddanych kłamcami i wściekły orzekł, że kot jest moralnie i fizycznie ślepy.

Uspokoiwszy się wreszcie władca oświadczył, że każdy, kto nie jest krótkowzrocznym głupcem, może się przekonać naocznie i dobitnie, że w otworze stoi tylko i jedynie słoń.

S e n s m o r a l n y tej bajeczki znajdziecie szanowni państwo w każdym utworze, jeśli staniecie między nim a zwierciadłem własnej wyobraźni. Możliwe zresztą, że nie zauważycie swych uszu, mimo że będą się one w nim odbijały.

SPRAWA WIELKIEGO KONTRAKTU MIĘSNEGO

W jak najkrótszych słowach pragnąłbym przedstawić narodowi sprawozdanie z mego, aczkolwiek skromnego, udziału w tej sprawie, która tak bardzo poruszyła opinię publiczną, wzbudziła tak wiele niesmaku i zapełniła dzienniki na obu półkulach tyloma niezgodnymi z rzeczywistością wypowiedziami i dziwaczными komentarzami. Początek tej nieszczęsnej historii był następujący – podkreślam, że każdy fakt z tego *résumé* znajduje pełne potwierdzenie w oficjalnych dokumentach rządowych:

Zmarły John Wilson Mackenzie, rodem z Rotterdamu, hrabstwo Chemung, New Jersey, zawarł około 10 października 1861 r. umowę z rządem na dostarczenie generałowi Shermanowi 30 beczek mięsa.

Doskonale.

Nasz John W. Mackenzie wyruszył za Shermanem ze swoimi beczkami, ale kiedy przybył do Waszyngtonu, Sherman był już w Manassas; pośpieszył więc jego śladem, ale znowu się spóźnił; gonił Shermana do Nashville, z Nashville do Chattanooga, a z Chattanooga do Atlanty – ciągle bez powodzenia. W Atlancie nabrał ponownie rozpędu i puścił się w pogoń za Shermanem maszerującym ku morzu. Przybył znów parę dni za późno. Ale dowiedziawszy się, że Sherman udał się w podróż do Ziemi Świętej statkiem „Quaker City”, zaokrętował się i podążył do Bejrutu pragnąc wyprzedzić jego statek. Kiedy przybył z mięsem do Jerozolimy, dowiedział się, że Sherman bynajmniej nie znajdował się na pokładzie „Quaker City”, ale że wyruszył na zachód, przeciw Indianom. Powrócił więc do Ameryki i rozpoczął wyprawę w kierunku Gór Skalistych. Gdy po sześćdziesięciu ośmiu dniach znoej podróży John W. Mackenzie dotarł na odległość czterech mil od kwatery głównej Shermana, napadnięty został przez Indian, zarąbany tomahawkami i oskalpowany. Wszystkie beczki z mięsem, z wyjątkiem jednej, dostały się w ręce napastników. Tę jedną beczkę przejęły wojska Shermana, tak że oskalpowany podróżnik, acz po śmierci, wywiązał się częściowo ze swego kontraktu. Na mocy znalezionej przy nim testamentu kontrakt przypadł synowi zmarłego, imieniem Bartholomew W. Bartholomew W. sporządził poniższy rachunek, po czym umarł.

Z tytułu rozrachunku ze zmarłym Johnem Wilsonem Mackenzie
30 beczek mięsa dla generała Shermana

à 100 dol. = 3 000 dol.

Koszty podróży i transportu

14 000 dol.

Razem 17 000 dol.

Przed śmiercią pozostawił on kontrakt Williamowi J. Martinowi, który usiłował zrealizować rachunek, lecz zmarł przed osiągnięciem jakiegokolwiek sukcesu. Ten z kolei zapisał kontrakt Barkerowi J. Allen, który ponowił zabiegi nad realizacją rachunku. Nie było mu jednak dane dożyć tej chwili. Barker J. Allen przekazał sprawę Ansonowi G. Rogers, który dojrzał już był do Dziewiątej Instancji, kiedy i jego zaskoczyła nieubłagana śmierć. Pozostawił on kontrakt swemu krewnemu z Connecticut, nazwiskiem Yengeance Brown, który wytrzymał cztery tygodnie i dwa dni i pobił dotychczasowy rekord osiągając Dwunastą

Instancję. W testamencie przekazał on kontrakt swemu wujowi Johnsonowi, przewiskiem „Wesołek”, dla którego okazało się to jednak zbyt wyczerpujące. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie płaczcie po mnie, ja pragnę umrzeć.” I życzeniu tego nieszczęśnika stało się zadość. Następnie siedem osób dziedziczyło kolejno kontrakt, wszyscy wymierali jednak jak muchy. I tak testament dostał się wreszcie w moje ręce. Przypadł mi przez krewnego nazwiskiem Hubbard, Bethlehem Hubbard, rodem z Indiany. Żył on do mnie zadawnioną urazę; w ostatnich jednak chwilach życia posłał po mnie, wybaczył mi wszystko i płacząc wręczył kontrakt tragicznie zmarłego Johna W. Mackenzie.

Tu kończy się historia aż do momentu, w którym przejąłem rzecz w moje ręce. Obecnie postaram się ujawnić narodowi z całą szczerością wszystko to, co dotyczy mego udziału w tej sprawie. A zatem, wzięwszy kontrakt wraz z rachunkiem za podróż i transport, udałem się do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Prezydent rzekł:

– No i cóż, mój panie, co mogę zrobić dla pana?

Odpowiedziałem:

– Panie prezydencie, około dnia 10 października 1861 r. zmarły John Wilson Mackenzie, rodem z Rotterdamu, hrabstwo Chemung, New Jersey, zawarł z rządem umowę na dostarczenie generałowi Shermanowi trzydziestu beczek mięsa...

Niestety, prezydent przerwał mi w tym momencie i pozbawił mnie przyjemności przebywania w jego towarzystwie w sposób uprzejmy, lecz stanowczy. Nazajutrz odwiedziłem sekretarza stanu.

Sekretarz stanu rzekł:

– No i cóż, mój panie?

Odpowiedziałem:

– Wasza królewska mość! Około dnia 10 października 1861 r. zmarły John Wilson Mackenzie, rodem z Rotterdamu, hrabstwo Chemung, New Jersey, zawarł z rządem umowę na dostarczenie generałowi Shermanowi trzydziestu beczek mięsa...

– To wystarczy, panie, to wystarczy. Nasz urząd nie ma nic do czynienia z dostawcami mięsnymi.

Musiałem wyjść. Przemyslałem całą sprawę i następnego dnia odwiedziłem ministra marynarki, który rzekł:

– Proszę się streszczać, bo nie mam czasu na czekanie.

Powiedziałem:

– Wasza królewska mość...

I tutaj nie udało mi się dobrać dalej. Minister marynarki również nie miał nic wspólnego ze sprawą dostawy mięsa dla generała Shermana. Przyszło mi na myśl, że jest to jakiś zgoła dziwny rząd. Wyglądało na to, jak gdyby chcieli wykręcić się od płacenia za mięso. Następnego dnia udałem się do ministra spraw wewnętrznych.

Powiedziałem:

– Wasza cesarska mość, około dnia 10 października...

– Dostyc, słyszałem już o panu. Niech pan idzie i zabierze ze sobą swój przeklęty kontrakt. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie ma nic wspólnego z zaprowiantowaniem wojsk.

Poszedłem. Byłem zrozpaczony. Powiedziałem sobie, że będę ich nawiedzał, że będę prześladował każde z tych niegodziwych ministerstw dopóty, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona. Zrealizuję rachunek lub padnę w boju, tak jak padli moi poprzednicy. Zaatakowałem więc ministra poczty, napadłem na ministra rolnictwa; gdybałem przewodniczącego Izby Reprezentantów. Żaden z nich nie miał nic wspólnego ze sprawami dostaw mięsnych dla armii. Wybrałem się nawet do komisarza Urzędu Patentowego.

Powiedziałem:

– Wielce dostojna ekscelencjo, około...

– Przekleństwo! Już i tutaj przyłazł ten z kontraktem mięsnym! Nie mamy nic do czynienia z dostawami dla armii, mój panie!

– To wszystko bardzo pięknie, ale ktoś musi za to mięso zapłacić. Więc albo dostanę zaraz pieniądze, albo rozwalę całą tę starą budę łącznie z zawartością!

– Ależ, mój panie...

– Nic mnie to nie obchodzi. Stwierdzam, że Urząd Patentowy jest odpowiedzialny za to mięso; a zresztą odpowiedzialny czy nie, właśnie Urząd Patentowy mi za nie zapłaci.

Nie zagłębiajmy się w szczegóły. Skończyło się to bojem, z którego wyszedł zwycięsko Urząd Patentowy. Ale i ja zanotowałem pewien sukces. Dowiedziałem się mianowicie, że właściwym miejscem dla załatwienia mojej sprawy jest Ministerstwo Skarbu. Poszedłem tam. Po dwu i pół godzinnym czekaniu dostałem się przed oblicze ministra.

Powiedziałem:

– Wielce czcigodny, szlachetny i wielebny lordzie, około 10 października 1861 r. John Wilson Macken...

– To wystarczy, mój panie. Słyszałem już o panu. Niech mi pan nie zabiera czasu i pójdzie do pierwszego referenta.

Uczyliem tak. Ten posłał mnie do drugiego referenta, drugi referent posłał mnie do trzeciego. Trzeci zaś referent skierował mnie do pierwszego kontrolera Sekcji Konserw Mięsnych. Ten sprawdził dokładnie w swych książkach i luźnych kartkach, jednak bez żadnego rezultatu. Mimo to byłem pokrzepiony na duchu. W ciągu tygodnia dotarłem do szóstego kontrolera sekcji; następnego tygodnia przebrnąłem przez Wydział Zażaleń; trzeciego załatwiłem Wydział Zagubionych Kontraktów i stanąłem pewną stopą w Wydziale Poświadczania Zgonów. Po trzech dniach pozostało mi już tylko jedno miejsce: Biuro Komisarza Działu Niezlikwidowanych Pozostałości. Dygnitarza tego nie zastałem, zwróciłem się więc do jego urzędników. W pokoju urzędowało szesnaście pięknych i młodych niewiast, zapisujących coś skrętnie w książkach, oraz siedmiu szczęśliwych młodzieńców, udzielających im niezbędnych wskazówek. Dziewoje uśmiechały się spoza ksiąg, młodzieńcy odwzajemniali im uśmiechy i w ogóle wszystko odbywało się jak gdyby przy akompaniamencie dzwonów weselnych. Dwóch czy trzech urzędników, którzy pochłonięci byli czytaniem gazet, spojrzano na mnie w sposób raczej ostry, nie przerywając lektury i nie odzywając się ani słowem. Przyzwyczailem się jednak do tej uprzejmości w traktowaniu interesantów przez czwartych zastępców młodszych kancelistów; zaznałem jej dosyć w czasie mej bogatej kariery pomiędzy Pierwszą Instancją Sekcji Konserw Mięsnych a Ostatnim Wydziałem Poświadczania Zgonów. Zdobyłem w tym czasie taką rutynę, że od chwili mego wejścia do biura, aż do chwili kiedy odezwał się do mnie urzędnik, mogłem stać na jednej nodze zmieniając pozycję dwa, a najwyżej trzy razy.

Tak wiec stałem, tym razem jednak czterokrotnie zmieniając nogę. W końcu odezwałem się do jednego z czytających urzędników:

– Prześwietny wędrowcze, gdzie znajduje się wielki wezyr?

– Kogo pan ma na myśli, panie? Jeśli idzie o szefa biura, to jest on nieobecny.

– A czy wstąpi dzisiaj do haremu?

Młodzieniec popatrzył na mnie przez chwilę, a potem znowu zagłębił się w lekturze. Ale ja znałem nawyki tego typu urzędników. Wiedziałem, że jeśli skończy przed nadejściem nowojorskiej poczty, jestem ocalony. Pozostały mu już tylko dwa dzienniki. Po chwili skończył czytanie, ziewnął i zapytał, o co mi idzie.

– Oślawiony i sławetny głupcze! Około dnia...

– Ach, więc to pan jest tym człowiekiem z... kontraktem mięsnym. Poproszę o papiery.

Wziął ode mnie dokumenty i przez długi czas grzebał się w niezlikwidowanych pozostałościach. Wreszcie odnalazł ślad umowy na dostawę mięsna, odnalazł – mówiąc obrazowo – skałę, o którą rozbiły się wszystkie usiłowania moich poprzedników. Byłem

głęboko wzruszony. Jednocześnie nie mogłem się nacieszyć faktem, że pozostałem jednak przy życiu. Powiedziałem z drżeniem w głosie:

– Niech mi pan wyda te papiery. Teraz rząd będzie je musiał załatwić...

Urzędnik powstrzymał jednak mój zapal stwierdzając, że trzeba jeszcze przedtem dokonać pewnych formalności.

– Gdzie jest John Wilson Mackenzie? – spytał.

– Umarł.

– Kiedy umarł?

– Nie tyle umarł, ile został zamordowany.

– W jaki sposób?

– Za pomocą tomahawka.

– Kto go zabił?

– No jakżeż, oczywiście, że Indianie. Nie przypuszcza pan chyba, że superintendent szkoły niedzielnej, co?

– Nie. Więc to był Indianin?

– Właśnie.

– Nazwisko Indianina?

– Jego nazwisko? Nie znam jego nazwiska!

– Muszę mieć jego nazwisko! A kto był świadkiem morderstwa?

– Nie wiem.

– Pana nie było przy tym, co?

– Może pan poznać po mojej czuprynie, że mnie tam nie było.

– Więc skąd pan może wiedzieć, że Mackenzie nie żyje?

– Ponieważ on z pewnością wtedy umarł. A od tego czasu, jak mam prawo sądzić, już nie żył. Po prostu wiem, że nie żył.

– Musimy mieć dowody. Czy pan może sprowadzić Indianina?

– Ależ oczywiście, że nie.

– Musimy mieć Indianina. Czy pan ma tomahawk?

– Nigdy nic podobnego nie miałem.

– Musi pan mieć tomahawk. Musi pan wystarać się o Indianina i tomahawk. Jeśli w ten sposób śmierć Mackenzie'go zostanie dowiedziona, to może pan zwrócić się wówczas do Komitetu Specjalnego i mieć nadzieję, że już pańskie dzieci otrzymają pieniądze. Poza tym mogę powiadomić pana, że rząd nigdy nie zgodzi się zapłacić za kosztą transportu i podróży nieodżałowanego Mackenzie'go. Być może natomiast, że zgodzi się zapłacić za tę jedną beczkę mięsa, która dostała się w ręce żołnierzy Shermana, jeżeli oczywiście postara się pan o specjalne zezwolenie Kongresu na wypłatę tej sumy. W żadnym razie jednak rząd nie będzie honorował rachunku za dwadzieścia dziewięć beczek mięsa zjedzonego przez Indian.

– Więc w takim razie mogę liczyć na sto dolarów, a i to nie jest jeszcze pewne! Po podróżach Mackenzie'ego wzdłuż Europy, Azji i Ameryki; po wszystkich nieszczęściach i strapieniach; po istnej rzezi tylu niewinnych obywateli, którzy usiłowali zrealizować rachunek! Młodzieńcze, czemu nie powiedział mi tego pierwszy kontroler Sekcji Konserw Mięsnych?

– Nie znał on istoty pańskiej sprawy.

– A dlaczego nie powiedział mi drugi i trzeci kontroler? Dlaczego nie zakomunikowano mi tego we wszystkich waszych sekcjach i wydziałach?

– Bo nikt nie znał sprawy. My pracujemy tutaj według pewnego schematu. Szedł pan drogą służbową i otrzymał pan żądane informacje. To jest najlepsza droga. To jest jedyna droga. Możliwe, że jest ona powolna, ale za to jaka pewna!

– Tak, pewna śmierć, przynajmniej dla większości członków mego rodu. I ja zaczynam odczuwać, że dni moje są policzone. Młodzieńcze, kochasz z pewnością tę cudną

niebieskooką istotę z obsadką za uchem. Widzę to po twych czułych spojrzeniach. Chcesz ją poślubić, ale z pewnością jesteś ubogi. Masz, oto jest kontrakt mięsny; bierz go, żeń się i bądźcie szczęśliwi. Niech was Bóg błogosławi, moje dziatki!

Oto wszystko, co wiem o sprawie kontraktu na dostawę mięsa, która wzbudziła tyle zainteresowania wśród naszego społeczeństwa. Obdarowany przeze mnie urzędnik już nie żyje. Nic więcej mi nie wiadomo. Dowiedziałem się natomiast, że jeśli człowiek żyje dostatecznie długo, aby przebrnąć przez urząd waszyngtoński, to może wreszcie po niekończących się zabiegach i kłopotach dowiedzieć się tego, czego mógłby się właściwie dowiedzieć w czasie swej pierwszej wizyty w urzędzie, gdyby funkcjonował on w jakiś ludzki sposób.

ROGERS

Poznałem Rogersa przypadkowo w czasie mego pobytu w miasteczku X, w południowej Anglii. Rogers opierał tezę o bliskim pokrewieństwie między nami na fakcie, że jego ojczym ożenił się był w swoim czasie z daleką krewną mego ojczyma, którego potem powieszono.

Przyłąził do mnie dzień w dzień, rozsiadał się jak u siebie w domu i paplał. Spomiędzy wszystkich przyjemnych natrętów, których wścibstwo dało mi się kiedykolwiek we znaki, jemu oddaję bez zastrzeżeń palmę pierwszeństwa.

Wpadło mu raz do głowy obejrzeć mój cylinder. Przystałem na to chętnie, pomyślawszy, że skoro przeczyta wewnątrz firmę słynnego kapelusznika przy ulicy Oksfordzkiej, wzrosnę tym samym w jego opinii. Obracał go jakiś czas na wszystkie strony z widocznym politowaniem, potem wyskrobał na rondzie dwie czy trzy plamki, wreszcie zauważył, że jako od świeżo przybyłego trudno ode mnie wymagać, abym wiedział, gdzie się załatwia tego rodzaju sprawunki. Co rzekłszy zawołał:

– Pozwól no pan! – i począł wycinać z kawałka czerwonej tapety ozdobny krążek, który wkleił za pomocą gumy arabskiej do mego cylindra w taki sposób, że firma fabrykanta, z której byłem tak dumny, została zupełnie zasłonięta.

– Teraz przynajmniej nikt nie będzie mógł poznać, gdzie pan kupił ten nieszczęsny kapelusz. Przyślę panu potem znak firmowy mojego kapelusznika, to go pan sobie wklei w to samo miejsce.

Czy można sobie wyobrazić coś prostszego?... Toteż wprawił mnie w nieopisany podziw, zwłaszcza że jego własny kapelusz leżał na stole tuż przede mną: rura przedpotopowego fasonu, od Bóg wie jak dawna wyszła z mody, wytarta z włosa na łyso, zrudziła na deszczach i okolona – niby równikiem – tłustą, przepoconą smugą.

Innym razem przyczepił się znów do mojego surduta. Nie miałem najmniejszych obaw co do pomyślnego wyniku tych oględzin, gdyż na kryształowych drzwiach pracowni mego krawca złoci się napis: „Nadworny dostawca Jego Królewskiej Mości Księcia Walii” itd. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że napisy tej treści znajdują się na wszystkich krawieckich magazynach w Anglii, a nawet w niejednym zakładzie na kontynencie i że o ile według stwierdzonego od wieków przysłowia dopiero dziesięciu krawców znaczy tyle co jeden kompletny człowiek, to przynajmniej stu pięćdziesięciu krawców potrzeba, aby mniej więcej kompletnie ubrać jednego angielskiego księcia.

Tymczasem wyobraźcie sobie państwo, surdut mój przyprawił Rogersa o rozpacz!... Dał mi niezwłocznie adres swojego krawca zapewniając, że bylebym się nie przyznał do mego literackiego pseudonimu, zostaną obsłużony jak najlepiej. Albowiem nieznanе nazwisko (a ja byłbym przysiągł, że sława mego pseudonimu sięga po wszystkie krańce Anglii... co za rozpacz!...) nie zobowiąże krawca do niczego, natomiast jeśli powołam się na niego, Rogersa, wszystko potoczy się inaczej.

Zauważyłem żartem:

– Ale krawiec gotów jeszcze wtedy pracować dniami i nocami i nadwerężyć sobie zdrowie.

– To nic – odrzekł z całą powagą Rogers – zrobiłem dla niego dosyć, dość dałem mu dowodów uznania dla jego pracy.

Moim dowcipem rozśmieszyłbym prędzej mumię niż tego człowieka.

On tymczasem kontynuował z flegmą:

– Wszystkie moje garnitury szyte są w tej pracowni. W innych niepodobna pokazać się na ulicy.

Zazartowałem znowu:

– Szkoda, że nie nałożył pan dzisiaj któregoś z nich, rad bym bardzo zobaczyć...

– Cóż do licha! – obruszył się – a cóż w takim razie mam na sobie?... To właśnie robione u Morgana.

Przyjrzałem się uważnie jego ubraniu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że surdut kupiony został na tandecie przed mniej więcej dwudziestu laty. Zupełnie nowy kosztować mógł najwyżej cztery dolary. Obecnie zaś był znoszony do ostateczności, wytarty, wystrzępiony i popruty, a przy tym niemożliwie poplamiony. Nie umiałem powstrzymać się od zwrócenia mu uwagi na puszczające szwy... Wywarło to jednak na nim takie wrażenie, że pożałowałem natychmiast mej złośliwości. W pierwszej chwili zdawało się, że Rogers wpada w otchłań bezdennej bólu. Opamiętał się jednak wkrótce i z gestem odtrącającym jakby wszelkie współczucie świata rzekł spokojnym, choć jak mi się zdawało, żalonym tonem:

– Panie! To nic... Nie pytaj mnie pan o to. Wdzięję inny.

A odzyskawszy po chwili zwykłą fantazję zawołał:

– Ba! wiem już... To sprawka mego służącego, który mnie rano ubierał!...

Jego służący!... Nie, wiecie państwo, było coś rozbijającego w tej bezczelności!

W podobny sposób zaszczycił co dzień swą uwagą coraz to inną część mego stroju – idiotyczne zainteresowanie, trudne naprawdę do zrozumienia u człowieka posiadającego w całym swoim majątku jedno jedyne ubranie, sporządzone według wszelkiego prawdopodobieństwa za czasów wojen krzyżowych.

Może był to podszept dziecinnej próżności – coraz bardziej jednak opanowywało mnie pragnienie, aby chociaż raz wzbudzić w tym człowieku podziw dla czegoś, co było moją własnością. W tobie również, kochany czytelniku, obudziłoby się może podobne uczucie... Sposobność nie kazała na siebie długo czekać. Wybierając się z powrotem do Londynu zestawilem sobie spis lepszej bielizny przeznaczonej do prania. Utworzyła ona w kącie pokoju spory pagórek: pięćdziesiąt pięć kawałków. Raz jeszcze przejrzawszy listę położyłem ją na stole, niby przez zapomnienie. Rozumie się, że Rogers nie omieszkał zaraz po przekroczeniu progu mego mieszkania ująć jej w swe szpony, a zlustrowawszy szczegółowo treść aż do ogromnej sumy u spodu, mruknął lakonicznie, odkładając papier:

– To zapewne z ostatniego tygodnia?... Powinien pan sobie niejedno dokupić.

Trudno wyobrazić sobie rękawiczki w bardziej opłakanym stanie aniżeli te, które nosił. Nie przeszkadzało mu to wcale doradzać mi, gdzie mogę się zaopatrzyć w ten sam gatunek. Miał również dziurawe buty, ale za to nosił w krawacie szpilkę z wprawionym w nią szkiełkiem, które nazywał „diamentem morfilitycznym” – diabli wiedzą, co to miało znaczyć – i co do którego utrzymywał, że w ogóle tylko dwa podobne okazy zostały dotychczas znalezione, przy czym drugi znajduje się w posiadaniu cesarza chińskiego.

Później, w Londynie, miałem nieraz sto pociech, kiedy mnie ten włóczykij i fantast zagadywał w palarni hotelowej na swój arystokratyczny sposób. Zawsze musiał mieć jakąś nową zmyśloną wielkość na języku; jedyną rzeczą nieulegającą zmianie był u tego człowieka jego strój.

Ile razy wypadło mu zwrócić się do mnie w obecności osób nieznanomych, mówił zawsze podniesionym głosem: „Sir Ryszardzie” albo: „Generale!” lub wreszcie: „Wasza lordowska mość!”

A gdy obecni przypatrywali nam się z uwagą i zaciekawieniem, zarzucał mnie natychmiast pytaniami, dlaczego nie przyszedłem wczoraj wieczorem do księcia Argyll, i przypominał mi, że jesteśmy na najbliższy dzień zaproszeni do księcia Westminster. Nie ręczę doprawdy, czy z czasem sam nie zaczął wierzyć w te bzdury.

I tak, na przykład, zjawił się u mnie pewnego dnia z prośbą, abym poszedł z nim do hrabiego Warwick, gdzie spędzimy razem wieczór. Odparłem na to, że nie mam formalnego zaproszenia. Na co on, że to nic nie znaczy, ponieważ hrabia nie bawi się z nim ani z jego przyjaciółmi w żadne ceremonie. Zapytałem go, czy mogę tam iść tak, jak stoję. Odpowiedział, że niepodobna. W domu dżentelmena wieczorem nie można zjawić się inaczej, jak tylko w stroju wizytowym. Oświadczył, że zaczeka, aż się przebiorę, po czym udamy się do niego, gdzie znowu ja poczekam przy butelce szampana i cygarze, aż on zmieni ubranie.

Ponieważ byłem bardzo ciekawy końca tej całej historii, przywdziałem strój wieczorowy i poszliśmy.

Zaproponował, jeśli nie mam nic przeciwko temu, abyśmy poszli pieszo. Przystałem nie przewidując, że marsz ten wśród mgły i błota potrwa przeszło godzinę. Przybyliśmy na koniec do jego apartamentu, który składał się z jednej izdebki w bocznej uliczce nad sklepikiem fryzjera. Dwa krzesła, stolik, stara kanapa, miednica i dzbanek, nieposłane łóżko, ułamek lustra, wazonik z uschlą geranią (nazwał ją tajemniczo „egzotycznym kwiatem, zakwitającym tylko raz na sto lat”; prezent od zmarłego lorda Palmerstona, za który ofiarowywano mu już olbrzymie sumy) – oto całe umeblowanie. Dodać tu jeszcze należy lichtarz z ogarkiem świecy.

Rogers zapalił światło i poprosił, abym usiadł i rozgościł się. Zaraz potem oświadczył, że jeśli bym miał pragnienie, może uraczyć mnie szampanem takiej marki, jaka pojawia się w handlu tylko wyjątkowo. A może wolę sherry lub porto?... Ma w piwnicy porto okryte na grubość palca pajęczyną, której każda warstwa oznacza jedną ludzką generację. Co się zaś tyczy cygar – lecz te niech już sam osądź! Wychylił głowę przez drzwi i krzyknął:

– Sackville!

Żadnej odpowiedzi.

– Hejże!... Sackville!

Znów nic.

– Co się, u diabła, dzieje z piwniczym?... Nie pozwalałam służbie nigdy... Ach, patrzcie no!... Ten bałwan musiał wziąć z sobą przez pomyłkę klucze... Bez kluczy nie dostanę się do drugiego pokoju...

Zdumiewało mnie, wyznając, w cichości serca zuchwalstwo, z jakim ten łgarz podtrzymywał bajkę o szampanie, i starałem się wyobrazić sobie, jak się z tego wywikła.

W tej chwili przestał wołać Sackville’a, natomiast krzyknął:

– Angely!

Ale Angely nie pokazał się także.

– To już drugi raz koniuszy pozwolił sobie wyjść do miasta bez mego pozwolenia. Nie ma co, wypędzę go jutro!

Teraz zaczął wołać Tomasza, a kiedy Tomasz nie przychodził – Teodora, lecz i Teodor bynajmniej się nie zjawił.

– Dam lepiej pokój – oznajmił mi wówczas. – Służba nie przywykła do tego, abym wracał do domu o tej godzinie, więc się porozłaźła. Bez koniuszego i stajennych mogę się ostatecznie obyć, a jeżeli nie dostaniemy się dzisiaj do cygar i wina, to także nie taka straszna historia... Ale jak ja się przebiorę bez lokaja?

Pospieszyłem ofiarować mu moją pomoc w tym względzie, nie chciał jednak słyszeć o niczym podobnym. Dał mi do zrozumienia, że czułby się skępowany, gdyby nie miał przy ubieraniu pomocy wprawnej ręki. Zresztą, zakończył, jako stary przyjaciel hrabiego nie urazi

go przybyciem raz, wyjątkowo, w zwykłym spacerowym stroju. Wzięliśmy dorożkę, podał woźnicy adres i pojechaliśmy. Pojazd zatrzymał się przed jakąś wielką budowlą.

Ledwieśmy wysiedli, przystanął pod jedną z latarni i wyjąwszy z kieszeni surduta archaiczny papierowy kołnierzyk oraz krawat, począł je sobie przypinać. Po czym wstąpił na schody i zniknął za progiem domu, nakazawszy mi gestem, abym się zatrzymał. Natychmiast jednak ukazał się z powrotem i biegnąc ku mnie z żywością, wołał:

– Chodź pan... prędko!...

Przyśpieszyliśmy kroku i skręciliśmy za najbliższy róg.

– Teraz jesteśmy bezpieczni – rzekł zadyszany zdejmując z szyi kołnierzyk i krawat i chowając je do kieszeni. – Udało nam się szczęśliwie umknąć.

– Nie rozumiem...

– Na świętego Jerzego! Hrabina jest w Londynie!...

– Więc cóż stąd? Czy hrabina pana nie zna?

– Czy mnie nie zna?... Ależ ona szaleje za mną!... Toteż zobaczywszy ją teraz przypadkiem, zanim mnie spostrzegła, cofnąłem się czym prędzej!... Od dwu miesięcy nie widzieliśmy się. Tak nagle zjawienie się przed nią mogłoby pociągnąć za sobą najfatalniejsze następstwa. Nie potrafiłaby z pewnością znieść tego spokojnie. Ale trudno mi było przewidzieć, że wróciła do Londynu... Wiedziałem, że bawi w jednym ze swoich zamków na wsi... Wesprzyj mnie pan, proszę... Trochę tylko... Tak, dziękuję... Już mi lepiej... Bardzo dziękuję!... Nieba!... Ależ zmykałem...

Tak tedy nie byłem na wieczorze u hrabiego. Zapamiętałem jednak dom, aby się poinformować później... I cóż? Okazało się, że to nie pałac hrabiego, ale najzwyczajniejsza czynszowa kamienica, i że mieszka tu od strychu aż do piwnic najuboższa ludność Londynu.

W niektórych sprawach Rogers przestawał być narwańcem, w innych zaś był nim w całym tego słowa znaczeniu, choć o tym z pewnością nie wiedział. Umiał w takich razach zachować niczym niewzruszoną powagę.

Zeszłego lata rozstał się z tym światem na morzu jako hrabia Ramsgate.

ROMANS ESKIMOSKI

Tak, opowiem panu coś z mojego życia, coś, co pana zainteresuje, panie Twain – mówiła łagodnie, a jej uczciwe oczy spoczęły na mojej twarzy – bo to uprzejmie i ładnie z pana strony, że mnie pan lubi i chce się czegoś o mnie dowiedzieć.

W zamyśleniu zaczęła małym kościanym nożykiem zdrapywać z policzka tłuszcz wielorybi i przenosić go na futrzany rękaw. Spoglądała przy tym na zorzę polarną rozlewającą po niebie swe płomienne rzeki, aby pokryć bogatymi barwami tęczy płaszczyzny zasłane śniegiem i katedry lodowców. Był to widok olśniewający pięknnością i przepychem.

Otrząsnąwszy się z krótkiego zamyślenia dziewczyna usiadła sobie wygodnie na bloku lodowym, który służył nam za kanapę, a ja przygotowałem się do słuchania.

Była to piękna dziewczyna, piękna z punktu widzenia eskimoskiego. U nas powiedziano by, że jest cokolwiek za tłusta. Skończyła właśnie lat dwadzieścia i bezsprzecznie uchodziła za najbardziej czarującą z całego plemienia. Nawet i teraz, na otwartym powietrzu, ubrana w niekształtne, szerokie futro, w męskie spodnie i buciska oraz wielki kapelusz, zachwycała piękną twarzą. Figurę trzeba było przyjąć na wiarę. Wśród gości przychodzących, aby pożywić się przy gościnnym korycie jej ojca, nie widziałem ani jednej dziewczyny dorównującej jej urodą.

Mimo to nie była zepsuta. Słodka, szczerą, naturalna, wiedziała może, że jest piękna, nigdy jednak nie dawała po sobie poznać, że wie o tym.

Już od tygodnia towarzyszyła mi codziennie, a im lepiej ją poznawałem, tym więcej ją lubiłem.

Wychowana została z czułą starannością w atmosferze niesłychanie, jak na podbiegunowe stosunki, subtelnej. Ojciec jej był głową plemienia i reprezentował szczyt kultury eskimoskiej. W towarzystwie Lasci – było to jej imię – przebyłem długie drogi na saniach zaprzężonych w psy, razem przebrnęliśmy przez wielkie pola śnieżne. Towarzystwo jej było zawsze miłe, a rozmowa zajmująca.

Chodziłem z nią na ryby – nie wsiadałem jednak do jej zdradliwej łódki, nie, po prostu biegłem za nią po lodzie patrząc, z jak niesłychaną precyzją posługuje się swym długim oszczepem. Razem chodziliśmy na foki. Kilkakrotnie nawet przyglądałem się stojąc na uboczu, jak wypuszczała wraz z rodzicami tran z przyholowanego wieloryba. Raz towarzyszyłem jej przez jakiś czas, gdy wyruszyła na polowanie na niedźwiedzia. Przed końcem jednak zawróciłem, ponieważ w głębi duszy czuję lęk przed niedźwiedziami.

A oto jak brzmiało jej opowiadanie:

– Plemię nasze, jak i inne plemiona, od wieków przywykło do wędrówek przez zamrożone morza. Przed dwoma laty jednak ojciec mój, zmęczony ustawiczną wędrówką, zbudował sobie ten oto wielki dom ze złomów zamrożonego śniegu. Niech pan spojrzysz na niego: ma siedem stóp wysokości i jest trzy czy cztery razy dłuższy niż wszystkie inne. Odtąd zamieszkaliśmy tutaj.

Ojciec mój był bardzo dumny ze swego domu i miał rację. Jeżeli pan mu się przyjrzał uważnie, to zauważył pan, o ile lepiej i wykwintniej jest umeblowany niż zwykłe domy.

Jeżeli nie, to niech go pan obejrzy, a przekona się pan, że zbytkownym urządzeniem przewyższa naprawdę zwykłą miarę. Na przykład w tym końcu, który nazwał pan salonem, wzniesiono specjalną platformę, aby goście i rodzina mogli wygodniej siedzieć przy jedzeniu. Jest to największa platforma ze wszystkich, jakie pan w życiu widział, prawda?

– Tak, Lasco – odrzekłem. – Masz zupełną słuszność. Nic podobnego nie posiadają nawet najwykwintniejsze domy w New Yorku.

Wiadomość ta zapaliła w jej oczach iskry dumy i radości. Zauważyłem to i postanowiłem wyzyskać.

– Wiedziałaś od razu, że będzie to dla pana niespodzianką – powiedziała. – I jeszcze jedna rzecz. Futra na tym wzniesieniu są dużo puszystsze niż w innych domach. Wszystkie rodzaje futer: foki, wydry, srebrne lisy, niedźwiedzie, nurki i sobole leżą tam jedne na drugich. Podobnie zasłane są stojące pod ścianami ławy ze złomów lodowych, które nazwał pan łózkami. Czy wzniesienia i ławy do spania w domu pana lepiej są zaopatrzone?

– Nie, nie są nawet w przybliżeniu tak dobrze zaopatrzone.

Znów sprawiłem jej przyjemność. Miała na myśli jedynie ilość futer, w jaką jej papa-esteta zaopatrzył swój dom, a nie ich jakość. Mogłem uświadomić ją, że te stopy bogatych futer stanowią wielki majątek, przynajmniej w moim kraju, ale nie rozumiałyby tego. Rzeczy tych w jej plemienu nie zaliczano do bogactw.

Mogłem jej powiedzieć, że to, co ma na sobie, że codzienny strój przeciętnej osoby z jej otoczenia wart jest tysiąc dwieście do tysiąca pięciuset dolarów i że u siebie nie znałem nikogo, kto by chodził na ryby w toaletach za tę cenę. Ale nie rozumiałyby tego, więc nie rzekłem nic. Mówiła dalej:

– A szafliki? Mamy dwa w salonie i dwa w innych pokojach. Rzadko kto ma dwa szafiki w salonie. Czy w swoim salonie ma pan dwa szafliki?

Wspomnienie tych misek przyprawiło mnie o atak duszności, ale zapanowałem nad sobą, zanim to spostrzegła, i odrzekłem z zapalem:

– O, Lasco! Choć wstyd mi źle wyrażać się o własnej ojczyźnie, przyznam ci jednak w tajemnicy, że najbogatszy nawet obywatel New Yorku nie ma u siebie w salonie dwóch szaflików.

Z rozkoszy klaskała w ręce pokryte futrem rękawic wołając:

– Pan żartuje, pan na pewno żartuje!

– Nie, kochanie, mówię całkiem poważnie. Weź na przykład

tda. Vanderbilt jest prawie najbogatszym człowiekiem świata. Otóż przysięgłbym ci na śmiertelnym łożu, że nie ma on aż dwóch szaflików w swoim salonie. Tak, nie ma nawet jednego i niech skonam na szlaku, jeżeli kłamię!

Jej piękne oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, słowa stały się powolne, a głos nie był pozbawiony grozy, gdy rzekła:

– Jakie to dziwne! Wprost nie do wiary. Trudno sobie to wyobrazić. Czy on jest skąpy?

– Nie, nie to. Nie szło mu o wydatek, ale wiesz, no tak! Wyglądałoby to na przechwałki! Tak, to było właściwym powodem: jest on w swoim rodzaju prostym człowiekiem i nie lubi się popisywać.

– To prawda, skromność jest dobra, o ile nie posuwa się zbyt daleko, ale jak wobec tego wygląda jego dom?

– Cóż, oczywiście wygląda trochę nago, brak mu wykończenia, ale...

– O, na pewno! Nigdy nic podobnego nie słyszałam. Ale czy pod innymi względami dom jego jest ładny?

– Bardzo ładny. Bardzo dobrze pomyślany... Dziewczyna zamyśliła się. Siedziała przez chwilę cicho gniotąc w milczeniu koniec świecy. Najwidoczniej chciała dojść do jakiegoś wniosku. W końcu potrząsnęła główką i wypowiedziała z przekonaniem swoje zdanie:

– A ja sędzę, że istnieje pewien rodzaj skromności, który w gruncie rzeczy kryje chęć imponowania innym. Jeżeli człowieka stać na zaopatrzenie swego salonu w dwa szafliki, a nie czyni tego, to jest – być może – skromny, ale najprawdopodobniej właśnie w ten sposób chce zwrócić na siebie ogólną uwagę. Według mnie ten wasz Vanderbilt dobrze wie, co robi.

Próbowałem złagodzić jej wyrok o Vanderbilcie, mówiąc, że ideał podwójnego szaflika, choć tak popularny w jej własnym kraju, nie jest miarą, według której należy sądzić wszystkich ludzi. Ale dziewczyna była pewna swego i nie dawała się przekonać: Oto co powiedziała:

– Czy bogaci ludzie w pańskim kraju mają dobre ławy do spania, zrobione z pięknych, szerokich złomów lodowych?

– I owszem, mają bardzo dobre, ale nie ze złomów lodowych.

– Chciałabym wiedzieć dlaczego?

Wyłożyłem jej w miarę swych sił trudności, jakie musiałyby powstać. Mówiłem o drożyznie lodu, o tym, jak trzeba uważać na lodziarza, żeby rachunek nie był bardziej słony niż lód, który przynosi. Wtedy zawołała:

– O rety! To wy kupujecie lód?

– Naturalnie! Musimy, kochanie.

Wybuchnęła śmiechem.

– Nie słyszałam nigdy nic równie głupiego! O Boże! Przecież pełno go wszędzie i nic nie kosztuje. Niech pan spojrzy, ciągnie się na sto mil przed nami. Za wszystko, co pan widzi w tej chwili, nie dałabym rybiego pęcherza.

– Bo nie umiesz go cenić, mała gąsko prowincjonalna! Gdybyś go miała podczas lata w New Yorku, to mogłabyś kupić za niego na jarmarku wszystkie wieloryby.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

– Czy to prawda? – spytała.

– Przysięgam ci – odrzekłem.

Zastanowiło ją to.

– Chciałabym i ja tam mieszkać – westchnęła. Pragnąłem właściwie dać jej tylko wyobrażenie o względnej wartości rzeczy, które ją otaczały, ale nie udało mi się. Odniosła natomiast wrażenie, że w New Yorku jest pełno wielorybów i że są bardzo tanie. Na myśl o tym ślinka napłynęła jej do ust. Zrozumiałem, że trzeba winę naprawić, i powiedziałem:

– Ale gdybyś mieszkała wśród nas, to nie lubiłabyś wielorybiego mięsa. U nas nikt go nie lubi.

– A-ale!

– Naprawdę nie.

– A dlaczego go nie lubią?

– Doprawdy sam nie wiem. Sędzę, że to jakiś przesąd. Zapewne niegdyś ktoś, kto nie miał nic lepszego do roboty, przyczynił się do powstania tego przesądu, a kiedy podobny kaprys raz się zakorzeni, o! wtedy trwa wieki.

– Tak, to prawda. Rzetelna prawda! – odpowiedziała Lasca po namyśle. – To tak jak u nas z uprzedzeniem do mydła. Plemię nasze miało z początku uprzedzenie do mydła, wie pan...

Spojrzałem na nią, aby upewnić się, czy mówi poważnie. Stwierdziłem, że tak. Po chwili wahania zapytałem ostrożnie:

– Przepraszam cię bardzo. Powiadasz, że mieli uprzedzenie do mydła – głos mój załamał się miękko.

– Tak, ale tylko z początku. Nikt nie chciał go jeść.

– A, teraz rozumiem.

Lasca mówiła dalej:

– Było to proste uprzedzenie. Z początku mydło przywozili cudzoziemcy i dlatego nikt go nie lubił. A gdy tylko stało się modne, wszystkim przypadło do smaku. Teraz ma je każdy, kto tylko może sobie na to pozwolić. A czy pan je lubi?

– O, nadzwyczaj! Umarłbym bez mydła, szczególnie tutaj. A ty czy je lubisz?

– Po prostu ubóstwiam! A czy pan lubi świece?

– Uważam je za niezbędne. A ty je lubisz? W oczach jej tańczyły iskierki, gdy wołała:

– Ach, niech pan nie wspomina! Świece i mydło!

– I wnętrzności rybie!

– I tran!

– I ciepłe błoto...

– I tłuszcz wieloryb!!

– I padlina, i kiszona kapusta, i wosk, i dziegieć, i terpentyna, i ślimaki! I...

– Ach, niech pan przestanie, bo skonam z zachwytu!

– I podać to wszystko w kubelku od pomyj i zaprosić sąsiadów na ucztę!

Wizja wspaniałej uczyt zmogła do reszty moje biedactwo. Padła na ziemię zemdlona. Natarłem jej twarz śniegiem i przywróciłem do przytomności. Po chwili udało mi się uśmierzyć jej podniecenie. Odpoczęła i podjęła na nowo swe opowiadanie:

– Tak rozpoczęliśmy życie w naszym pięknym domu.

– Ale ja nie byłam szczęśliwa. A powód był taki: stworzona jestem do miłości. Bez niej nie ma dla mnie szczęścia. Ale chciałam, żeby kochano mnie dla mnie samej. Pragnęłam kogoś uwielbiać, pragnęłam zostać bóstwem mego bóstwa. Namętnej mojej natury nie może zadowolić nic prócz wzajemnego uwielbienia. Konkurentów miałam bez liku, więcej niż potrzeba, ale każdy z nich miał tę samą wadę. Wcześniej czy później wadę tę odkrywałam i żadnemu nie udało się jej zataić. A wada ich polegała na tym, że nie mnie pragnęli, ale mego bogactwa.

– Twego bogactwa?

– Tak, ojciec mój jest najbogatszym człowiekiem w naszym plemieniu i nikt spośród okolicznych plemion nie dorównuje mu bogactwem.

Zastanowiłem się, na czym może polegać bogactwo jej ojca. Nie na domu, bo każdy mógł sobie zrobić taki sam. Nie na futrach, bo nie znano ich wartości. Nie były nim sanie ani psy, harpuny, łódka, igły kościane ani haczyki do wędek. Nie. One nie mogły stanowić o niczym bogactwie. Cóż więc mogło uczynić człowieka tego tak bogatym i sprowadzić chmary nikkzemnych pochlebców do jego domu?

Doszedłem wreszcie do wniosku, że aby się dowiedzieć, najlepiej będzie spytać się wprost. Tak też uczyniłem. Pytaniem moim sprawiłem dziewczynie tak widoczną przyjemność, że musiała chyba z utęsknieniem czekać tej chwili. Cierpiała z chęci powiedzenia mi tego, tak jak ja z chęci dowiedzenia się. Przysunęła się do mnie poufale.

– Niech pan zgadnie, co on posiada. Nigdy pan nie zgadnie!

Udawałem, że głęboko roztrząsam to zagadnienie.

Lasca z rozkoszą pożerała wzrokiem moją skupioną twarz, na której odbijała się wyteżona praca myśli. A gdy wreszcie uznałem swą bezsilność i poprosiłem, aby uspokoiła palącą mnie ciekawość, co też posiada ten podbiegunowy Vanderbilt, przyłożyła usta do mego ucha i szepnęła z przejęciem:

– Dwadzieścia dwa haczyki do wędek, niekościane. Cudzoziemskie, zrobione z prawdziwego żelaza!

Przeięła się w tył gestem dramatycznym, aby lepiej obserwować wywołany efekt. Robiłem, co mogłem, żeby jej nie rozczarować. Zbladłem i szepnąłem:

– Wielkie bogi!

– Słyszysz pan prawdę! Taką prawdę jak to, że pan żyje, panie Twain.

– Lasco, zwodzisz mnie chyba. To niemożliwe!

Przerażona i zmieniona krzyknęła:

– Panie Twain! Każde słowo było szczerą prawdą! Każde słowo, słyszy pan! Niech mi pan wierzy. Wierzy mi pan teraz? Prawda? Niech pan powie, że mi pan wierzy!

– Ja... No tak... Staram się wierzyć. Ale spadło to na mnie tak niespodzianie. Rozumiesz, uderzenie obuchem w głowę! Nie powinnaś podobnych rzeczy mówić tak nagle. To...

– Ach, jak mi przykro! Gdybym przypuszczała, że...

– No, dobrze już, dobrze. Nie mam żalu do ciebie. Jesteś młoda, roztrzepana i nie mogłaś przewidzieć.

– Ach, drogi panie, wiem, że powinnam pana znać lepiej.

– Widzisz, Lasco, gdybyś zaczęła od pięciu czy sześciu haczyków, a potem stopniowo...

– O, rozumiem! Teraz rozumiem! Gdybym dodawała najpierw jeden, potem dwa, potem...

Ach, czemuż nie pomyślałam o tym!

– Uspokój się, moje dziecko. Już mi lepiej. Za chwilę mi to przejdzie zupełnie. Ale, swoją drogą, żeby tak buchnąć od razu dwudziestoma dwoma haczykami w jedną osobę, do tego nie bardzo silną i nieprzygotowaną...

– Tak, to była zbrodnia! Ale przebaczy mi pan, prawda?

Po zebraniu obfitego żniwa pieszczot i pochlebstw przebaczyłem jej.

Była znów szczęśliwa i wróciła do swego opowiadania. Dowiedziałem się po chwili, że skarbiec rodzinny kryje jeszcze jakieś curiosum, zapewne klejnot jakiś, o którego istnieniu powiadomiła mnie tak ostrożnie, jakby się bała, że nagle wypowiedziana prawda może mnie zwalić z nóg po raz drugi.

Ale ja chciałem wiedzieć wszystko i nagliłem ją, aby prędko powiedziała mi, co to jest. Lękała się. Nalegałem, obiecywałem, że tym razem wezmę się w garść i że jestem przygotowany, by znieść ten wstrząs.

Była strwożona, ale chęć odkrycia przede mną tego cudu i radowania się moim zdumieniem przezwyciężyła jej lęk. Wyznała, że ma „to” na sobie. Powiedziała jeszcze, że jeśli jestem zupełnie przygotowany i pewny siebie, to...

W tym miejscu podniosła rękę do piersi i wyjęła spod futer płaski, mosiężny kwadrat. Przez chwilę z lękiem patrzyła mi w oczy. I znów osunąłem się we wcale nieźle udanym omdleniu. Serce Lasco drżało ze strachu, ale jednocześnie wypełniła ją rozkosz. Gdy przyszedłem do siebie i uspokoiłem się, płonęła z chęci dowiedzenia się, co sędzę o jej klejnocie.

– Co myślę o nim? Myślę, że jest to najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Naprawdę? Jak to ładnie, że mi pan to mówi. Ale trzeba przyznać, że jest cudowny, czy nie?

– Naturalnie! Wolałbym posiadać to niż cały równik.

– Zaraz myślałam, że się pan będzie zachwycał – powiedziała Lasca. – Ja też sędzę, że jest nadzwyczajnie piękny! W naszym kraju nie znajdzie pan takiego drugiego. Ludzie znad Oceanu Lodowatego przeszli całą drogę, żeby mu się przyjrzeć! Czy widział pan kiedy podobne чудо?

Powiedziałem, że nigdy w życiu. Dusilem się wypowiadając to wspaniałomyślne kłamstwo. W istocie w swoim czasie widywałem miliony takich klejnotów: skromny skarb Lasco był bowiem mosiężną marką na odbiór bagażu z Dworca Centralnego w New Yorku.

– Na Boga! – mówiłem. – I ty nosisz na sobie coś podobnego, wychodząc bez opieki, nawet bez psa?

– Nie mów tak głośno – odrzekła. – Nikt nie wie, że mam go na sobie. Myślę, że jest w skarbcu u ojca, gdzie zwykle leży.

– Gdzie jest ten skarbiec?

Pytanie było niezręczne. Wywołało chwilowe zdziwienie Lasco, a nawet obudziło w niej podejrzenie. Ale postarałem się ją przekonać.

– Mnie możesz się nie bać, moje dziecko. U nas mieszka siedemdziesiąt milionów osób, a choć sam mówię im, że nie należy tego robić, żadna z nich nie może wytrzymać, żeby mi nie powiedzieć, gdzie chowa swoje haczyki na ryby.

To upewniło Lascę. Zdradziła mi kryjówkę w domu ojca, gdzie leżą haczyki, i przeskoczyła zaraz na inny temat, aby chętnie się wielkością płyt lodowych służących za szyby i móc spytać, czy w swoim domu posiadam równie wielkie. Wyznałem szczerze i bez namysłu, że nie. Tak ją to uradowało, a i mnie sprawiło taką przyjemność, że nie poprzestałem na tym zapewnieniu.

– Lasco – zwróciłem się do niej w te słowa – jakże jesteś szczęśliwa! I piękny dom, i klejnot wspianiały, i skarbiec bogaty, i wytworny śnieg, i bezcenne lodowce, i bezgraniczna pustka, i niedźwiedzie, które są własnością wszystkich, i foki, i szlachetna wolność, i przestrzeń, i oczy, które z uwielbieniem spoczywają na tobie, i szacunek, i hołdy otoczenia – wszystko do ciebie należy, wszystko gotowe bez słów spełniać twe rozkazy. Jesteś młoda, bogata, piękna, pożądana. Jesteś przedmiotem ogólnej zazdrości. Każdy spełnia twe kaprysy i uprzedza twe życzenia. Nie ma rzeczy, której byś pragnęła, a nie mogła otrzymać. Szczęście twoje doprawdy jest bezmierne! Widziałem setki dziewcząt, ale o żadnej z nich nie da się powiedzieć tego wszystkiego, co jest szczerą prawdą w stosunku do ciebie. A przy tym jesteś godna swego losu, Lasco! Wierzę w to niezłomnie.

Słowa moje napawały ją dumą i szczęściem, toteż dziękowała mi za nie kilkakrotnie, a głos jej i oczy zdradzały wzruszenie. Szczególnie uwaga końcowa przypadła jej do smaku. Rzekła wreszcie:

– A jednak nie wszystko w życiu moim jest słoneczne, ma ono swoją ciemną plamę! Ciężko jest dźwigać brzemień bogactwa. Myślę czasami, że byłoby nam lepiej, gdybyśmy byli biedni, a przynajmniej nie tak bogaci. Boli mnie widok sąsiadów, gdy przechodząc obok nas przyglądają mi się z uszanowaniem i szepczą między sobą: „Patrz! To ona, córka milionera!” A czasami dodają ze smutkiem: „Ona opływa w haczyki do wędek, a ja, ja nic nie mam!” Słowa ich ranią mi serce.

Gdy byłem dzieckiem, byliśmy jeszcze biedni. Drzwi od domu zostawialiśmy na całą noc otwarte, ilekroć przyszła nam po temu ochota, a teraz? Teraz trzymać musimy nocnego stróża. Dawniej ojciec mój był łagodny i uprzejmy dla wszystkich, a teraz jest surowy, wyniosły i nie znosi poufałości. Niegdyś jedyną jego troską była własna rodzina, a teraz całymi dniami chodzi i rozmyśla nad haczykami do wędek.

Dzięki bogactwu ma wokół siebie samych pochlebców.

Dawniej nikt nie śmiał się z jego dowcipów, takie to wszystko było stare, marne, naciągnięte i pozbawione jedyne go elementu, który usprawiedliwia istnienie dowcipu: humoru. A teraz wszyscy rechoczą słysząc jego posępne żarty, bo jeśli kto się nie śmieje, ojciec mój jest głęboko niezadowolony i okazuje to.

Dawniej przekonania jego nie były zbyt mądre i jeśli kiedy zdarzyło mu się mieć opinię w jakiej sprawie, zawsze okazywała się bezwartościowa. Obecnie ma on te same braki, a jednak wszyscy chwalą go i zasięgają jego rady. A gdy mu przyklaskują, pomaga im jeszcze, ponieważ nie ma delikatności i jest zupełnie pozbawiony taktu.

Obniżył poziom moralny całego naszego plemienia. Niegdyś była to rasa szczerza i męska, a teraz aż ziejże od nich służalczością. W głębi duszy nie mogę znieść postępowania milionerów! Plemię nasze składało się niegdyś z prostych ludzi, którzy zadowoleni byli z kościanych haczyków, odziedziczonych po przodkach. Obecnie pożera ich chciwość. Honor i uczciwość poświęciliby bez namysłu, byleby zdobyć owe upadające żelazne haczyki cudzoziemców.

Ale zbyt długo rozwodzę się nad tymi smutnymi sprawami.

Otóż, jak już mówiłam, marzeniem moim było być kochaną dla samej siebie. W końcu zdawało mi się już, że pragnienie moje się ziści. Pewnego dnia spotkałam nieznanego.

Powiedział, że nazywa się Kalula. I ja powiedziałam mu swoje imię, a on wyznał mi, że mnie kocha. Serce moje skakało z radości, ponieważ pokochałam go od pierwszego wejrzenia. Powiedziałam mu to. Przycisnął mnie do piersi i mówił, że nie pragnie być szczęśliwszy, niż jest w tej chwili. Długo przechadzaliśmy się we dwoje. Chodziliśmy hen daleko, aż za rzekę, rozmawiając o sobie samych i układając plany, ach, na najpiękniejszą przyszłość. A kiedy zmęczyliśmy się wreszcie, usiedliśmy na ziemi, aby posilić się i odpocząć. On miał mydło i świece, a ja przyniosłam trochę łożu. Byliśmy głodni, jedliśmy, nigdy w życiu nic nam tak nie smakowało.

Należał do plemienia mieszkającego znacznie dalej na północ. Przekonałam się, że nigdy nie słyszał o moim ojcu, i niezmiernie się ucieszyłam. Wiedział co prawda o milionerze, ale nie znał jego nazwiska. Nie mógł więc, jak pan widzi, wiedzieć, że jestem bogatą dziedziczką. Może pan być pewny, że mu tego nie powiedziałam. Nareszcie kochano mnie dla mnie samej. Byłam tak szczęśliwa, tak bardzo szczęśliwa, że nie może pan sobie tego wcale wyobrazić!

Zbliżała się pora wieczery. Zaprowadziłam go do nas. Gdy podeszliśmy do domu, zawołał ze zdziwieniem:

„Jakież wspaniałe dom! Czy należy do twego ojca?” Skurcz schwycił mnie za serce, gdy usłyszałam ton, jakim wymówił te słowa, gdy ujrzałam, jak zapłonęły mu oczy. Ale uczucie to szybko minęło, bo wyglądał pięknie i szlachetnie, a ja go kochałam.

Cała rodzina wraz z ciotkami, wujami i kuzynami była nim zachwycona. Zaproszono dużo gości i dom wypełnił się ludźmi. Zapalono lampy z gałganów. Wszystko dokoła było ciepłe, wygodne i upajające. Tak rozpoczęła się radosna uczta na cześć moich zaręczyn. Pod koniec wieczery ojcu memu nie dała spokoju jego pycha. Nie mógł oprzeć się pokusie pochwalenia się swym bogactwem. Chciał pokazać Kaluli, między jakich dostał się bogaczy, a przede wszystkim nacieszyć się zdumieniem biednego chłopca. Płakać mi się chciało, ale próby przekonania mego ojca były daremne. Nic więc nie mówiłam, tylko siedziałam i cierpiałam.

Ojciec mój przy wszystkich poszedł prosto do kryjówki i wyjął z niej haczyki. Podeszedł do nas i obsypał nimi moją głowę, z której spadały, migocąc, do stóp mego kochanka.

Sam pan rozumie, że niesłychane to widowisko zatrzymało dech w piersiach biednego chłopca. Znieruchomiał. Gapił się głupkowato, dziwił się, jak jeden człowiek mógł dojść do tak niezmiernych bogactw. Nagle wzrok jego rozjaśnił się. Zawołał:

„A więc to pan jest owym słynnym milionerem!” Ojciec mój i wszyscy obecni odpowiedzieli na to salwą radosnego śmiechu. Potem ojciec zaczął zbierać rozrzucone skarby. Robił to od niechcenia, tak jak gdyby zbierał śmiecie bez wartości. Gdy odnosił je na dawne miejsce, zdumienie Kaluli ustąpiło wytężonej pracy myśli.

„Czy możliwe jest, aby chował pan podobne rzeczy, nie przeliczywszy ich uprzednio?”

Na to ojczulek mój zarżał pyszałkowatym śmiechem:

„Nie ma co! Jeżeli jeden lub dwa haczyki są dla ciebie sprawą tak wielkiej wagi, to doprawdy nie trzeba być mędrce, aby zgadnąć, że nigdy nie byłeś bogaty!”

Kalula zmieszał się, schylił głowę i rzekł:

„W istocie, o panie, nigdy nie posiadałem nic, co równałoby się wartości odłamka jednego z tych skarbów, i nigdy dotychczas nie widziałem człowieka, który miałby powód do liczenia swego zbioru haczyków do wędek, ponieważ najbogatszy z ludzi, jakich znałem, miał ich trzy.”

Ojciec mój znów ryknął z nieuzasadnionej radości i starał się wywołać wrażenie, że liczenie haczyków nie leży w jego zwyczaju i że nie strzeże ich ze szczególną uwagą. Sam pan rozumie, że się popisywał.

Czy je liczył? I jak jeszcze! Liczył je każdego dnia.

Drogiemu mojemu chłopcu spotkałam i poznałam o świcie, a przyprowadziłam go, gdy zmrok zapadał, czyli po trzech godzinach, ponieważ o tej porze roku dni stawały się coraz krótsze. Zbliżała się sześciomiesięczna noc.

Uczta trwała jeszcze przez kilka godzin, aż wreszcie goście się rozeszli. Pozostali zajęli wraz z nami ławy pod ścianami i ułożyli się do snu. Po chwili wszyscy już spali oprócz mnie.

Byłam zbyt szczęśliwa, zbyt podniecona, aby móc zasnąć. Leżałam tak długo, bardzo długo, gdy nagle zauważyłam jakiś niewyraźny kształt ludzki przechodzący obok mnie, który znikł w ciemnościach zalegających przeciwległy koniec domu. Nie mogłam odróżnić, kto to był. Nie umiałabym nawet powiedzieć, czy mężczyzna, czy kobieta.

Po chwili postać ta wróciła. Zastanawiałam się, co też to może być, ale nie znalazłam wytłumaczenia. Nie przestając się dziwić zasnęłam.

Nie wiem, jak długo spałam. Zbudził mnie grzmiący okrzyk mego ojca:

„Na wielkiego boga śniegu! Jeden haczyk zginął!”

Coś mnie tknęło, że wisi nade mną nieszczęście – i krew zastygła mi w żyłach. Przeczucie spełniło się w tej samej chwili.

Ojciec mój ryczał:

„Wstawać! Chwytać nieznajomego!”

Ze wszystkich stron posypały się okrzyki i przekleństwa. Ujrzałam niewyraźne postacie ludzkie gwałtownie poruszające się w ciemnościach. Pobiełam jak strzała na pomoc ukochanemu, lecz cóż mogłam poradzić? Czekać i łamać ręce – oto wszystko. Oddzieliła go ode mnie żywa ściana. Skrępowano mu ręce i nogi. Nie chciano mnie dopuścić do niego, póki nie był związany. Rzuciłam się na jego biedne, zbezczeszczone ciało, aby wypłakać moją rozpacz na piersi ukochanego. Tymczasem ojciec wraz z rodziną obsypywał mnie drwinami, a kochanka mego stekiem wyzwisk i przekleństw.

Zniósł niesłuszne zniewagi ze spokojem i godnością. Od tej chwili stał mi się jeszcze droższy. Byłam dumna i szczęśliwa, że cierpię z nim i za niego.

Usłyszałam rozkaz ojca, aby najstarsi z plemienia zebrali się na sąd doraźny nad moim Kalulą.

„Jak to? – zawołałam. – Zanim zaczęto szukać zaginionego haczyka?”

„Zaginiony?” – krzyknęli wszyscy z ironią w głosie, a ojciec mój dodał drwiąco: „Niechaj wszyscy się cofną i zachowają powagę. Ona zamierza poszukać zgubionego haczyka. Nie wątpimy ani na chwilę, że go znajdzie.”

I znów wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nie mieszałam się, nie ulękałam ani nie zważyłam.

„ŚmieJCie się – rzekłam – teraz na was kolej. Ale i nasza nadejdzie. Poczekajcie, a zobaczycie!”

Wzięłam pochodnię i zaczęłam szukać w nadziei, że w ciągu kilku minut znajdę ten nędzny przedmiocik. Byłam tak pewna siebie, że wszyscy spoważnieli myśląc, że może zbyt pośpieszyli się z sądem. Lecz niestety!

O, goryczy tych poszukiwań! Głuche milczenie trwało przez czas tak długi, że można było przeliczyć swoje palce dziesięć lub dwanaście razy. Serce zamierało we mnie, a tymczasem znów zaczęły się drwiny, najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, coraz bezczelniejsze, aż wreszcie, gdy zaniechałam dalszych poszukiwań, salwy okrutnego śmiechu rozbrzmiewały jedno po drugim.

Nikt nigdy się nie dowie, ile wtedy wycierpiałam. Ale miłość była mi podporą i dodawała mi siłę. Zajęłam miejsce u boku Kaluli, zarzuciłam mu ręce na szyję i szepnęłam mu do ucha:

„Jesteś niewinny, mój najdroższy, wiem o tym. Ale chcę, abyś mi to powiedział sam, dla mego spokoju. A wtedy zniosę wszystko, co nam przeznaczają!”

A on na to:

„Jestem niewinny, jak prawdą jest to, że w tej chwili stoję na pograniczu śmierci. Pociesz więc swoje udęczone serce. Pokój z tobą, tchnienie moich nozdrzy, życie mego życia!”

„A teraz niech przyjdzie starszyzna.”

Zaledwie wyrzekłam te słowa, gdy śnieg zatrzeszczał przed domem i ujrzeliśmy schylone postacie wchodzące przez niskie nasze drzwi: sąd.

Ojciec mój formalnie oskarżył więźnia i wyszczególnił wszystkie zdarzenia ostatniej nocy. Powiedział, że stróż był przed domem, a w domu była tylko rodzina i nieznajomy. Czy rodzina kradłaby swoją własność?

Zatrzymał się, a starszyzna siedziała przez kilka minut w milczeniu. Wreszcie jeden z sędziów odezwał się do sąsiada:

„Marnie się to składa dla cudzoziemca.”

Gorzko mi było wysłuchać tych słów! A potem ojciec mój usiadł.

Nieszczęśliwa! W tej właśnie chwili mogłam dowieść niewinności mego kochanka. I nie wiedziałam o tym!

Najstarszy sędzia zapytał, co kto ma do powiedzenia w obronie więźnia. Wstałam tedy i rzekłam:

„A po cóż on miałby kraść haczyk lub kilka haczyków, skoro za kilka dni miałby prawo do wszystkich?”

Stałam czekając. Zapanowało długie milczenie, a para oddechów otoczyła mnie jak mgła. Wreszcie starcy, jeden po drugim, zaczęli kiwać głowami, mówiąc:

„Jest prawda w tym, co powiedziało to dziecko.”

O, jakąż otuchą napełniły mnie te słowa, jakże cenne były one dla mnie! Usiadłam.

„Jeśli kto chciałby coś dodać do sprawy, niech mówi, a potem niech zachowa milczenie” – oznajmił przewodniczący sędzia.

Wtedy wstał mój ojciec i powiedział:

„W nocy koło mego łoża prześliznęła się postać ludzka. Widziałem w ciemności, jak szła w stronę skarbcza, a potem, jak wracała stamtąd. Sądzę, że to był nieznajomy.”

Byłam bliska omdlenia. Myślałam, że jest to moją tajemnicą, której nawet pazury wielkiego boga śniegu nie zdołają wyrwać z mojej piersi! Przewodniczący sądu surowo zwrócił się do Kaluli:

„Mów!”

Kalula zawahał się i odpowiedział:

„Ja byłem tym człowiekiem. Spać mi nie dała myśl o cudownych haczykach. Całowałem je i pieściłem, aby w niewinnej radości uciszyć moją namiętność, a potem położyłem je na miejsce. Mogłem upuścić jeden z nich, ale nie ukradłem żadnego!”

Jakże straszne wyznanie w tych warunkach! Podniosła się wrzawa. Zrozumiałam, że sam wydał wyrok na siebie i że wszystko skończone. Na każdej twarzy można było wyczytać słowa: „To jest odpowiedź tchórzliwa, niezdarna i nędzna!”

Szlochając usiadłam i czekałam. I oto usłyszałam słowa, o których i tak wiedziałam, że będą wypowiedziane. Każde z nich nożem wrzyło mi się w serce.

„Zgodnie z wyrokiem sądu, oskarżonego podda się próbie wodnej.”

Niechaj klątwa spadnie na głowę tego, kto wprowadził próbę wodną do naszego kraju. Przyszła do nas kilka pokoleń temu ze stron dalekich i nieznanymi nikomu. Niegdyś, kiedy ojcowie nasi używali jeszcze wróżb i innych niepewnych sposobów badania, zdarzało się od czasu do czasu, że jakiemuś biednemu stworzeniu udało się zataić winę i umknąć kary. Ale teraz, przy próbie wodnej, którą wymyślili ludzie mądrzejsi od nas, dzikusów, rzecz ma się zupełnie inaczej. Przy niej niewinny okazuje się niewinnym bez żadnej wątpliwości, ponieważ tonie, a winny ma niezbity dowód swojej winy, ponieważ nie tonie.

Serce kruszyło się we mnie, gdy mówiłam:

„Wiem, on jest niewinny! Nakryją go fale i nigdy go już nie zobaczę!”

Od tej chwili nie opuszczałam go ani na chwilę. W ramionach jego oplakiwałam godziny szczęścia i tonęłam w morzu jego miłości. Jakże nędzna się czułam i jak szczęśliwa zarazem!

Ale przyszedł czas i wyrwali go z moich ramion, a ja łkając szłam za nim i widziałam, jak wrzucono go do wody. Zdumiona, odjęłam ręce od oczu. O, gorzki widoku! On płynął!

W tej chwili serce moje zamieniło się w kamień i zastygło na lód.

„Był winny i skłamał przede mną” – powiedziałam i z pogardą zawróciłam w stronę domu.

Zawieźli go na pełne morze i zostawili na górze lodowej płynącej w kierunku Wielkich Wód, na Południe. Po powrocie ojciec powiedział do mnie:

„Złodziej twój prosił, aby powtórzyć ci jego ostatnie słowa. Oto one: «Jestem niewinny i podczas wszystkich dni, wszystkich godzin i wszystkich minut konania, gdy będę umierał z głodu, będę kochał ją i myślał o niej, i błogosławił dzień, który ukazał mi jej słodką twarz.» Bardzo ładne, nawet poetyczne” – dodał mój ojciec.

A ja na to:

„On jest błotem, o którym nie chcę słyszeć więcej.”

I pomyśleć, że w chwili gdy wypowiadałam te okrutne słowa, on cierpiał i był niewinny.

Osiem miesięcy, osiem nudnych i smutnych miesięcy upłynęło od tego czasu, gdy nadeszło święto Wielkiej Dorocznej Ofiary, dzień, w którym dziewczęta z całego plemienia myją twarz i czeszą włosy.

Za pierwszym pociągnięciem grzebienia nieszczęsny haczyk wypadł z moich włosów, w których tkwił spokojnie przez ten cały czas.

Zemdlna, padłam w objęcia zawstydzonego ojca. Powiedział mi jęcząc:

„Zamordowaliśmy niewinnego człowieka! Nigdy już się nie uśmiechnę.”

I dotrzymał słowa. Odtąd nie śmiał się nigdy.

Od tego czasu nie przejdzie miesiąc jeden, bym nie czesała swoich włosów. Ale na cóż się to zda teraz!

Tak skończyło się skromne opowiadanie biednej dziewczyny.

Wysnuwamy z niego morał: skoro sto milionów dolarów w New Yorku przedstawia tę samą potęgę finansową co dwadzieścia dwa haczyki na ryby w strefie podbiegunowej, to człowiek znajdujący się w ciężkiej sytuacji materialnej jest głupcem, jeżeli siedzi w New Yorku, zamiast kupić haczyków za kilka centów i wyemigrować.

Korekta: Bednarek Joanna